

NIEZDALNA SZKOŁA
Uczniowie równi
i równiejsi

SPRAWA BP. JANIAKA
Donos na prymasa
i zмова milczenia

TISCHNER NA DZIŚ
Ludzie zasad
w czasach klęski

ZŁE POMNIKI
Przeszłość spada
z piedestału

MARTA FREJ
Jestem silna,
bo rysuję

Kraków 28 czerwca 2020 nr 26 (3703)

cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne

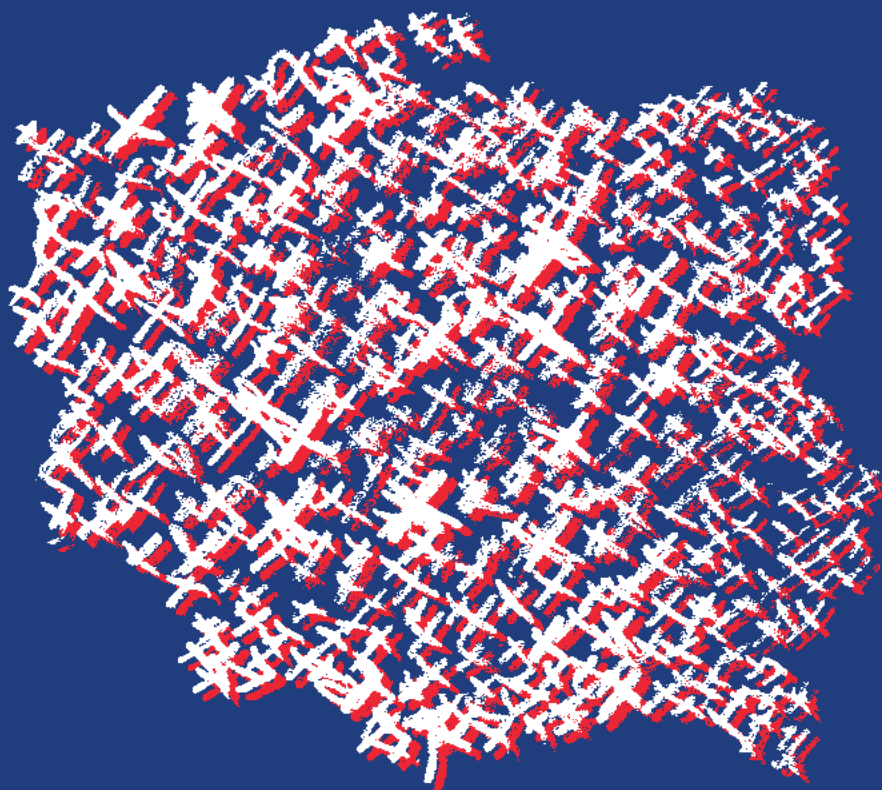
www.TygodnikPowszechny.pl

STANKIEWICZ:
Stawka większa niż Pałac

KOSIŃSKI:
Kandydaci z naszej klasy

SZLENDAK:
Elektorat na festynie

Oddajemy głos Polsce



DODATEK
WROCŁAW.
HISTORIA
I NOWOCZESNOŚĆ





Fundacja
Dorastaj z Nami

REKLAMA



Kochany Tato, ♥♥
ten list miał być dla Ciebie na Dzień Taty,
ale nigdy Ci go nie dam...
Mama mówi, że jesteś prawdziwym
bohaterem i że teraz jesteś w niebie.
Mówi, żeby się nie martwić, ale sama
często płacze, bo myśli że ja nie widzę.
Bardzo się staram i pomagam Mamie.
Jestem grzeczna i mam coraz lepsze
oceny w szkole. Byłbyś ze mnie
dumny.
Bardzo za Tobą tęsknię!
Czy musiałeś ~~po~~ wtedy
pojechać na akcję?
Julka ♥♥



Tata Julki był strażakiem, zginął na służbie ratując z pożaru dwoje ludzi. Julka nie pamięta dnia kiedy zginął, miała wtedy 3 lata.

Nie zdążyła Taty poznać. Nie zdążyła go zapamiętać. Dziś dotyka płyty jego grobu, szuka go w pamięci innych, pisze do niego listy. Wpatruje się w jego zdjęcia, które mama trzyma w pudełkach po butach. Ciągłe szuka jego twarzy, gestów, głosu...

Opiekujemy się Julką od 8 lat. Jej TATA to Bohater – zginął ratując innych. Takich dzieci jak Julka mamy pod swoją opieką 135. **Fundacja Dorastaj z Nami** opiekuje się dziećmi strażaków, policjantów, żołnierzy i ratowników górskich, którzy zginęli na służbie. Nie zwrócimy tym dzieciom Taty, ale wiemy, jak im pomóc dorosnąć do nowego życia bez **TATY**.

Pomóż dzieciom
Bohaterów
żyć bez Taty

Prosimy, przełącz darowiznę, wpłacając na konto fundacji
29 1030 1508 0000 0008 1545 4006,
w tytule przelewu wpisz: 105-dzieci bez taty



Więcej na
www.dorastajznami.org

KS. ADAM

Boniecki: *Na co głosujemy*

ZAMIESZCZONY W TYM NUMERZE ARTYKUŁ prof. Dariusza Kosińskiego i rozmowa z prof. Tomaszem Szlendakiem pomagają lepiej zrozumieć zbliżające się wybory prezydenckie – wydarzenie, w którym mają udział wszyscy dorośli obywatele Polski. Wszyscy, bo także i ci, którzy na wybory nie pójdą. Absencją wpłyną przecież na wynik. Dla skromnego, zapracowanego wyborcy, który nie miał głowy do studiowania biogramów i programów jedenastu kandydatów, który nie potrafi odróżnić Mirosława Piotrowskiego od Waldemara Witkowskiego, prezydencka debata 17 czerwca była dobrą okazją do określenia swoich preferencji. O pytaniach, na które odpowiadali pretendenci do najwyższego urzędu w państwie, dość już napisano. Choć pytania były, jakie były, to odpowiedzi i tak okazały się fascynujące. Był to doprawdy dziwny spektakl: jedenastu dorosłych mężczyzn z całą powagą i przekonaniem zachwalało... każdy siebie i starało się dołożyć konkurentom. Każdy dawał do zrozumienia, że to on jest najlepszy, najmądrzejszy, najśluszniejszy.

Nie wiem, jak się to odbywało wtedy, kiedy szlachta wybierała króla. Pierwszym królem wybranym na tron był Władysław Jagiełło, w 1386 r. Pierwsza wolna elekcja odbyła się w rok po bezpotomnej śmierci Zygmunta II Augusta, ostatniego z Jagiellonów, w roku 1573. Wtedy też ustalono reguły elekcji: wybory króla miały być powszechne, oczywiście dla szlachty, i wolne, czyli mógł w nich uczestniczyć każdy szlachcic. Na pierwszą wolną elekcję przybyło ponad 40 tys. szlachty. Późniejsze nie były już tak liczne. Wśród chętnych na polski tron często byli monarchowie innych państw. Na liście kandydatów widnieje np. Iwan IV Groźny, car Rosji. Rezultat elekcji ogłaszał marszałek, a nowego króla mianował prymas, pełniący urząd interreksa.



Wspominam o tym, bo w czasie prezydenckiej debaty, a i potem, słuchając przedwyborczych przemówień kandydatów, myślałem o królach. I oni musieli najpierw coś szlachcie obiecywać, po wyborze zaś musieli podpisywać różne pakta, konwencje i dokumenty gwarantujące szlachcie jej przywileje.

Dziś, słuchając składanych przez kandydatów obietnic i konfrontując je z określonymi przez konstytucję, wymagającymi czasem odwagi, uprawnieniami prezydenta i ich ograniczeniami przy – jeśli do tego doszło – ewentualnej kohabitacji, czyli sytuacji, w której rząd i prezydent pochodzą z przeciwnych obozów politycznych, trudno nie pytać o realne możliwości realizacji tych obietnic. Przypomnijmy też, że prezydent czasem może się mylić, choć z wypowiedzi zabiegającego o reelekcję Andrzeja Dudy można wnosić, że jemu nigdy się to nie zdarzyło.

Wybierać będziemy spośród jedenastu kandydatów, a faktycznie spośród sześciu, bo już dziś wiadomo, że pięciu z nich sondaże nie dają żadnych szans. Charakter naszej szóstki dobrze charakteryzują profesorowie Kosiński i Szlendak we wspomnianych materiałach z tego numeru.

Czy się nam to podoba, czy nie, któryś z szóstki kandydatów zostanie prezydentem. Który? To już zależy od nas wszystkich, i to nie jest pusty slogan. Kto będzie prezydentem i jaka będzie Polska, zależy od tego, czym będziemy się kierowali przy wyborze. Od tego, czy potrafimy się przedrzeć przez wyborczą propagandę i rozeznaczyć, czy kandydatowi chodzi o władzę dla władzy, czy rzeczywiście o dobro wspólne. To ważne, byśmy umieli to rozeznaczyć, żebyśmy nie byli jak ci z pola elekcyjnego na podwarszawskiej Woli, którzy widzieli tylko swoje własne, doraźne interesy, a nie dobro kraju.

Uparcie pytajmy siebie: na jakie głosujemy państwo? Na jakie głosujemy wartości? Na co my naprawdę głosujemy? ©

Weź, czytaj online!

Zamów prenumeratę cyfrową i zobacz, **jak wygodnie** jest mieć nieograniczony dostęp do strony TygodnikPowszechny.pl

- w każdą środę – **do bieżącego wydania**
- do ponad **60 tys. tekstów** archiwalnych, dodatków i podcastów

Wybierz idealny dla siebie czas dostępu
– na **1, 3 lub 12 miesięcy** na powszech.net/cyfra

i czytaj „Tygodnik” **bez ograniczeń!**



**TYGODNIK
POWSZECHNY**

28 Znikający uczniowie**PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI**

Dziecko izolowane od nauki przez rodziców. Mama bez maila. Wiejski nauczyciel wieszający zadania na furtkach – epidemia wzmocniła podział na szkołę lepszą i gorszą.

**49 Wielki przegląd pomników****PATRYCJA BUKALSKA**

Na fali antyrasistowskich protestów w Wielkiej Brytanii powróciła debata o kolonialnej przeszłości i jej skutkach, trwających do dziś.

**40 Tischner na dziś****TADEUSZ SŁAWEK**

Polityka bez nieba, i to tym bezwzględniej, im głośniejsze na niebo się powołuje – oto nasza sytuacja, z której myśl ks. Tischnera może pomóc znaleźć wyjście. 28 czerwca mija 20. rocznica jego śmierci.

**36 Spektakl za zamkniętymi drzwiami****ARTUR SPORNIAN**

Niespodziewane odsłonięcie życia wewnętrznego tej części polskiego Kościoła, którą tworzą ludzie posiadający święcenia biskupie, przybrało formę tragifarsy.

**66 Ręka, która rysuje****ROZMOWA Z MARTĄ FREJ, MALARKĄ I ILUSTRATORKĄ:**

Bohaterki moich rysunków chcą opowiedzieć o sobie, być wysłuchane, pokazać innym, że zmiana jest możliwa. A skala nieszczęść, przemocy domowej, jest w naszym kraju przerażająca.

**78 Rozmach bajkorzeźbiarza****MAREK BIEŃCZYK**

Christo rzucił się w oczy. Budował nam jeziora, po których można chodzić, i wyspy o różowych brzegach. Szukał w nas dzieci.



INFORMACJA DLA CZYTELNIKÓW Z przyczyn przez Wydawcę niezawinionych, pismo może nie być dostępne w niektórych punktach sprzedaży – szczególnie tych prowadzonych przez Garmond Press SA. W zaistniałej sytuacji najkorzystniejszym i najpewniejszym sposobem otrzymywania naszego pisma jest prenumerata – szczegóły na stronie TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate. **WYDAWCA**

6 Z wirusem możemy pozostać na lata
MARCIN ŻYŁA

7-11 Obraz tygodnia

20-21 Czytania / Widzenia

ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ
ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA /
PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

22 Stawka większa niż Pałac
ANDRZEJ STANKIEWICZ

26 Jedność Unii to środek nacisku
ROZMOWA Z FRANSEM
TIMMERMANSEM

28 Znikający uczniowie
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

32 Zdalna szkoła dla wybranych
ROZMOWA Z PRZEMYSŁAWEM
SADURĄ, SOCJOLOGIEM:
*Edukacja przeszła w nauczanie
zdalne i w tryb reprodukcji
nierówności*

■ ■ WIARA

36 Spektakl za zamkniętymi drzwiami
ARTUR SPORNIK

39 Czy biskupi naprawdę chcą nam pomóc?
ROZMOWA Z JAKUBEM
PANKOWIAKIEM

40 Tischner na dziś
TADEUSZ SŁAWEK

43 Honor to jest honor
WOJCIECH BONOWICZ: *Giedroyc
i Tischner nawiązali współpracę
w momencie trudnym dla nich obu*

■ ■ ŚWIAT

46 Pokoleniowy spór niemieckiej lewicy
ŁUKASZ GRAJEWSKI Z LIPSKA:
*Były kanclerz Gerhard Schröder
wciąż chce rozdawać karty*

TEMAT TYGODNIKA WYBORY 2020



12 Klasowe wybory
DARIUSZ KOSIŃSKI

Sukces prymusów ze szkoły, którą kieruje Kaczyński, sprawił, że ten model przyjęli rywale.

16 Bijatyka na zabawie
ROZMOWA Z PROF. TOMASZEM SZLENDAKIEM:
Szukamy lidera, ale wybieramy taki produkt polityczny, który naszej prywatnej wyspie pozwoli przetrwać bez zmian.

22 Stawka większa niż Pałac
ANDRZEJ STANKIEWICZ

O wyniku wyborów prezydenckich zdecydują wyborcy tych kandydatów, którzy odpadną po pierwszej turze.

■ ■ DODATEK SPECJALNY WROCŁAW. Historia i nowoczesność

■ ■ FELIETONY ■

35 ANNA DZIEWIT-MELLER
76 JAN KLATA 77 PAWEŁ BRAVO
82 WOJCIECH BONOWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: MAREK ZALEJSKI
Redaktorka prowadząca: EVELINA BURDA

49 Wielki przegląd pomników
PATRYCJA BUKALSKA

51 Jedna maska na dwa tygodnie
MARTA ZDZIEBORSKA Z SAN
DIEGO: *Do połowy czerwca
COVID-19 zabił 119 tys.
Amerykanów*

54 Tamtego dnia w Aleppo
OMAR AL-HALABI:
*Syryjski dziennikarz od dziewięciu
lat dokumentuje wojnę w ojczyźnie*

56 Jakbyś z nami był, Jánie
DARIUSZ KAŁAN Z BRATYSŁAWY:
*Zabójstwo Jána Kuciaka
i jego narzeczonej wstrząsnęło
słowackimi muzykami*

■ ■ HISTORIA

58 Wilczęta
ZBIGNIEW ROKITA: *75 lat temu
po Prusach Wschodnich krążyły
zagubione niemieckie dzieci*

■ ■ NAUKA

62 Samiec z samcem
ŁUKASZ KWIATEK:
*Zachowania homoseksualne są
u zwierząt często spotykane*

■ ■ KULTURA

66 Ręka, która rysuje
ROZMOWA Z MARTĄ FREJ

71 Prorok z Czarnej Mekki
JAN BŁASZCZAK o *Killer Mike'u,
raperze i aktywiście*

74 Autor ukryty
ANITA PIOTROWSKA o filmie
„Obrazy bez autora”

76 „Nie wiesz, co jesteś wart”
LEKTOR o książce *Anny Arno*
*„Kot. Opowieść o Konstantym
A. Jeleńskim”*

■ ■ ZMYŚŁY

78 Rozmach bajkorzeźbiera
MAREK BIEŃCZYK

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ Strona świata

Znana filipińska dziennikarka Maria Ressa może spędzić w więzieniu nawet sześć lat z powodu oskarżeń o cyberzniewolenie – sprawę opisuje **WOJCIECH JAGIELSKI**
tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata

➔ Punkt zwrotny [Podkast Powszechny]

Śmierć ojca pociągnęła dużo moich decyzji. Stało się to naturalnie. Pomyślałem: nie będę więcej narzekał, cokolwiek się będzie działo – opowiada **MIKOŁAJ TRZASKA**, muzyk, w cyklu rozmów o punktach zwrotnych w życiu powszech.net/punkt-zwrotny



WOŚ SIĘ JEŻY wolność równość ekonomia

Co czwartek na TygodnikPowszechny.pl

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ y /TYGODNIKPOWSZECHNY

Z WIRUSEM MOŻEMY POZOSTAĆ NA LATA

Czy do kontroli epidemii zamiast zakazów wystarczy zdrowy rozsądek?
Państwa wskazywane dotąd jako modele do naśladowania
popadają na nowo w kłopoty.

MARCIN ŻYŁA

TO NOWA, NIEBEZPIECZNA FAZA PANDEMII – ostrzega Światowa Organizacja Zdrowia (WHO). Po pół roku walki z koronawirusem liczba przypadków choroby COVID-19 przekroczyła 9 mln. W minioną niedzielę zgłoszono 183 tys. nowych, najwięcej od początku epidemii. Zmarło już 468 tys. osób.

Według badaczy z londyńskiego King's College *lockdown* ocalił życie ponad 3 mln Europejczyków. Ale po trzech miesiącach ludzie i gospodarki mają dość zamknięcia; choć wciąż trwa początkowy etap pandemii, wszędzie na Zachodzie restrykcje są znoszone. Wirus stał się nową normą – najbliższe dni pokażą, czy aby epidemia nie wymknęła się spod kontroli i zamiast zakazów wystarczy zdrowy rozsądek. Polski mini-

ster zdrowia prognozuje, że podczas jesiennej drugiej fali zakażeń nie wrócimy do zamknięcia, choć maseczki znów będą obowiązkowe. Jednak patrząc na to, z jaką dezynwolturą traktujemy ich noszenie w pociągach czy kościołach, oraz na rosnące zwątpienie niekonsekwencją zaleceń władz, trudno o optymizm.

Niepewność rośnie tym bardziej, że wskazywane jako modele do naśladowania państwa popadają na nowo w kłopoty. W niedzielę 25 przypadków COVID-19 zdiagnozowano w Pekinie (władze otoczyły kordonem całe dzielnice miasta), 48 – w Korei Południowej. Wirus wrócił do Nowej Zelandii, której premier przedwcześnie ogłosiła koniec epidemii i zaczęła kampanię przed wrześniowymi wyborami.

Warszawa,
19 czerwca 2020 r.

W USA (najwięcej, 2,3 mln przypadków), gdzie prezydent Trump kontestuje zagrożenie, wprowadzane przez poszczególne stany ograniczenia wielu Amerykanów uznaje za zamach na wolność. Z kolei Szwecja, wychwalana często za brak restrykcji, jest jedynym oprócz Polski państwem Europy, które szczyt zakażeń zdaje się mieć przed sobą. Zagadką pozostaje liczba przypadków w Afryce subsaharyjskiej – stosunkowo niska nawet po uwzględnieniu możliwego niedoszacowania (mało testów) i niższej średniej wieku populacji.

A dobry przykład? W cieniu ciężko doświadczonej przez COVID-19 Hiszpanii, swoje granice otworzyła w niedzielę Słowacja – być może najlepiej zarządzany w czasie epidemii kraj Europy. Ścisła i merytoryczna współpraca lekarzy z władzami sprawiła tu, że już w połowie marca, nie bacząc na opinię WHO, na podstawie lokalnych badań zalecono zakładanie maseczek, ogniska epidemii wygaszono zaś zamykając czasowo granice powiatów. Efekt: 1587 chorych, tylko 28 zmarłych (w przeliczeniu na mieszkańca najmniej w Europie, trzykrotnie mniej niż druga w tym rankingu Albania).

Magazyn „Nature” zapowiedział tymczasem przełom w walce z koronawirusem – deksametazon, substancja stosowana jako środek przeciwzapalny i przeciwalergiczny, wydaje się ograniczać śmiertelność. Choć wyników badania jeszcze nie opublikowano, wygląda ono solidnie; brało w nim udział kilka tysięcy osób, u pacjentów podłączonych do respiratorów deksametazon zmniejszył śmiertelność o jedną trzecią. Niestety, ten sam „Nature” donosi o spadku liczby przeciwciał u ozdrowieńców po 2-3 miesiącach. Nie jest to wprawdzie jednoznaczne z tym, że przechorowanie daje tylko krótkotrwałą odporność na wirusa (tego wciąż nie wiadomo), ale przynajmniej podważa sensowność stosowania takich rozwiązań jako „paszportów immunologicznych”. Co gorsza, nawet u osób, które przechodzą COVID-19 bezobjawowo, stwierdzono zmiany w płucach (u ponad połowy zakażonych). Trwają prace nad szczepionkami i lekami (naukowcy opracowali już wstępny model, jak powinny działać) – ale to wciąż początek. Z wirusem pozostaniemy na długie miesiące, jeśli nie na lata. ©P

Jak spełnić marzenie strategów PiS

JAROSŁAW FLIS



WOBYCZAJOWEJ SZARŻY ANDRZEJA Dudy na temat LGBT+ czuć było chęć powrotu do zwycięstwa odniesionego przez PiS w europejskich wyborach rok temu. Ale kampania nie chciała wrócić w stare koleiny. Tematu nie podniósł nikt z trójki najsilniejszych rywali. Kandydat lewicy – oczywiście skądinąd rzecznik obyczajowej rewolucji – Robert Biedroń stracił poparcie i wyładował na ostatnim miejscu wśród zauważalnych uczestników prezydenckiego wyścigu.

Wymarzona ustawka zaczęła więc przynosić PiS więcej problemów niż korzyści. Kontrkandydaci odpowiedzieli w duchu aikido – unikiem i wykorzystaniem czyjś rozpędu do wytrącenia go z równowagi. Podgrzewanie konfliktów połączone z dehumanizowaniem całych grup społecznych zraża jednak umiarkowanych wyborców. Przekaz „pandemia przyniosła tyle problemów, a wciąż o tym samym” wydawał się trudny do zbitcia. Ale zamysł PiS znalazł spodziewany odzew w przeciwnych tej partii mediach i środowiskach, które wracają do tematu dzień w dzień, prześcigając się w inicjatywach i postulatach. Niejednokrotnie wrzucając do jed-

nego worka z haniebnymi wypowiedziami także wszystkich tych, którzy o sprawie myślał niezgodnie z postępowym *credo*. I to ostatecznie spełnia marzenie strategów PiS.

W zeszłorocznych wyborach partie tworzące opozycyjny Blok Senacki wyprzedziły PiS o 800 tys. głosów. To mocna podstawa do oczekiwania porażki Andrzeja Dudy w II turze. Jednak te listy, w których postulaty gruntownych zmian prawa rodzinnego w ogóle podlegają dyskusji – Koalicja Obywatelska i Lewica – dokładnie o tyle samo zostały wyprzedzone przez PiS. Opozycja zawdzięczała swój senacki sukces obecności w bloku Koalicji Polskiej stworzonej przez PSL. Jego wyborców od partii rządzącej odstrasza toporność, nie zaś sam zamiar wspierania tradycji i wspólnoty w życiu społecznym. Gdyby PiS połączył siły z PSL i Konfederacją, miałby nad KO i SLD przewagę 3:2. A więc opozycja może liczyć na zwycięstwo nie tyle dzięki tematowi obyczajowemu, lecz pomimo ich obecności. Niezależnie zaś od bieżącej polityki, jeśli obrońcy tolerancji chcą ją szczerze praktykować, wypadaloby, żeby mówili o odmiennych poglądach bez wyższości i politowania, o pogardzie nie wspominając. ©

Rząd wydaje, ale się nie zadłuża

FAKTY – to nieoczekiwany zwycięzca podjazdowej wojny PiS z Marianem Banasiem, szefem Najwyższej Izby Kontroli, który nie pozwolił się odwołać ze stanowiska po tym, jak dziennikarze ujawnili informacje o jego majątku i niepokojących powiązaniach biznesowych. Zbuntowany partyjny baron, korzystając z uprawnień kontrolnych, stosuje teraz wobec byłych kamratów rodzaj strajku włoskiego, bezwzględnie egzekwując te prerogatywy – zwłaszcza tam, gdzie polityczny nos podpowiada mu występowanie wysokokalorycznego paliwa dla sporu. Dzięki temu opinia publiczna może w ogóle usłyszeć o faktach, które nie urzałyby pewnie światła dziennego, gdyby obozu władzy i szefa NIK nie podzieliła „szorstka przyjaźń”.

Tym razem troskliwy wzrok kontrolerów spoczął na rządowym sprawozdaniu z wykonania budżetu za ubiegły rok. NIK kwituje go jednym zdaniem: to świat kreatywny

księgowości, w którym wydatki notorycznie przesuwają się do funduszy celowych, dzięki czemu można nie wliczać ich do deficytu budżetowego. „W ostatnich latach obserwowana jest tendencja ustawowego rozszerzania zakresu zadań finansowanych ze środków państwowych funduszy celowych o zadania niezwiązane z celami, dla których został utworzony dany fundusz” – piszą autorzy raportu.

Przykłady? Fundusz Reprowatyzacji, formalnie powołany do wypłaty odszkodowań, którego budżet aż w 90,2 proc. rząd wykorzystał do objęcia akcji i udziałów w spółkach (za 1,2 mld). Inny „odzyskany” fundusz celowy to Centralna Ewidencja Pojazdów i Kierowców, który na życzenie władzy przeznaczył 100 mln zł – czyli aż 55,2 proc. łącznych kosztów – na pokrycie wydatków informatycznych administracji centralnej. W tym roku podobny trik rząd zastosuje przy finansowaniu bonu turystycznego, na który pieniądze pożyczą, w formie obligacji, Bank Gospodarstwa Krajowego.

©P MAREK RABIJ

Bo prowokował

TEN WYROK TO JAWNA NIESPRAWIEDLIWOŚĆ, klasyczny przykład bezdusznej maszyny prawa – mówi „Tygodnikowi” Mirosław Wróblewski, dyrektor Zespołu Prawa Konstytucyjnego, Międzynarodowego i Europejskiego w Biurze Rzecznika Praw Obywatelskich. RPO zdecydował się wnieść do Sądu Najwyższego jedenastą skargę nadzwyczajną – to ścieżka dla prawomocnych wyroków sądów powszechnych, z której w sposób nieograniczony może korzystać jedynie Rzecznik i Prokurator Generalny. Po raz pierwszy tego typu skarga dotyczy przemocy w rodzinie.

Ta historia zaczyna się dwie dekady temu na Podlasiu. Ojciec znęca się – fizycznie i psychicznie – nad żoną i dzieckiem. Syn od pewnego momentu zaczyna się w domowe awantury angażować: próbuje rozdzielać rodziców i stawiać w obronie bitej matki. W 2011 r. sąd karny skazuje ojca na osiem miesięcy pozbawienia wolności w zawieszeniu na trzy lata. A siedem lat później – gdy syn jest pełnoletni – sąd rejonowy uwzględnia jego pozew cywilny i zasądza 20 tys. zł zadośćuczynienia. Ojciec się odwołuje, a Sąd Okręgowy w Łomży uwzględnia jego skargę, stwierdzając w uzasadnieniu, że źródłem konfliktów między ojcem a dzieckiem było „prowokacyjne zachowanie się powoda i demonstrowanie oporu”.

„Sąd zastosował mechanizmy odwracające *de facto* rolę: ofiary i jej kata. Przerzucił ciężar odpowiedzialności na poszkodowanego” – argumentuje w uzasadnieniu decyzji o skardze RPO. – Kompletnie pominięto społeczny kontekst sprawy, a także fakt, iż w podobnych historiach krzywda, nawet wyrządzona lata temu, nigdy się nie dezaktualizuje – dodaje Mirosław Wróblewski.

Jakie znaczenie może mieć skarga? Według Wróblewskiego wyrok sądu okręgowego, dodatkowo w rejonie, w którym przemoc domowa jest według danych policji najwyższa w kraju, mógł być społecznie szkodliwy – jako sygnał, że zjawisko to jest czymś akceptowalnym: – Ta skarga to z kolei komunikat, że sprawy nie mogą czuć się po latach bezkarni. Dlatego mamy nadzieję, że Sąd Najwyższy uchyli łomżyński wyrok.

© PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

LICZBA TYGODNIA

1/8

– co najmniej taką powierzchnię ekranu powinno zajmować okno z tłumaczem polskiego języka migowego (PJM). To jeden z postulatów kampanii #dostępnyTłumaczPJM, która wystartowała w ubiegłym tygodniu. „Nie mogliśmy zrozumieć treści rządowych komunikatów i konferencji, co spowodowało, że jako społeczność byliśmy zaniepokojeni, poculiśmy się zlekceważeni i zaczęliśmy się domagać naszego konstytucyjnego prawa do udziału w życiu społecznym” – piszą organizatorzy kampanii.

KRAJ W SKRÓCIE

NA ŻYWO

Na finiszu kampanii kandydaci podróżują po Polsce. Szymon Hołownia, który w trasę ruszył kamperem, posunął się nawet do transmitowania swojej podróży w internecie przez 24 godziny non stop, co być może podzielało tonująco na frekwencję w trakcie jego spotkań w rzeczywistości niewirtualnej.



MATERIAŁ PRASOWY

NA WIRUSA

Nawet burza z piorunami nie podzielała tonująco na Andrzeja Dudę, który w trakcie wiecu w Krakowie powiedział, że koalicja PO-PSL była „gorszym wirusem niż, proszę państwa, koronawirus”. W dniu, gdy to mówił, liczba ofiar śmiertelnych tego „lepszego” wirusa wynosiła w Polsce 1356.

NA OKRĄGŁO

Najbardziej stonowanym uczestnikiem kampanii jest niewątpliwie Rafał Trzaskowski. Jego stonowanie jest posunięte tak daleko, że na siedem dni przed wyborami na stronie internetowej kandydata PO nie sposób znaleźć jego programu wyborczego.

NA LIPE

Gwałtowne opady zaś uaktywniły metaforę Krzysztofa Bosaka. „Niech ten padający deszcz budzi do życia Polskę – wołał podczas wiecu w Warszawie – i będzie nawozem pod prawdziwą zmianę polityczną”. „Tacy jesteśmy jak ta błyskawica” – dodawał, chyba całkiem niepotrzebnie, polityk Konfederacji.

Reprywatyzacja. Nowe podejście

RAFAŁ WOŚ



POJAWIŁY SIĘ DWA PROJEKTY USTAW reprywatyzacyjnych. Jeden firmuje wiceminister sprawiedliwości Sebastian Kaleta. Drugi zgłosili parlamentarzyści Lewicy i ich kandydat na prezydenta Robert Biedroń. Można się zżymać, że obie inicjatywy pojawiają się dopiero w trybie przedwyborczym. Ale warto też dostrzec w nich próbę naprawienia jednej z największych patologii w całej historii III RP.

Mija 20 lat od pierwszych publikacji pokazujących, jak często naprawianie starych krzywd odbywało się kosztem zadawania nowych. Najczęściej polegały na zostawianiu mieszkańców „odzyskiwanych” kamienic sam na sam z nowymi właścicielami, których celem nie było zastępowanie władzy publicznej w dostarczeniu usług mieszkaniowych, tylko jak najszybsze sprzedanie nieruchomości z zyskiem. W samej tylko Warszawie, gdzie sprawę udało się najbardziej nagłośnić, reprywatyzacja dotknęła od 30 do nawet 100 tys. ludzi. W szczytowym okresie warszawski ratusz oddawał po 300 nieruchomości rocznie.

Oba projekty dotyczą różnych fragmentów reprywatyzacyjnego węzła. Projekt PiS dotyczy konkretnej kwestii odszkodowań dla lokatorów. Nakazała je wypłacać powołana w Sejmie kilka lat temu komisja weryfikacyjna kierowana przez Patryka Jakiego. Większość jej orzeczeń została jednak oprotestowana przez warszawski Ratusz. Projekt Kalety ten kliniec rozstrzyga na korzyść lokatorów, przenosząc pieniądze do agencji rządowej.

Projekt Lewicy idzie dalej. Jest (na razie tylko) zapowiedzią czegoś na kształt tzw. dużej ustawy reprywatyzacyjnej. Czyli prawa, którego uchwalenie obiecywał od 2015 r. PiS, ale słowa nie dotrzymał. Jak mówi się w kulturalach, głównie ze strachu przed reakcją zagranicy – w tym Stanów Zjednoczonych stojących na pryncypialnym stanowisku, że wygaszenie roszczeń powojennych właścicieli i ich spadkobierców to uderzenie w prawo własności.

©



SGT. SETH LACOUNT / ALASKA NATIONAL GUARD / AP / EAST NEWS

„MAGICZNY AUTOBUS” – tak mówili o nim żądni przygód, wierząc w jego siłę talizmanu i za wszelką cenę próbując do niego dotrzeć. Co nie było łatwe, bo porzucony dekady temu pojazd stał na odludziu w Parku Narodowym Denali na Alasce. W 1992 r. umarł w nim z wyczerpania młody podróżnik Christopher McCandless; jego historia stała się kanwą książki i filmu Seana Penna „Wszystko za życie”. Autobus kosztował też życie kolejnych dwóch osób, które w drodze do niego utonęły w rzece. Aby uniknąć konieczności organizowania następnych wypraw ratunkowych, w minionym tygodniu alaskańska Gwardia Narodowa usunęła autobus z dziczy. © P ŻYM

Indie-Chiny: konflikt na Dachy Świata

NAJKRWAWSZĄ OD PÓŁ WIEKU bitwę stoczyli w minionym tygodniu żołnierze Indii i Chin – najludniejszych państw świata i nuklearnych mocarstw, rywalizujących o panowanie na tzw. Dachy Świata, czyli w Himalajach i na Pamirze. Dowództwo indyjskie przyznaje się do straty 20 zabitych i 76 rannych żołnierzy, zaś 10 dostało się do chińskiej niewoli (uwolniono ich po kilku dniach). Hindusi twierdzą, że zabili lub ranili 43 Chińczyków; Pekin o własnych stratach nie wspomina ani słowem. W sumie po obu stronach w starciach wzięło udział ponad pół tysiąca żołnierzy.

Choć bitwa – stoczona w środku nocy, w ciemnicy i przy kilkustopniowym mrozie, na wysokości prawie 5 tys. metrów, gdzie z powodu braku tlenu trudno oddychać – była tak krwawa i trwała wiele godzin, to nie padł w jej trakcie ani jeden strzał. Walczono wręcz, na bagnety, łopatką saperską, włócznią z żelaznych prętów, na pięści owinięte drutem kolczastym, pałki, ponabijane gwoździami maczugi, ciskano w siebie kamie-

niami. Większość zabitych stanowili żołnierze, którzy spadli lub zostali zepchnięci w przepaść i utonęli w płynącej dnem wąwozu rzece.

Do starcia doszło w spornej części wąwozu rzeki Galwan w Ladakhu, niegdyś chińskim, podbitym potem przez Kaszmir, a następnie rozdartym wraz z nim w wyniku wojen pomiędzy Indie, Chiny i Pakistan. Zarówno Chińczycy, jak też Hindusi roszczą sobie pretensje do Ladakhu i twierdzą, że to przeciwnicy naruszyli granicę, przeszli miedzę i zajęli nie swoje ziemie.

Żadna ze stron nie użyła broni palnej, bo dysponujące bombami atomowymi mocarstwa jeszcze w 1993 r. ustaliły, że jeśli kiedykolwiek dojdzie między nimi do granicznych sporów, żadna ze stron nie będzie strzelać jako pierwsza, a żołnierze, których Pekin i Delhi utrzymują (w liczbie wielu tysięcy) wzdłuż dzielącej ich granicy na spornych ziemiach, będą wyruszali na patrole bez karabinów albo mając kategoryczny zakaz ich użycia.

© P WOJCIECH JAGIELSKI

Więcej w serwisie na stronie „Tygodnika”: powszech.net/strona-swiate

Białoruś: nowe represje



WOJCIECH KONOŃCZUK

CHOĆ DO WYBORÓW PREZYDENCKICH NA BIAŁORUSI zostało jeszcze sześć tygodni, gorąco zrobiło się wcześniej niż kiedykolwiek. Wszystko dlatego, że w społeczeństwie widoczny jest wysoki potencjał protestu, rywale Alaksandra Łukaszenki są silniejsi niż w przeszłości, a on sam mocno stracił na popularności. W efekcie reżim poczuł się zaskoczony i zagrożony aktywnością Białorusinów, masowo ustawiających się w kolejkach, by złożyć podpis poparcia dla opozycyjnych kandydatów.

Na reakcję nie trzeba było długo czekać – wraz z ożywieniem białoruskiej polityki, wróciły represje. Aresztowany został Wiktar Babaryka, któremu udało się zebrać bezprecedensowe 430 tys. głosów poparcia. Ten najpopularniejszy z oponentów Łukaszenki usłyszał zarzuty „stworzenia zagrożenia dla bezpieczeństwa narodowego”, za co grozi 15 lat więzienia. Wcześniej do aresztu trafił Siarhiej Cichanouski, inny popularny rywal urzędującego od 26 lat prezydenta. Represje dotyczą też protestujących obywateli i dziennikarzy, w tym telewizji Belsat. Trudno przewidzieć, jak potoczy się reszta kampanii wyborczej, ale można mieć pewność, że Łukaszenka za wszelką cenę będzie zmierzać do piątej reelekcji. ©

Najważniejszy gol Marcusa Rashforda

W LIŚCIE OTWARTYM do brytyjskich parlamentarzystów napisał, że jako czarny mężczyzna z biednej dzielnicy Manchesteru powinien być jeszcze jedną spisana na straty liczbą w statystyce. Dzięki pomocy rodziny, sąsiadów i trenerów jedyne statystyki, z jakimi jest dziś kojarzony, to liczba strzelonych bramek i występów w piłkarskiej reprezentacji Anglii.

22-letni Marcus Rashford, napastnik Manchesteru United, w ubiegłym tygodniu wpłynął na politykę społeczną swego kraju: apelując do premiera Borisa Johnsona, pisząc do parlamentarzystów, opowiadając dziennikarzom o własnym dzieciństwie, w którym samotna i wychowująca piątkę dzieci mama nieraz miała problemy ze znalezieniem pieniędzy na jedzenie, doprowadził do przedłużenia przez rząd programu dofinansowania posiłków dla ponad 200 tys. najuboższych uczniów z brytyjskich szkół także na czas wakacji. W działania społeczne Rashford angażuje się od rozpoczęcia kariery piłkarskiej, w której dla klubu i reprezentacji zdobył już ponad 50 bramek. Ale – jak napisał na Twitterze legendarny angielski napastnik Gary Lineker – najważniejszego gola w życiu zdobył właśnie teraz.

© P MICHAŁ OKOŃSKI

BARBARA SMOLIŃSKA:

Wsparcie: jak je dawać



PRACOWNIA DIALOGU

ANNA GOC:

Jesienią ma ruszyć pierwsza grupa wsparcia dla osób wykorzystywanych seksualnie przez

księży, której organizatorem jest inicjatywa „Zranieni w Kościele”. Czym taka grupa różni się od grupy terapeutycznej?

BARBARA SMOLIŃSKA, PSYCHOTERAPEUTKA:

Celem grupy nie jest głęboka praca psychoterapeutyczna, tylko spotkanie z osobami, które doświadczyły podobnej krzywdy, choć trzeba podkreślić, że krzywda każdej osoby jest indywidualna. Członkowie grupy umawiają się na dyskrecję. Uczą się dawać i uzyskiwać wsparcie. Ważne jest, by trauma nie pozostała tajemnicą.

Czy grupa będzie otwarta?

Półotwarta. Limit uczestników to 12 osób. Kolejnych będziemy przyjmowali dopiero wtedy, gdy ktoś zakończy swój pobyt w grupie. Chcemy uniknąć dowolności w dołączaniu do grupy, dlatego minimum spotkań, na które deklarują się nowi członkowie, to trzy soboty. Grupa będzie się spotykała w Warszawie raz w miesiącu. Trzygodzinne spotkania poprowadzą dwie psychoterapeutki. Udział jest bezpłatny, bo udało nam się pozyskać dofinansowanie z Fundacji św. Józefa.

Jak można się zapisać?

Dzwoniąc na nasz wtorkowy dyżur (800 280 900) lub wysyłając wiadomość na nasz adres (info@zranieni.info). Zapisanie do grupy poprzedzi godzinna konsultacja, podczas której psychoterapeutki prowadzące spotkania spytają między innymi o motywację dołączenia do grupy i związane z nią oczekiwania.

© P Rozmawiała ANNA GOC

BARBARA SMOLIŃSKA jest psychoterapeutką i superwizorką Polskiego Towarzystwa Psychologicznego oraz Europejskiego Stowarzyszenia Psychoterapii, szefową Pracowni Dialogu, współtwórczynią inicjatywy „Zranieni w Kościele”.

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

NOWE WEZWANIA

Franciszek rozszerzył Litanię Loretańską o trzy nowe wezwania: „Mater misericordiae”, „Mater spei” i „Solacium migrantium”. Pierwsze („Matko miłosierdzia”) już funkcjonuje w polskiej wersji litanii. Drugie („Matko nadziei”) zostanie umieszczone po wezwaniu „Matko łaski Bożej”. Trzecie znajdzie się po wezwaniu „Ucieczko grzesznych”, a Komisja ds. Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów KEP wstępnie proponuje, by brzmiało: „Pomocy migrantów” albo „Ulgo migrantów”.

SKALA PRZEMOCY

Szef powołanej rok temu Niezależnej Komisji ds. Nadużyć Seksualnych w Kościele francuskim emerytowany sędzia Jean-Marc Sauvé podał, że w ciągu 70 lat ponad 3000 osób było molestowanych seksualnie przez około 1500 księży. To na razie wstępne dane. Sauvé jest przekonany, że ofiar jest więcej.

POLITYKA POD OBRAZEM

„Świątynie nie są miejscami do uprawiania polityki” – napisał rzecznik Konferencji Episkopatu Polski ks. Paweł Rytel-Andrianik po tym, jak wicepremier i minister rozwoju Jadwiga Emilewicz wygłosiła przemówienie w Kaplicy Jasnogórskiej po mszy odpławionej z okazji 5. Dnia Przedsiębiorcy. Paulini ograniczyli się tylko do poinformowania, że trwają prace nad stworzeniem dokumentu regulującego publiczne wystąpienia osób świeckich podczas wydarzeń religijnych.



Pierwsze Radio Informacyjne

PATRYCJA BUKALSKA opowie o powrocie debaty o kolonialnej przeszłości Wielkiej Brytanii (reportaż na s. 49) Agnieszka Lichnerowicz w „Światopodglądzie” radia Tok FM, w środę 24 czerwca o godz. 16.00.
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin
94,9 FM Kielce www.tokfm.pl

Zielony Watykan

JAK O ŚRODOWISKO NATURALNE dba na co dzień Watykan – pytali dziennikarze podczas prezentacji międzydykasterialnego dokumentu „Ku większej trosce o wspólny dom”. Odpowiedzi udzielił ks. Fernando Vérgez Alzaga z gubernatoratu państwa. I tak:

- recykling watykańskich śmieci komunalnych jest na poziomie 59 proc. (niemal spełniając normy wyznaczone przez UE na rok 2035);
- zainstalowane na Auli Pawła VI panele fotowoltaiczne dostarczają energii do systemów grzewczych i klimatyzacji, opartych na najmniej szkodliwych dla środowiska technologiach;
- nowe oświetlenie bazyliki, placu św. Piotra i Kaplicy Sykstyńskiej zużywa od 60 do 80 proc. mniej energii;
- w Ogrodach Watykańskich zrezygnowano z chemicznych środków ochrony roślin, rozpoczęto budowę nowoczesnej kompostowni oraz instalacji odzysku wody do celów gospodarczych, nasadzono blisko 250 drzew i 2300 krzewów.

Bez własnego przykładu – zauważa ks. Alzaga – trudno apelować do innych o „ekologiczne nawrócenie”, o którym mówi papież Franciszek, ustanawiając – w piątą rocznicę encykliki „Laudato si” – rok troski i modlitwy o wspólny dom.

© P EDWARD AUGUSTYN



PHILIPP GUELLAND / EPA / PAP

ZASKAKUJĄCA, RYZYKOWNA I WZRUSZAJĄCA była czterodniowa wizyta Benedykta XVI w Ratybonie. Zaraz po otrzymaniu informacji o złym stanie zdrowia starszego brata, Georga, papież emeryt poprosił papieża Franciszka o zgodę na wyjazd. Dla osoby 93-letniej, słabej i poruszającej się na wózku inwalidzkim, niebezpieczna mogła być już sama podróż samolotem, nie mówiąc o wysiłku i emocjach, jakie towarzyszyły licznym spotkaniom. Joseph Ratzinger pożegnał się z bratem i przyjaciółmi, odwiedził groby rodziców i siostry oraz dom, który wybudował i w którym mieszkał w latach 1969–1977. © P EA

KULTURA W SKRÓCIE

ZMARŁ IAN HOLM

Choć Brytyjczyk na ekranie pojawiał się regularnie już pod koniec lat 60., większe role przyszły dekadę później. Zagrał androida Asha w „Obcym – ósmym pasażerze Nostromo” R. Scotta oraz trenera Mussabiniego w „Rydwaniach ognia” H. Hudsona (nominacja do Oscara i Złota Palma w Cannes). Wcielił się także w Lecha Wałęsę w telewizyjnym „Strike: The Birth of Solidarity”. W „Władcy Pierścieni” i „Hobbitcie” P. Jacksona grał Bilbo Bagginsa. Zmarł w Londynie w wieku 88 lat.



MATERIAŁY PRASOWE

PORTRET LUDZKOŚCI

Zdjęcia trojga polskich fotografików wyróżniono w międzynarodowym konkursie British Journal of Photography. Jego jury wybrało 200 zdjęć, które we wrześniu wyświetlone zostaną w przestrzeni kosmicznej. Fotografia Michała Algebry przedstawia uczestniczkę warszawskiej Parady Równości. Zdjęcia Sandry Mickiewicz wykonane zostały w Wielkiej Brytanii, a prace Michała Stolarskiego – na Ukrainie i w Austrii.

GWIAZDKA W KRAKOWIE

Tymczasem pierwszą gwiazdką cieszy się krakowska restauracja. W zestawieniu Czerwonego Przewodnika Michelin „Main Cities of Europe 2020” znalazła się ulokowana na Kazimierzu Bottiglieria 1881. Dotąd gwiazdką Micheliną nagrodzono tylko dwie polskie restauracje – warszawskie Atelier Amaro oraz Senses.

Głos smutku i nadziei

„JEŚLI NASZYM ŻOŁNIERZOM TO SIĘ PODOBA, BBC musi ukryć ten fakt przed światem” – pisał korespondent londyńskiego „Daily Telegraph”. Był rok 1942 i po serii niepowodzeń w północnej Afryce niektórzy oficerowie armii brytyjskiej żądali, by radio, dbając o morale, nie nadawało cikliwej muzyki. Sentymentalne piosenki miały produkować dezertorów.

Chodziło zwłaszcza o jedną – tę, którą jesienią 1939 r. wybrała dla siebie w biurze tekściarza Hugh Charlesa 22-letnia wówczas piosenkarka Vera Lynn. Pierwszy raz zaśpiewała „We'll Meet Again”, występując w zespole Berta Ambrose'a, żydowskiego imigranta z Polski. Utwór powstał przed wybuchem wojny, lecz smutek i optymizm prostego tekstu o obietnicy ponownego spotkania (choć „nie wiem gdzie, nie wiem kiedy”) oraz intymna interpretacja Lynn sprawiły, że stał się ulubioną brytyjską melodią II wojny światowej. Piosenkarka występowała w szkockich dokach, skąd odchodziły atlantyczne konwoje, w fabrykach amunicji i szpitalach, łagodząc rozstania. Prowadziła audycję, w której czytała żołnierzom listy od ich matek i żon – radio BBC na jakiś czas zdjęło ją z anteny pod naciskiem sztabowców, którzy bali się epidemii melancholii.

Na Wyspach „We'll Meet Again” trafiła głęboko do zbiorowej świadomości. W kwietniu tego roku, chcąc podnieść Brytyjczyków na duchu w czasie epidemii, Elżbieta II użyła w przemówieniu właśnie tej frazy. Piosenka stanowi ilustrację muzyczną ostatnich ujęć filmu Stanleya Kubricka „Dr. Strangelove, albo jak przestałem się bać i pokochałem bombę”, pokazują-



SEAN DEMPSEY / PA / EAST NEWS

cych wybuchy bomb atomowych. Grupa Pink Floyd poświęciła Verze Lynn jeden z utworów albumu „The Wall”. Jej głos, jak żaden inny, uruchamiały w Brytyjczykach niespotykane pokłady rzewności, których, rzecz jasna, nazajutrz bardzo się wstydzili.

O Lynn, która w latach 70. otrzymała tytuł szlachecki, mówiono, że „nie zgadza się na teraźniejszość”. Całe życie poświęciła weteranom. Korespondowała z nimi długo po wojnie, ostatnią piosenkę nagrała, żeby uczcić koniec interwencji w obronie Falklandów. W 2009 r., gdy miała już 92 lata, jej płyta zajęła 1. miejsce na brytyjskiej liście sprzedaży. Występowała na rocznicach i upamiętnieniach. W ostatnich latach dostawała coraz więcej listów od wdów, które pisały, że ich mężowie, kombatanCI II wojny, chcieli, by na ich pogrzebie zagrano właśnie „We'll Meet Again”. Sama przeżyła niemal wszystkich, którym wtedy śpiewała. Zmarła w ostatni czwartek, 18 czerwca, w wieku 103 lat.

© © MARCIN ŻYŁA

Wyjątkowa gra będzie szkolną lekturą

„NA WOJNIE NIE KAŻDY JEST ŻOŁNIERZEM”. Tym hasłem reklamowano polską grę „This War of Mine” (Ta moja wojna), pokazującą wojnę z perspektywy cywilów, którzy, by przeżyć, muszą dokonywać tragicznych wyborów. Gra zdobyła dziesiątki nagród, a jej poważne analizy drukowały „Washington Post” i „New York Times”. Teraz ma trafić na listę lektur uzupełniających dla liceum. Obok Kafki, Borgesa, Mrożka.

„Poprzez włączanie gier do systemu edukacji będziemy poszerzać naszą wyobraźnię i wносить coś nowego do kultury” – powiedział premier Mateusz Morawiecki, ogłaszając tę decyzję. Gry służą edukacji od lat, ale dotąd pomagały w nauce przedmiotów ścisłych czy języków. Nigdy humanistyki.

To śmiały projekt. Gry zmagają się z reputacją (dziś już często niesprawiedliwą) płytkiej rozrywki. Ale otwarcie szkoły na taki sposób opowiadania rzeczywistości może uwrażliwić uczniów na doświadczenia odległe od ich codzienności. Nie tylko dlatego, że gry są naturalnym medium dla trzeciego już pokolenia.

„Mamy jedną przewagę nad literaturą czy książką – mówił „Tygodnikowi” w 2014 r. Paweł Miechowski, główny scenarzysta firmy 11 bit studios, która stworzyła grę. – Każda decyzja gracza ma konsekwencje, możemy więc wciągnąć go głębiej w opowieść, bo on sam ją tworzy”.

Nie tylko Polska eksperymentuje z nowatorskimi zastosowaniami gier. Amerykańska Federalna Administracja Leków właśnie po raz pierwszy zatwierdziła użycie gry w terapii. „EndeavorRx” ma leczyć ADHD u dzieci. W badaniach klinicznych (prowadzonych na zlecenie producenta) u 30 proc. pacjentów objawy ustąpiły.

© © WOJCIECH BRZEZIŃSKI



KLASOWE WYBORY

Sukces prymusów ze szkoły, którą kieruje Kaczyński,
sprawił, że ten model przyjęli rywale.
Najpoważniejsi kandydaci do prezydentury są uderzająco do siebie podobni.

DARIUSZ KOSIŃSKI

NA POZIOMIE POGLĄDÓW I PROJEKTÓW KAMPANIA PREZYDENCJA była teatrem różnicy. Kandydaci i ich sztaby robili wszystko, by podkreślić, jak bardzo są od siebie odmienni. To oczywisty mechanizm, mający wytworzyć polaryzację elektoratu i jak najsilniejsze przywiązanie jak najliczniejszej grupy do konkretnego kandydata. Broń Boże, by któryś z wyborców pomyślał, że równie dobrze może oddać głos na konkurenta!

Walka o różnice była tym bardziej intensywna, że jej najważniejsi aktorzy byli do siebie podobni jak sześć kropel wody. Biali, stosunkowo młodzi, dobrze wykształceni i ułożeni, do bólu mieszczańscy, grzeczni i mili chłopcy, nieco wyrośnięci, ale wciąż zachowujący tę samą kindersztubę. Pamiętacie „ulubienica naszej pani” z książek Goscinnego i Sempéo? Gdy patrzę na uśmiechnięte miło, ładniutkie i sympatyczne buzie faworytów w wyścigu, widzę Ananiasza. Żadnych łobuzów, żadnych „innych chłopaków” – tylko ulubieńcy naszej pani. Prymusi z pierwszej ławki klasy Wolnej Polski, którzy pod jej czułą opieką wykorzystali dane im po 1989 r. szanse i znaleźli się w elicie beneficjentów transformacji. Mają się świetnie i świetnie wyglądają: zadbani, dobrze ubrani, przekonani, że świat należy do nich. Doskonale opływowi. Nikt z tej czołówki niczym szczególnym na tle innych się nie wyróżnia.

Oczywiście – Ananiasz Andrzej jest bardziej przymilnie prymusowaty i śmieszniejszy, gdy usiłuje odgrywać zdecydowanego lidera, niż inteligencko ironiczny Ananiasz Szymon, a bardzo dziecięcy urok Ananiasza Władysława jest inny niż bardziej „męski” czar Ananiasza Rafała (jedyne nieogolonego na głaz). Ale to są niuanse i trzeba dopiero sięgnąć do dalekiego drugiego szeregu, by zobaczyć takie oryginalne i fantazyjne postacie jak Marek Jakubik, Paweł Tanajno czy Stanisław Żółtek. To oni – wyglądający jak starsi i młodszy krewni, którzy przyjechali z prowincji do bratanków i kuzynów odnoszących sukcesy w stolicy – przypominają ludzi, których mijam na ulicy. Takich jak tamci nie spotykam.

TWÓJ LEPSZY NIŻ MÓJ

To kolejna rzecz oczywista, a chyba prześlepiana: doświadczenie życiowe, pozycja, kontekst społeczny, jakie reprezentują kandydaci na prezydenta 2020, nie mają nic wspólnego

z doświadczeniami, pozycjami i kontekstami większości ich wyborców.

Najbardziej jest to uderzające w przypadku kandydata PiS-u, który został obsadzony w roli „reprezentanta” Polaków pozbawionych jakoby dobrodziejstw transformacji i wykluczonych z wytworzonych w jej efekcie „elit”. I biograficznie, i postaciowo Andrzej Duda nie ma ze swoim domniemanym elektoratem nic wspólnego. Będąc wręcz uosobieniem beneficjenta postsolidarnościowego układu, zdołał dzięki odpowiedniemu spozycjonowaniu (bo przecież nie dzięki grze – obecny prezydent jest słabym aktorem) zająć z powodzeniem miejsce trybuna uciśnionych, który wpatrzony w wizję Mojżesza Jarosława prowadzi ich z kraju w ruinie przez czerwone morze postkomunistycznych układów ku obiecanej ziemi dostatku.

Ten mit, osadzony w biografii politycznej prezesa Kaczyńskiego i części działaczy jego pokolenia, został sprawnie przejęty przez młodych polityków o kompletnie innej drodze życiowej (ich czołowym reprezentantem jest kolejny wzorcowy Ananiasz – premier Morawiecki). Młode wilczki metropolitalnego kapitalizmu dostały tym sposobem uprawnienia do reprezentowania emerytek nawróconych z łagodnego pezetpeeryzmu na ostrą postać radiomaryjnozy, średnio zamożnych drobnomieszczan z małych miast, tym bardziej głoszących miłość niezłomną Ojczyzny, im bardziej ich dzieci odmawiają powrotu z Londynu, i masy rozczarowanych z tysięcy innych powodów. A także rosnącej, może wręcz już najliczniejszej grupy: tych, którzy są względnie zadowoleni ze swojego życia, ale i tak czują, że coś jest nie tak.

Sukces prymusów ze szkoły, którą kieruje Kaczyński, sprawił, że ten model przyjęli rywale. Wszyscy usiłują przekonać ludzi odczuwających niespełnienia i braki (a któż ich nie odczuwa?), że sami są od nich wolni, więc i ich uwolnić mogą. To bowiem w tropieniu wyśniewionej tożsamości polskiego wyborcy roku 2020 wydaje mi się sprawą najbardziej oczywistą i generującą ten garnitur Ananiaszy: oni nie reprezentują wyborców z ich doświadczeniami i rzeczywistymi pozycjami społecznymi, ale ucieleśniają negację ich braków.

Od skrajnej prawicy Krzysztofa Bosaka po skrajną (względnie) lewicę Roberta Biedronia są upragnionymi innymi – nie tymi, którymi jakoś jesteśmy, ale też nie tymi, którymi

→ chcielibyśmy się stać. Reprezentują nas tak samo jak niemal identycznie gładki i metroseksualny Robert Lewandowski reprezentuje Polskę w teatrze światowego futbolu. Wielki, bo radykalnie inny od tego, jak sami o sobie myślimy i jak sami siebie odczuwamy. Nasz, a niebotycznie odmienny, więc oczywiście działający w innym świecie.

Inni ludzie, inny świat... Snuta wokół kandydatów fantazja na temat Polski oznacza w pierwszej kolejności wyparcie Polski realnej. Po tym jak w 2015 r. Platforma Obywatelska postawiła na wspólne zadowolenie z tego, co już osiągnęliśmy, i sromotnie przegrała, wszyscy kandydaci już rozumieją, że teraźniejszość zawsze jest niesatysfakcjonująca. Dlatego – jak czyni to Prawo i Sprawiedliwość – trzeba nieustannie projektować przyszłość i ku niej się zwracać. Zwłaszcza dziś, gdy teraźniejszość jest dotknięta permanentną tymczasowością generowaną przez pandemię i wszyscy myślą raczej nie o tym, co jest, lecz o tym, „co to będzie, co to będzie?”, wyparcie „tu i teraz” wydaje się jedyną opcją.

Logicznie i paradoksalnie potwierdza to fakt, że wszyscy kandydaci nieustannie mówią o „realnych problemach Polek i Polaków” i wszyscy odwiedzają miejsca, które same siebie uznają za Polskę „rzeczywiście rzeczywistą”, głównie prowincjonalne miasta (odkrycie Andrzeja Dudy, który takimi wizytami wygrał kampanię poprzednią).

Odwiedziny te wpisują się w logikę wyparcia realnej Polski, ponieważ mają wszelkie znamiona zstąpienia. Wytworzone przez nas fantazje ucieleśniają się na pozbawionych historii, przerażająco podobnie odnowionych za unijne pieniądze ryneczkach z pastelowymi kamieniczkami i igrającymi wesoło fontannami, by zapowiedzieć wyzwolenie z siebie i możliwość przemiany – doprawdy wszystko jedno, czy narodowo-mesjańskiej, czy mesjańsko-liberalnej.

NIE WYCHYLAĆ SIĘ

To, że ten sam dramat grają dwie czołowe partie, które w istocie nie różnią się tak znacznie, jak same od 10 lat do bólu skutecznie rozgrywają – nie dziwi. Dlaczego jednak obsadzili się w nim pozostali kandydaci? Czyżby kulturowa moc archetypu syna zstępującego, by zrealizować wizję zapowiedzianą przez ojca, była tak potężna, że żaden nie pomyślał o rzeczywistym wykorzystaniu kampanii do wytworzenia alternatywnych postaci?

Na to wygląda. Dowód najlepszy, że dwaj kandydaci, którzy w pewnych momentach mieli realne szanse zagrożenia protagonistom, w pełni akceptowali znany scenariusz. Uznając, że serial o chłopcu i ojczyźnie nie stracił na atrakcyjności, nawet nie próbowali zaproponować własnego, skupiając się na przekonywaniu widzów, że lepiej zagrają głównego bohatera. Szymon Hołownia usiłował wprawdzie przekonywać, że da sobie radę właśnie dlatego, że nie ma nad sobą ojca-wizjonera, ale jakoś mało kto był w stanie uwierzyć, że ten znany z telewizji sympatyczny chłopak jest już na tyle duży, by mógł być samodzielny. Przeciwnicy bez trudu wytworzyli przekonanie, że „ojciec” jest, ale zły, bo ukryty.

Jako jedyna strategicznie i świadomie dokonała wyboru swojego Ananiasza nacjonalistyczna prawica, działająca na rzecz normalizacji i wejścia do politycznego mainstreamu. Po latach zwracania uwagi dzięki ekscentrykom typu Janu-

sza Korwina-Mikke czy Grzegorza Brauna, narodowcy postanowili wybrać chłopięcego kandydata jak wszyscy inni, by w ten sposób zdjąć z siebie odium „odlotu”. Niezależnie od ostatecznego wyniku Krzysztof Bosak już odniósł sukces, wypowiadając się w sposób wyrazisty, prosty i zdecydowany, pozbawiony może kwiecistości i paradoksów tak lubianych przez dawnych liderów, ale za to skutecznie przekonujący, że dziarscy chłopcy to też prymusi nadchodzącego świata.

Naprawdę jednak zastanawia, dlaczego z wyrazistego odróżnienia się zrezygnowali działacze lewicy. Wiadomo przecież, że ugrupowania połączone pod jej sztandarem nie mają szans na zwycięstwo, a ich udział w wyborach ma sens nie tyle jako przeliczenie posiadanych zwolenników, ile jako szansa na wytworzenie postaci, która w dłuższej perspektywie pozwoli na przyciągnięcie i utrzymanie nowych. Lewica tymczasem wybrała Ananiasza Biedronia, a na dodatek do tego stopnia go zananiażowała, że mając jedynego kandydata nieheteroseksualnego, ukryła jego odmiennność za chłopięcym wdziękiem. W tym upodobnieniu zniknęło coś, co jest lewicy siłą prawdziwą: aktywistki i aktywiści, które i którzy także w wyglądzie i zachowaniach „są zmianą, jakiej pragną”.

W rywalizacji z centrowymi i prawicowymi chłopcami aż by się prosił na lewicy ktoś, kto już samą swoją cielesnością pokazywałby, że „inna polityka jest możliwa”. Zamiast tego zwolenników lewicy namawia się do utożsamienia z mieszczańskim prymusem z dobrego domu, spełniającym marzenia cioci o grzecznym bratanku. A przecież nawet jeśli ciocia zaprosi Roberta na obiad, to i tak na niego nie zagłosuje.

CHERCHEZ LA FEMME!

Oczywistym i najważniejszym elementem tożsamościowym (nie)wytworzonym przez wybory prezydenckie 2020 jest postać kobieca. Zaskakująco łatwo przeszliśmy do porządku nad rezygnacją Małgorzaty Kidawy-Błońskiej, uznając ją za wynik niefortunnego zbiegu okoliczności. Obawiam się, że sprawa nie jest tak prosta, a wycofanie jedynej kandydatki na prezydentkę mówi o czymś poważniejszym i trwalszym.

Pierwszy wybór dokonany przez Koalicję Obywatelską był ryzykowny, ale wydawał się racjonalny: przeciwstawić chłopcu czerpiącemu ewidentną satysfakcję z poddania karzącej ręce ojca dojrzałą i samodzielną kobietę, która przechodzi obojętnie obok walk kolegów usiłujących zdobyć zainteresowanie Naszej Pani. Może nawet zbudować przekonanie, że to ona tak naprawdę jest Naszą Panią – uosobić w niej wyobrażenie o współczesnej Pol(s)ce, ukształtowane odmiennie i pozostające poza głównymi liniami napięć politycznych ostatnich lat właśnie dlatego, że pozostaje blisko realnych problemów.

Oczywiście było w tym też odwołanie do genderowych stereotypów, zgodnie z którymi to kobieta jest przez rzekomo rządzącą jej życiem biologię i charakter jej gospodarskich i macierzyńskich obowiązków mocniej związana z rzeczywistością „tej ziemi”. W politycznym dyskursie ten stereotyp można było negować, ale nie przeskadzało to zbudować na nim skuteczności swojej roli.

Wydawało się, że Kidawa-Błońska ma wszelkie szanse zagrania takiej kobiecej postaci łączącej stereotyp z jego przełamaniem. Nawet w zmienionej sytuacji konsekwentnie trzymała się swojej kreacji, nie dając się wciągnąć w majową rywalizację. Wyszło na jej: wybory 10 maja się nie odbyły i ona jedyna, która od początku mówiła, że nie weźmie w nich udziału, rzeczywiście dochowała wierności swym deklaracjom. Trafnie rozpoznała rzeczywistość i właśnie dlatego musiała, upokorzona przez chłopaków, zejść z boiska.

Tożsamościowe pragnienia Polaków, a przede wszystkim – Polek, nie chcą się przykleić do postaci dojrzałej kobiety. Było już wprawdzie możliwe, by w określonym (i ograniczonym) czasie i kontekście kobieta była premierem i cieszyła się na tym stanowisku uznaniem i sympatią większości jako „jedna z nas” (Beata Szydło), a nawet „przybysz z naszej przyszłości” (tak w latach 90. można było widzieć Hannę Suchocką). Ale kobieta świadomie i konsekwentnie przywołująca obraz osoby związanej z realnością i codziennością wydaje się nadal nie do zaakceptowania jako głowa państwa i reprezentacja jego obywateli i obywateli.

To oczywiście klęska wszystkich ruchów antypatriarchalnych, na czele z feminizmem każdej fali i odmiany. Ale też coś, co nie świadczy dobrze o naszej dojrzałości jako społeczeństwa. Inwestując tożsamościowe pragnienia w chłopców z przyszłości, którzy nie mają nic wspólnego z naszymi realnymi doświadczeniami, potwierdzamy, że życie, jakiego pragniemy, jest gdzie indziej. Nie znaczy to, że nie interesujemy się i nie zajmujemy tym, co tu i teraz. Jak najbardziej i najmocniej – tak bardzo i mocno, że radzimy sobie z tym sami, bez polityków, a nawet – wbrew nim. Jednocześnie jednak nie utożsamiamy siebie jako zbiorowości z tym radzeniem sobie i negujemy własną dorosłą sprawczość. Zamiast ją z dumą uznać, projektujemy zbiorową tożsamość na jakąś inną przyszłość, której figurami są gładcy chłopcy bezwarunkowo czczący bezwarunkowo milczącą, nietkniętą realnością Panią i drżący przez ciężką dłoń Pana, który obdarzył ich misją. W pewnym momencie zrozumiał to Jarosław Kaczyński, tworząc ugrupowanie doskonale odpowiadające na ten model, co zapewniło mu społeczne poparcie nieosiągalne, gdy sam usiłował (także przy pomocy brata) reprezentować sprawczość już dorosłej i samodzielnej Polski.

NA KOGO WYPADNIE

Żeby „inne chłopaki” i dziewczyny nie pomyślały, że wobec podobieństwa Ananiaszy udział w wyborach nie ma sensu, muszę na koniec przypomnieć to, co każdy czytelnik „Mikolajka” dobrze wie: strategię przetrwania ulubieńców Naszej Pani są różne. Ten wymyślony przez Sempégo i Goscinniego płakał o byle co i zaraz biegł na skargę. Wiedział jednak i wszy-

scy inni też wiedzieli, że w przyszłości to on będzie VIP-em z radością niepoznanym na ulicy dawnych kolegów.

Ale przecież znacie i takich, którzy zawierali z silniejszymi sojusze, ofiarując im wsparcie w walce z domniemanym wspólnym wrogiem. Jeśli nie chcesz, by klasowy byczek okładał ciebie, wymyśl powody, dla których będzie okładał kogoś innego i wesprzyj go w uzasadnieniu tej agresji. Nic tak nie uwalnia od wykluczenia własnego jak wykluczenie innych.

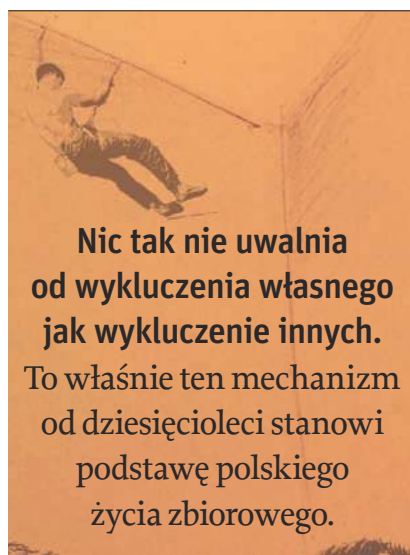
To właśnie ten mechanizm od dziesięcioleci stanowi podstawę polskiego życia zbiorowego. Nie, nie jest tak, że stosuje go tylko jedna strona, bo po rozpadzie PO-PiS-u używały go obie główne partie. Ale w duopolu, który niepodzielnie rządzi polską polityką od 2005 r., to Platforma grała ważniaka, który odniósł sukces, wierząc, że w taką postać zainwestują wyborcy. I rzeczywiście początkowo inwestowali, także dlatego, by nie mieć nic wspólnego z obciachowymi wujkami i ciociami z prowincji.

Gdy jednak okazało się, że w „księstwie Monaco” (by użyć celnej, a nie mądrze wysmianej metafory Pawła Kukiza) miejsca dla wszystkich nie ma, Donald i jego kumple z symboli wspólnego sukcesu stali się uosobieńkami dbania wyłącznie o siebie. Jarosław przejął koleżanki i kolegów, których tamci nie chcieli już znać, i zaproponował im wspólną grę w szukanie wroga. Najpierw oczywiście był nim dawny prymus, a potem to już na kogo wypadnie, na tego być.

Jest to prosta i politycznie niezawodna droga do wytworzenia obiecywanej ciągłej „wspólnoty”, w której „zbawca” kreuje „judasza”, by umocnić więzi łączące go ze zbiorowością, ustanawianą w swojej „uświęconej normalności”. W naszym naznaczonym względnością wszystkiego świecie ten w istocie pusty konstrukt tożsamościowy jest niezwykle pożądany, a może powstać tylko poprzez kontrast z innością i w zasadzie tylko w zbiorowości. Jako jednostki wszyscy jesteśmy „nienormalni”, bo – co przecież wiemy aż do banału – każda z nas jest inna. Nie jest jednak prawdą (w co wierzą ruchy emancypacyjne), że każda chce być inna. Bycie niepowtarzalną sobą to ciężka praca i spora odpowiedzialność. A także ryzyko. O wiele łatwiej i bezpieczniej być „normalsem”, co najprościej osiągnąć stając się członkiem wspólnoty delegującej wyróżnionego „przywódcę”, by wskazywał kolejne groźne wyjątki.

Można by – i często się to robi – pokazywać, że działa tu mechanizm stary i znany do bólu, który koniec końców prowadzi do zbrodni. Ja jednak bronie się przed tą logiką, wybierając odruchowo i w zgodzie z panującym gustem „Mikolajka”, a nie „Władcę much”. Na wszelki wypadek trzymałbym się jednak z dala od tych Ananiaszy, którzy usiłują przekonywać, że wszyscy już dawno jedlibyśmy najsmaczniejsze bułeczki, gdyby nie ten żarłok Alcest.

© DARIUSZ KOSIŃSKI



**Nic tak nie uwalnia
od wykluczenia własnego
jak wykluczenie innych.
To właśnie ten mechanizm
od dziesięcioleci stanowi
podstawę polskiego
życia zbiorowego.**



ARCHIWUM PRYWATNE

Bijatyka na zabawie

TOMASZ SZLENDAK, SOCJOLOG:

Szukamy lidera, ale wybieramy taki produkt polityczny, który naszej prywatnej wyspie pozwoli przetrwać bez zmian.

MICHAŁ KUŹMIŃSKI: Wybory są jak zawieranie umowy? Jak supermarket? Czy jak festyn?

PROF. TOMASZ SZLENDAK: O „zawieraniu umowy” zapomnijmy: z badań wynika, że świadomość i wiedza prawna Polaków są w powijakach i że praktycznie nikt nie czyta umów. To sytuacja idealna dla polityków. Jeśli nawet uznać, że ich słowa są ustną umową, to wyborcy i tak ich w ten sposób nie traktują. Nikt, poza osobami zajmującymi się zawodowo polityką i niewielką liczbą pasjonatów, nie zajmuje się rozliczaniem obietnic.

Supermarket? Tak. Dobrze widać np., co jest w promocji. Dla każdego coś dobrego, nawet towary w naszym wszechświecie niedostępne. Tyle że jako wyborcy zaglądamy do różnych supermarketów. Część do dyskontów, część do

delikatesów, a klienci jednych nie mają pojęcia, jak zorganizowana jest sprzedaż u drugich. Jaka była kolejna metafora?

Festyn. Pytam o niego, bo opisywał Pan zmiany naszych stylów konsumpcji: przejście od konsumpcji dóbr ku konsumpcji doznań i wrażeń.

Tak, festyn to metafora najlepsza. W dodatku spiętrzenie czasowe, które mamy w tej kampanii, powoduje, że co dwa dni zmieniają się inscenizacje i repertuar. Publiczność wyposzczona lockdownem pożąda silnych wrażeń, więc każdy aktor stara się je uruchomić. Nawet do zgody wzywają, krzycząc. A gdy przesadzą, na festynie wybucha bijatyka.

Atak na LGBT był bójką na festynie czy zaplanowanym występem?

PROF. TOMASZ SZLENDAK jest socjologiem, pracuje na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. Wiceprzewodniczący Komitetu Socjologii PAN. Zajmuje się m.in. socjologią konsumpcji, rodziny i młodzieży. Autor kilkunastu książek.

Zaplanowanym występem lekkomyślnie wklejonym w rytuał o dużej energii emocjonalnej. Za jej sprawą aktorzy takiego eventu zapędzają się w swoich tyradach i to, co miało być strategią służącą uruchomieniu wyborcy, wyrywa się spod kontroli. Nie przewidziano efektów po drugiej stronie, a także wśród tych konsumentów po swojej stronie, którzy myślą i czują umiarkowanie.

Mamy tu też kłopot komunikacyjny. Na takim wydarzeniu mówca ma wrażenie, że mówi do swoich. Nie pojmuje, że jest kompletnie inaczej rozumiany poza swoim światem. Bo mamy dziś dwa języki polskie. Odbiorca, który przez lata w prawicowych mediach nasłucha się, że LGBT to ideologia, desakralizacja i szatan, będzie ten termin odczuwał zupełnie inaczej niż czytelnik portali centrowych i lewicowych. Nie ma jednego uniwersum symbolicznego, wspólnych znaczeń, a emocjonalna atmosfera i spiętrzenie kolejnych atrakcji na festynie sprawiają, że nie ma też momentu na refleksję.

Pytam o politykę językiem konsumentkim, bo to konsumpcja stała się kluczem do serc wyborców w 2015 r. Wygrała partia, która ogłosiła koniec epoki zaciskania pasa i brania spraw w swoje ręce, inaugurując erę korzystania.

Zwycięzcy mieli szczęście, trafili w koniunkturę. Mieliśmy wtedy bezprecedensowy moment: z kraju rozwijającego się staliśmy się rozwiniętym, wylądowaliśmy w pierwszej czterdziestce w rankingu jakości życia na świecie. Polityka poprzedniej władzy przestała odpowiadać na konsumpcyjne aspiracje, nie dawała poczucia uczestnictwa w owocach rozwoju.

Kiedy na początku lat dwutysięcznych zacząłem badać konsumpcję, wydawało mi się, że w 2020 r. będziemy już na etapie dążenia do sensu, czyli np. do samorozwoju, a nie do statusu. Że będziemy – przepraszam za naiwność – mniej więcej

na poziomie Danii i zachłyśnięcie galeriami handlowymi się zakończy. A tymczasem wciąż tkwimy na etapie prostej konsumpcji dla statusu.

Nie szukamy sensu?

Nie mam co do tego złudzeń. W połowie lat dwutysięcznych wszystko ku temu zmierzało, przeżyliśmy boom edukacyjny, w efekcie którego co drugi trzyletniak ma dziś wyższe wykształcenie. Ale nie przełożyło się to na kapitał kulturowy i postawy wobec świata. Oczywiście, spora część z nas zaczyna przechodzić na poszukiwanie doznań – polecilibyśmy do Wietnamu, poematyzowalibyśmy się na festiwalu światła. Ale tu wciąż chodzi o przyjemność, nie o samorozwój.

To działa także względem oferty politycznej?

Wyborcy żądają od polityków zabezpieczenia przyjemności. Od kandydata wymagamy, żeby nasz świat nie uległ zmianie po wyborach. Chcemy gwarancji, że będziemy mogli dalej osiągać przyjemność, i to wyłącznie po naszymu.

Wbrew licznym wyobrażeniom o „pisowskim ludzie”, partia ta – jak dowiodły badania m.in. Macieja Gduli – zdobyła głosy części klasy średniej. Pamiętam tę konsternację niektórych: że ludzie o podobnym statusie i doświadczeniach mogą mieć tak odmienne preferencje polityczne, wartości i wizję świata...

Nie ma jednej, ustabilizowanej klasy średniej, nawet w miastach – wciąż nie może ona okrzepnąć. Muszę jednak dodać, że definiuję klasę średnią jako kategorię społeczną opartą na podobieństwie kulturowym, która sama siebie postrzega jako środek struktury społecznej, wiecie podobny styl życia i przejawia aspiracje do samorozwoju. Już od dawna wyznacznikiem klasy średniej nie są kryteria majątkowe czy dochodowe.

Bo może do niej należeć równie dobrze informatyk z korporacji, zarabiający kilkanaście tysięcy, jak i nauczyciel z dochodem 2,5 tys. miesięcznie?

Mało tego: jako klasa średnia postrzegają się np. policjant albo kosmetyczka z własnym zakładem. Zaliczają się do niej sami za sprawą przekonania o prowadze-

niu stylu życia i posiadaniu kompetencji charakterystycznych dla środka.

Spoglądając jednak z boku, wybory kulturowe wielu uważających się za klasę średnią nieszczególnie ich do tej klasy kwalifikują. Polacy w ostatnich latach zaliczyli generalny awans w większości sfer: ekonomicznej, statusowej, edukacyjnej. Dzięki transferom socjalnym pojawiły się nowe środki na konsumpcję. Ale ten ogólny awans nie idzie w parze z awansem kulturowym. Przykład? Polacy zasadniczo nie czytają książek. Nie chcą marudzić, stwierdzam fakt. A gdy się nie czyta, to każde usłyszane od polityka trzy-po-trzy jawi się głęboką myślą. Nie pojawiły się potrzeby samorozwoju, zmiany w myśleniu o świecie, spojrzenia na własną sytuację szerzej niż tylko z perspektywy czysto ekonomicznej, przyziemnej i bardzo lokalnej. Klasa średnia z tej kulturowej definicji liczy dziś w Polsce raptem może 10 proc. populacji. Nasze badania z 2018 r. dowiodły, że w Warszawie to 8-9 proc. ludności. A ostatnie wyniki badań CBOS pokazują, że za klasę średnią uważa się ponad połowa Polaków.

W dodatku ludzie z mniejszych miejscowości postrzegający się jako klasa średnia są zdecydowanie bardziej, powiedzmy, konserwatywni w swoich wyborach kulturowych. Gdy w sześciu małych miastach zbadaliśmy praktyki kulturowe, wyszło nam... że ich nie ma. Nawet Netflix jest tam marginalnie obecny, a jego oglądanie słabo koreluje z zarobkami i pozycją zawodową.

Jak to się przekłada na politykę?

Dwóch najpopularniejszych kandydatów mówi do innych, samodefiniujących się klas średnich. Do całkowicie innych Polak, które sądzą, że są ze środka. Mało tego: zwolennicy Andrzeja Dudy mogą zarabiać dużo więcej niż Rafała Trzaskowskiego. Łatwe linie podziałów są w Polsce trudne do poprowadzenia.

Niekorzystanie z treści kultury i brak pewnych doświadczeń edukacyjnych mają silne konsekwencje polityczne. Splata się to np. z poparciem dla czegoś, co socjolog Rafał Drozdowski nazwał polityką konkretnego. Jej zwolennicy życzą sobie działania, a nie gadania. Nie przyjmują np. do wiadomości, że funkcjonujemy w skomplikowanej przestrzeni prawnej UE, co uniemożliwia choćby szybkie „zrobienie czegoś” z sądami – a trzeba powiedzieć, że badania socjolo-

giczne pokazują, iż doświadczenia z sądami np. przedsiębiorców rzeczywiście bywają niedobre. Z kolei część klasy średniej korzystająca z kultury i mająca pewne doświadczenia wie, że świat jest bardzo złożony, że tworzenie prawa wymaga olbrzymiej liczby uzgodnień, że nie wszystko „da się zrobić” teraz i zaraz.

Politycy wykorzystują to, podsycając wojnę klasową, w której fronty przebiegają według czynników kulturowych, a nie ekonomicznych.

I, jak Pan powiedział, sprzedają swoim konsumentom gwarancję trwania ich wizji świata?

Dotyczy to w mojej ocenie wszystkich kandydatów, z wyjątkiem Krzysztofa Bosaka. On jako jedyny nie opowiada swoim konsumentom czegoś, czego sam nie wyznaje. Pójdzie w radykalnym marszu, mówi, co myśli, nie dostosowuje przekazu do sondaży. Problem tylko w tym, że oferuje swojej klienteli świat, który ją zje. Jego zwolennicy to w większości młodzi, nieszczególnie majątni i wykształceni mężczyźni. Im akurat pomogłoby silne, zorientowane lewicowo państwo, tymczasem akceptują oni opowieści nawet nie neoliberalne, co wręcz libertariańskie. A więc ten kandydat szczerze opowiada swoim wyborcom o świecie, który nie da im szczęścia, a pozostali wyborcy żądają szczęścia od kandydatów, którzy nie mogą im go dać, bo nie wierzą w to, co mówią.

W poprzednich wyborach w obiegu było – konsumpcyjne bądź co bądź – porównanie: o walce Budyniu z Bigosem. W tych wyborach w ogóle jest bigos?

Nie ma go. Po raz pierwszy w wyborach prezydenckich mamy do czynienia z konkursem piękności. Wszyscy kandydaci przemawiają do konsumentów wytrenowanych w galeryjno-handlowej estetyce. Nie ma niczego prząsnego – nawet kandydaci konserwatywni i w warstwie estetycznej, i w przekazie nie prezentują się jako tacy. Urodę przynajmniej jednego kandydata akcentuje się wręcz dosłownie – nikt nie ma oporów, by jako jego walor wymienić coś, co w ogóle nie powinno być brane pod uwagę. To wybory dla konsumentów, którzy wyrzucili bigos z jadłospisu.

A co mamy zamiast bigosu?



→ Przykładowo Robert Biedroń jest jak cukierki-zaskoczki – słodkie, ale z kwaśnym środkiem. Z zewnątrz twarda, lewicowa warstwa, ale ze środka bucha kontrastowe, neoliberalne nadzienie. Potwierdzają to sondaże, według których jego zwolennicy szybko przenieśli swoje sympatie na Rafała Trzaskowskiego, który po prostu jest z neoliberalnego porządku, do którego dodał trochę lewicowej przyprawy.

A on?

Trzaskowski to przykład produktu smacznego, ale kierowanego do jednej kategorii konsumentów, jak mus czekoladowy. Gdy chce się go sprzedać szerszej grupie odbiorców, trzeba go domleć i dosłodzić – np. przez przekonywanie, że zawsze cenili Lecha Kaczyńskiego i popiera transfery socjalne.

Władysław Kosiniak-Kamysz?

Milk shake w wysokiej szklance. Nie ma w nim niczego kwaśnego, a ileż można słuchać o dążeniu do zgody?

Szymon Hołownia?

To żelowy misiek – kto nie lubi miszków? Są fajne, ale trzeba się postarać, żeby je rozgryźć. Racjonalny, umiarkowany wyborca-agnostyk może się w każdym punkcie zgodzić z jego programem, ale i tak rozgryzając trafi np. na przekonania, które zaburzają mu nowoczesny wizerunek kandydata.

Same słodczyce? Bosak także?

On jest jak lukrecja, słodczyk hardcore. Lubi ją mniejszość, ale gdy już lubi, to na zabój.

Można mieć odczucie, że sobie trochę dworują, ale niezdecydowani konsumenci polityki, których w elektoratach kandydatów jest sporo, będą kierować się właśnie tym kryterium: co im smakuje.

Ciekawa rzecz, że przezwisko „budyń” wciąż funkcjonuje, także wśród wykształconej części zwolenników prezydenta Dudy. Wielokrotnie słyszałem to wręcz w zdrobnieniu, jako wyraz sympatii.

Budyniek, który np. w sprawie LGBT próbuje być twardy i ostry, nie traci na sympatyczności?

Część jego bardziej umiarkowanych wyborców, np. właśnie tych postrzegających się jako klasa średnia, może czuć

się zdegustowana, gdy Andrzej Duda opowiada rzeczy niezgodne ze swoim wizerunkiem. Jakaś część jego zwolenników może się zrazić, gdy spostrzeże, że nie mówi tego, co myśli. Identycznie jest z pożądanymi odwetami na rządzących wyborcami Rafała Trzaskowskiego, gdy słuchają, jak opowiada o plusach rządów PiS.

W tym sklepie ze słodczymi są w ogóle, poza lukrecją, jakieś naturalne składniki deserów?

Czy wszystko jest sztuczne, sama chemia?

To wykreowany, sztuczny świat, wyborokracja – a więc nie demokracja rozumiana jako sprawowanie władzy dla ludu, lecz osiąganie celu politycznego dla samej władzy i związanych z nią wpływów. W tych wszystkich produktach mamy cały wachlarz E-ileśtam. Dla tego duża część ludzi nieuczestniczących w wyborach nie zmobilizuje się także teraz – bo postrzegają wybory jako coś sztucznego. Są przekonani, że i tak nic się na scenie nie zmieni.

A czy epidemia to nie ten moment, w którym wyborcy lękający się recesji, stanu opieki zdrowotnej albo pozbawieni w czasie lockdownu dochodów, powiedzą: zabierajcie swoje słodczyce, my potrzebujemy żywności?

Może się tak zdarzyć, ale jeszcze nie w czasie tych wyborów. Znaczna część wyborców wie, że wybory prezydenckie to spektakl, za którym nie idą konkrety, bo prezydent w Polsce nie jest od konkretnych. Nawet wyborcy Andrzeja Dudy myśleli o nim jako o gwarancie braku zmiany i niewtrącania się rządowi w politykę konkretną właśnie.

Ale proces „wołania o chleb” się powoli uruchamia, było już widać w protestach przedsiębiorców inicjowanych przez Pawła Tanajno. Wielu ludzi jest przekonanych, że idzie recesja, a przekonanie to będzie powodowało wzrost frustracji dużej części struktury społecznej. Efekt się pojawi, ale odłożony w czasie.

Możą też wystąpić inne niespodziewane efekty pandemii. Badania prowadzone w trakcie lockdownu pokazały, że dwa razy więcej kobiet niż mężczyzn boi się zakażenia. Może się więc okazać, że opór kobiet przed pójściem do komisji wyborczej może być wyższy niż u mężczyzn, którzy – zwłaszcza młodzi – mają

większą tendencję do podejmowania ryzyka. Więc jeśli duża część mężczyzn odczuwa znaczne pogorszenie swojej sytuacji, może dać upust frustracji. A koronawirus wzmacnia emocje, bo system podczas lockdownu pokazał swoją brzydką twarz: policjantów wlepiających mandaty czy sanepidu ładującego po 10 tys. zł grzywny za siedzenie na ławce bez maseczki. Mężczyźni, zwłaszcza z klasy ludowej, mają tendencje do silnego reagowania emocjami w takich okolicznościach.

Co z najmłodszymi wyborcami?

W 2015 r. mówił Pan, że do wybuchów ich sprzeciwu prowadzą nie polityczne rytuały, tylko gwałtowne wydarzenia, które uznają za skierowane przeciw nim. Takim wydarzeniem mógłby być lockdown, który na stylu życia młodych ludzi zaciążył bardzo poważnie.

Mógłby, o ile pamięć o nim nie będzie zbyt krótka. Osoby, które zyskują pełnoletniość akurat w tym okresie, raczej nie zgłoszą na reprezentanta opcji politycznej, która zakazała 17-latkom wychodzić z domu bez opieki. Ale takim wydarzeniem będzie nie tyle epidemia, ile to, co dzieje się teraz. Np. w badaniach CBOS „Młodzież 2016” widać wyraźnie powiększający się rozryw między wyborcami politycznymi i światopoglądowymi młodych kobiet i młodych mężczyzn. Ok. 11-12 proc. kobiet ma poglądy radykalnie lewicowe, a tyle samo mężczyzn ma poglądy odpowiadające Konfederacji. Warto się nad tym zastanowić w kontekście zagrania przez PiS kartą LGBT.

Pewne jest za to, że bardzo wielu z nich na wybory nie pójdzie. To nie ich świat. Do ich przestrzeni medialnej, kont na TikToku i Instagramie, tematy polityczne w ogóle się nie przebijają. Chyba że grube skandale, takie jak ten z LGBT właśnie. Owszem, przekaz polityczny dociera do młodych zradyzalizowanych mężczyzn – za pomocą YouTube’a, na którym Krzysztof Bosak czy Sławomir Mentzen wyjaśniają im świat.

Jest jeszcze jedna ważna grupa: ta, która mówi „mnie polityka nie interesuje”, „nie mam na to wpływu”.

Masa Polek i Polaków zaczyna dzień od zajrzenia w horoskop. Masa ludzi buduje swój dzień na podstawie tego, co wróżbita powie w radiu. Oglądanie telewizji

informacyjnych ekscytuje ledwie odse-
tek, który też żyje na swoich ścianach. Ko-
mentatorom z Twittera wydaje się, że cały
świat drga w rytmie Twittera. Nie, duża
część Polski nie żyje śledzeniem poczy-
nań kandydatów na prezydentów. Mi-
liony Polaków są gdzie indziej i wybory
w ich świecie niczego nie zmieniają.

Co by się musiało stać, żeby przyszedł na polityczny festyn?

Trzeba by im coś żywotnego zabrać, choć trudno dziś powiedzieć, co by to mogło być. Bo rewolucje wybuchają nie wtedy, kiedy ludzium jest złe, lecz gdy zaczyna im być dobrze, a nagle tracą możliwość realizowania swoich aspiracji. Wyobraźmy sobie np., że po koronawirusie polski budżet przestaje się spinać i trzeba wycofać transfery socjalne. Mamy wtedy gwarancję wybuchu niechęci wobec całej klasy politycznej – nie tylko rządzących. Dopiero wówczas radykalnie antysystemowe pomysły, np. projekty Konfederacji, zaczynają zyskiwać na znaczeniu.

Prezydent w Polsce nie jest od konkretów, ale w idealnym świecie powinien być liderem.

Ale to nie jest idealny świat, w którym lider to potężna, uniwersalna postać spajająca wspólnotę. Może pragniemy lidera, ale wybieramy sobie liderka, który rządzi tylko naszą wyspą i jest zaprojektowany na miarę naszej Polski, posiadanej przez nas na własność, skrojonej z naszego gustu, naszych przekonań i naszego stylu życia. Szukamy lidera, ale wybieramy

Wyborcy żądają szczęścia
od kandydatów, którzy
nie mogą im go dać,
bo nie wierzą w to,
co mówią.

taki produkt polityczny, który naszej prywatnej wyspie pozwoli przetrwać bez zmian.

Konsumpcja wiąże się też z marzeniami. Jest takie marzenie konsumpcyjne Polaków, które Pana napawa otuchą?

Nie tyle marzenie, co pewna cecha społeczeństwa postchłopskiego – którą, oczywiście, widać też w klasie średniej. Jest nią otwartość. Wprawdzie, ze względu na naszą historię, nie mamy w sobie za grosz zaufania, o którym faktycznie należałoby marzyć, ale jesteśmy otwarci. Umysłowości postchłopskiej nie odpowiada ani rasizm, ani pełna asymilacja obcych, ani homofobia, ani zgoda na małżeństwa jednopłciowe.

Choć osoby LGBT się z tym nie zgodzą, to jednak jest w takiej postawie załączek tolerancji, bo można ją przekazać politycznym czy marketingowym wzmocnić w stronę otwartości. Ale można też ją, za pomocą emocjonalnej spirali politycznego festynu zagłuszyć. Weźmy nasz stosunek do Ukraińców: gdy Polakom przedstawia się ich jak wroga, pojawia się niechęć. W codziennych, bezpośrednich kontaktach niemal jej nie ma.

Aż się prosi o prognozę.

Przyszłości Polski upatruję w tej dozie otwartości, którą możemy w sobie pielęgnować. Tyle że politycy, budząc złe emocje, przesuwają nas w stronę wrogości. Tak samo jest w sferach, między którymi jesteśmy nieustannie rozpięci: nowoczesności, rozumianej konsumpcyjnie, i tradycji, rozumianej jako katolicki rytualizm porządkujący życie. W ramach gry politycznej bezustannie naciska się na jedno i drugie, ale po to, żeby i z tej naszej skłonności ku tradycji, i z konsumpcji wydobywać to, co najgorsze.

A politycy powinni mieć w pamięci, że podczas bójki na festynie może dojść do prawdziwego nieszczęścia.

Nasza klasa polityczna przejdzie do historii jako ci, którzy wydobywali z Polaków to, co najgorsze? Smutne.

Nie zgadzam się z opinią, że wybieramy sobie takich polityków, jacy sami jesteśmy. Nie, nie jesteśmy tacy.

© P Rozmawiał MICHAŁ KUŹMIŃSKI

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc,
Michał Okoński, Marek Rąbaj,
Mariusz Sepiolo, Andrzej Stankiewicz,
Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik),
Marcin Żyła
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,

Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedytacja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda,
Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka,
Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frolow,
Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne:
Maja Kuczyńska (kierownik),
Anna Dziurdzikowska, Marta Filipiuk-Michniewicz,
Monika Ochędowska, Mateusz Gawron,
Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz,
Anna Dziwiałt-Meller, Szymon Hołownia,
Jan Kłata, Stanisław Mancewicz,
Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus
Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk,
Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata
Chomętowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna
Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła,
Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek,
ks. Tomasz Halik, ks. Michał Heller, o. Wacław
Hryniewicz, Eliza Kačka, Piotr Kłodkowski,
Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota
Kozłowska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka,
Stanisław Łubieński, Szymon Łucyć, Józef Majewski,
Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja,
Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena
Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech,
Olaf Osica, o. Wacław Osajca, Jacek Podsiadło,
Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna
Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna
Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Ślawek, Michał
Sowiński, Andrzej Stasiuk, Marcelina Szumer-Brysz,
Paweł Świątek, Jacek Taran, Joachim Trenkner

Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes),
Maja Kuczyńska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków,
ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11,
redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70,
reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83,
prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA

S-NET
GRUPA TOZA

S-NET zapewnia wsparcie
technologiczne dla „Tygodnika
Powszechnego”

Quad
Graphics

Quad/Graphics w Wyszkowie
drukuję „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZIA NA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

PAWEŁ

Śpiewak: Kara za przelanie krwi



„KTO PRZELEWA KREW CZŁOWIEKA, TEGO krew przez człowieka będzie przelana” – mówi Bóg do Noego, co pięknie brzmi po hebrajsku przez odwrócenie szyku słów: „*Szofeh dam ha’adam ba’adam damo jisz-hafech*”. Jeśli uczynisz zło, zło dotknie cie-

bie. Kara jest niczym lustrzane odbicie dokonanej zbrodni. Nie ma tu okoliczności łagodzących czy nadzwyczajnych. Każde życie wymaga ochrony i żadne życie nie jest lepsze lub gorsze. W tym przypadku działa reguła równości, ponieważ niezależnie od płci czy społecznej pozycji zostaliśmy stworzeni na obraz Boga. Nie ma tu miejsca na zemstę. Wendeta zostaje wykluczona. Morderca powinien zostać ukarany, a strach przed karą śmierci chroni nas przed kolejnym zabójstwem. Tak ma wyglądać życie wedle prawa, a nie w stanie naturalnym czy przedcywilizacyjnym. Prawo nie istniało przed potopem. Ludzie wtedy łatwo się zabijali. Teraz nakazuje nam Bóg, by stworzyć taki ład prawny, by do zabójstwa nie dopuszczać.

Prawo do życia jest pierwszym prawem i co do tego nie mamy wątpliwości. By tak się stało, musimy wierzyć w Boga jedynego – Jego to obraz w sobie nosimy – oraz musimy uwierzyć, że człowiek jest stworzony na podobieństwo Boga. Jest kimś lepszym niż zwierzęta, ale nie wolno mu też uważać się za Boga. O tym, że człowiek jest istotą Bogu podobną, dowiadujemy się z pierwszego rozdziału Księgi Rodzaju. Można podejrzewać, że chodzi o to, iż tak jak istota najwyższa posiada zdolność do mówienia i rozumowania, ma prawo działania wedle swej woli, która jest wolna. Z drugiej historii stworzenia dowiadujemy się, że człowiek zyskał dodatkowy atrybut: wie, czym jest dobro i zło. Czyli jest istotą, która zna różnice moralne i może/musi stale między nimi wybierać. Wynika z tego, że musi rozumieć moralne i prawne dystynkcje, nazywać je, szukać reguł, wedle jakich mamy postępować. Dobro i zło odnosi nas do zasad sprawiedliwości – o czym mowa w noahickim przymierzu, dany mu jest nakaz życia sprawiedliwego.

Wielki spadek na ludzi obowiązek i dlatego Żydzi będą zawsze powtarzać: sędzia i mędrzec studiujący nakazy Boga są tymi, którzy nie tylko wypełniają nakazy Boga, ale i dopełniają akt stworzenia. Oparciem dla prawa jest status ontyczny człowieka, który po raz pierwszy jest przedstawiony człowiekowi. Można rzec, że w pierwszym i drugim akcie stworzenia swoje oznajmienia Bóg kieruje do siebie, zapowiada je, ale nie rozgłasza; tutaj otwarcie wskazuje je ludziom. Do nas je kieruje. Mówi, jak wysoki jest status człowieka i jakie z tym wiążą się wymagania.

Usłyszał te nakazy Noe. Jego odpowiedzią było milczenie. Może nie rozumiał słów Boga. Może się przeraził Jego nakazami. Może rozumiał, jak trudne i niemożliwe do spełnienia są te wymagania. ©

O. WACŁAW

Oszajca: Zanurzeni w Chrystusa



JEST, JAK JEST, ALE WAKACJI ZMARNOWAĆ NIE można i nie warto tracić czasu na zastanawianie się, co by było, gdyby się nie wydarzyło, co się wydarzyło. Co prawda uwielbiający morskie kąpiele pewnie nie zanurzą się w ciepłych wodach takiego czy innego morza, ale mogą się zanurzyć w rodzimych jeziorach,

jeszcze niedostatecznie odkrytych, więc pozostających wyłącznie do naszej dyspozycji. Bez większego nakładu sił i środków można zanurzyć się w zieleni lasów, a na polance wynurzać się w słońcu, nie mówiąc już o czystym powietrzu.

Przez parę miesięcy byliśmy zanurzeni w domowych pieleszach ze współmałżonkiem i dziećmi, psem, który miał już dosyć spacerów, i pewnie niejednemu marzyło się inne zanurzenie gdzieś, w jakimś pustkowiu, na przykład w namiocie na wysokiej poloninie. Takich miejsc i wydarzeń, w które jesteśmy zanurzeni, jest bez liku. Właściwie cała rzeczywistość, w której żyjemy, to nic innego jak tylko nasz dom z mnogością drzwi, okien, ścian, w których rozrasta się gąszcz wydarzeń, dziejących się w nas i wokół nas, nie wiadomo skąd napływających i dokądś odpływających. Być może dlatego wdrapujemy się na górskie szczyty, godzinami patrzymy na morze czy w rozgwieżdżone niebo i jasny księżyc, marząc o wnikięciu poza horyzont, ten kształtowany przez kulistość Ziemi, ale i ten stawiany przez rozum i serce. Poza tym ten rodzinny, przeogromny dom wypełnia się uczelniami, książkami, muzeami, teatrami i wszelkimi innymi instytucjami pozwalającymi zanurzyć się w jeszcze inny żywioł niż przyroda, to znaczy w kulturę, i posmakować „owoców ziemi i pracy rąk ludzkich”.

W pierwszą niedzielę lata w kościele usłyszymy Pawła Apostoła, który przypomni o jeszcze innym zanurzeniu: „Czyż nie wiecie, że ci z nas, którzy zostali zanurzeni w Mesjasza Jezus, zostali zanurzeni w Jego śmierci? (...) Podobnie wy uważajcie siebie za martwych dla grzechu, lecz żywych dla Boga przez swą jedność z Mesjaszem” – czytamy w Liście do Rzymian tak, jak go przełożyli autorzy „Komentarza żydowskiego do Nowego Testamentu”.

Zanurzając się w przyrodzie i kulturze nasiąkamy nimi, one nas kształtują. Parafrazując przysłowie, można rzec, że czym, nie tylko za młodu, ale dzień w dzień nasiąkamy, tym pachniemy. Zanurzyć się w Chrystusa czy w Chrystusie, żyć w Chrystusie – to nasiąknąć Nim. A że Jezus nie żyje sam i gdzieś tam, ale jest pośród nas i w nas, to człowieka nasiąkniętego Bogiem poznajemy po stylu jego myślenia i postępowania. Papież Franciszek mówi, że w życiu najważniejszy jest konkret, że miłość, a więc najgłówniejszy motyw życia, jeśli jest prawdziwa, przejawia się w sprawach dnia codziennego. Poczynając od zwykłego spojrzenia, kończąc na ostatnim oddechu. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:

Wiara dziedziczona?

*Kto jest zjednoczony,
wypełni się światłem,
kto jest podzielony,
napętni się ciemnością.*

EWANGELIA TOMASZA



*Niezależnie od oczekiwań
i bez żadnej metody
– i tak jesteś żywy w każdym
kolejnym momencie;
żywy w przestrzeni,
która jest nie gdzie indziej,
lecz tu – w tobie.*

ROSHI JAKUSHO KWONG



„TRUDNEJ RZECZY ZAŻĄDAŁEŚ” – mówi Eliaz do Elizeusza w odpowiedzi na prośbę, by „dwie części jego ducha” przeszły na niego (zob. 2 Krl 2, 10), to znaczy, by stał się dziedzicem jego godności i misji prorockiej.

Dlaczego „trudnej”? W pierwszej chwili nie rozumiemy.

Przecież ma się dopełnić to, co zostało przez Boga zlecone Eliazowi podczas objawienia na Horebie: „Elizeusza zaś, syna Szafata, z Abel-Mechola, namaścisz na proroka po sobie” (1 Krl 19, 16b). Posłuszny temu zleceniu niemal natychmiast go odnalazł i wezwał go, by poszedł za nim; nakrył go też swoim płaszczem, zapowiadając mu symbolicznie wejście w jego powołanie i zadania (1 Krl 19, 19-21). Co więcej, Elizeusz okazał się wiernym uczniem – także tego dnia, kiedy mieli się ostatecznie rozstać. Mimo trzykrotnej próby zniechęcenia go i pozostawienia, przeszedł za Eliazem całą drogę z Gilgal do Jordanu (przez Betel i Jerycho) – dobrze ponad 40 kilometrów. Wierny uczeń, nie bez pokrycia konsekwentnie deklarujący: „Nie zostawię cię!”.

Dlaczego więc jego prośba jest „trudna”?

Czy jej spełnienie nie wydaje się wręcz oczywiste? Nie.

Ponieważ ducha prorockiego (a właściwie lepiej: Ducha prorockiego) nie

można odziedziczyć. On jest wolnym darem suwerennego Boga, jedynie od Niego można Go otrzymać.

Nie można Go sobie „wychodzić” – wydeptując dziesiątki kilometrów za tymi, którzy Go otrzymali.

Nie można na Niego zasłużyć; nie można za Niego zapłacić. Bo niby czym?

Nie można Go też własnymi siłami i decyzją przekazać.

I to wcale nie czyni bezsensownymi wcześniejszych działań Eliasza i Elizeusza. One wszystkie były potrzebne – przygotowywały Elizeusza i czyniły go otwartym na dar/Dar z nieba. Ten jednak mógł do niego przyjść jedynie w wyniku wolnej decyzji Boga i nie tylko darmowej, ale (zawsze, w każdym przypadku) niezasłużonej łaski.

Myślę, że tak jest z przekazem wiary w ogóle. Wiara – ściśle rzecz biorąc – nie może być „dziedziczona” (choć wiele razy tak mówimy). Można kogoś przekazać tradycję; można kogoś nauczyć takich czy innych form pobożności; takich lub innych form modlitwy. Można kogoś „nauczyć religii” – przekazać wszystkie „prawdy” wiary i zasady moralne.

Można i trzeba.

Można go wreszcie (i trzeba) poprowadzić na brzeg takiego elizeuszowego dnia – kiedy zostanie sam na sam z Bogiem, poniekąd niezależnie od tego wszystkiego, czego się od nas nauczył – w pełnej wolności obu stron, by przyjmując Boży dar wiary. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (28 VI – 5 VII)

13. niedziela zwykła: 2 Krl 4, 8-12a. 14-16a;

Ps 89; Rz 6, 3-4. 8-11; Mt 10, 37-42;

Poniedziałek, uroczystość świętych apostołów

Piotra i Pawła: Dz 12, 1-11; Ps 34;

2 Tm 4, 6-9. 17-18; Mt 16, 13-19;

Wtorek: Am 3, 1-8; 4, 11-12; Ps 5; Mt 8, 23-27;

Środa: Am 5, 14-15. 21-24; Ps 50; Mt 8, 28-34;

Czwartek: Am 7, 10-17; Ps 19; Mt 9, 1-8;

Piątek: Ef 2, 19-22; Ps 117; J 20, 24-29;

Sobota: Am 9, 11-15; Ps 85; Mt 9, 14-17;

14. niedziela zwykła: Za 9, 9-10; Ps 145;

Rz 8, 9. 11-13; Mt 11, 25-30.

Wybrał PIOTR SIKORA

STAWKA WIĘKSZA NIŻ PAŁAC

O wyniku wyborów prezydenckich zdecydują wyborcy tych kandydatów, którzy odpadną po pierwszej turze.

ANDRZEJ STANKIEWICZ

POLSKIE WYBORY PREZYDENCKIE RZAD-ko były normalne. W 1990 r. Lech Wałęsa wygrał, doprowadzając wcześniej do „wojny na górze”, czyli podziału środowiska dawnej Solidarności. To, co wtedy pękło, już nigdy się nie sklepiło. W 1995 r. z Wałęsą wygrał młody postkomunista Aleksander Kwaśniewski. Kampania była wyjątkowo brutalna i budowana przez obie strony na strachu przed przeciwnikiem. Na lata podzieliła całe rodziny.

Tylko w 2000 r. wybory przeszły gładko – ze względu na słabość prawicowych przeciwników i wsparcie kontrolowanych przez SLD mediów publicznych Kwaśniewski wygrał w pierwszej turze. Nawet nie musiał się odchudzać.

W 2005 r. niespodziewane zwycięstwo Lecha Kaczyńskiego nad Donaldem Tuskiem położyło kres obiecywanej koalicji PO-PiS i rozpoczęło wojnę PO kontra PiS. To najbrutalniejsze polityczne starcie III RP.

Smoleńskie wybory w 2010 r. rozpoczęły wyniszczającą fazę tego konfliktu. Przegrany Jarosław Kaczyński wypowiedział wojnę państwu rządzonemu przez Platformę. W 2015 r. wystawił w wyborach figuranta Andrzeja Dudę, ale tworzący mu zręczny program polityczny

oparty na obietnicach socjalnych, zmęczenie Platformą i jej aferami oraz wpadki prezydenta Bronisława Komorowskiego doprowadziły do zmiany na scenie politycznej.

Obecne wybory świetnie się wpisują w długą serię elekcji nienormalnych, przypominających wojnę, w których główni kandydaci stawiają przed nami wizje całkowicie sprzecznych Polsk i wzajemnie nimi straszą.

Ani młody, ani nowy

Kiedy Duda pięć lat temu startował na prezydenta, mógł się prezentować jako polityczna nowalijka. Był wprawdzie zastępcą Zbigniewa Ziobry w Ministerstwie Sprawiedliwości za pierwszych rządów PiS, a potem ministrem w kancelarii Lecha Kaczyńskiego, ale pozostawał w cieniu.

Dziś gra jest dla niego trudniejsza: nie jest ani młody, ani nowy. Dźwiga pokątny bagaż całej kadencji, naznaczonej rządami PiS. Czasem dodaje mu to politycznego paliwa – jak w przypadku 500 plus czy obniżenia wieku emerytalnego, o czym Duda mówi niemal na każdym wyborczym spotkaniu. Ale czasem stanowi balast, gdy obwinia się go o bezkrytyczne firmowanie kontrowersyjnych



*Andrzej Duda i Rafał Trzaskowski
na obchodach 75. rocznicy
Powstania Warszawskiego,
Warszawa, 31 lipca 2019 r.*

operacji Kaczyńskiego, choćby w sprawie sądów, wojenek z Brukselą, nauczycielami, lekarzami czy niepełnosprawnymi.

Jeszcze pół roku przed wyborami Duda był absolutnym faworytem – tak jak Komorowski pięć lat temu. Dziś widać wyraźny spadek notowań prezydenta. Praktycznie stracił szansę na zwycięstwo w pierwszej turze, co sugerowały sondaże przez niemal całą jego kadencję. Teraz to główny konkurent Dudy, Rafał Trza-



ANDRZEJ HULIMKA / FORUM

skowski pozuje na młodego kandydata zmiany – choć i on politycznym nowicjuszem nie jest. Przeszedł drogę ważnego działacza PO ze stolicy: wspomaganie rządów Hanny Gronkiewicz-Waltz w Warszawie, ministrowanie w rządach Tuska i Kopacz, udział w przegranej kampanii Komorowskiego, wreszcie stołeczna prezydentura.

To zresztą bardzo wyraźne, świadome założenie kampanii Trzaskowskiego:

ukrycie partyjnego szyldu Platformy. Trzaskowski nie dość że prezentowany jest jak człowiek bez politycznej przeszłości, to w dodatku niemal jak kandydat obywatelski, odległy od partii. Jest nade wszystko samorządowcem, zwyczajnym facetem, odwołującym się do Solidarności i chwającym Lecha Kaczyńskiego. Przy jego boku w publicznych miejscach rzadko widać partyjnych liderów PO.

Z jednej strony ta bezpartyjność ma być przewagą Trzaskowskiego nad zrośniętym z PiS Dudą. Z drugiej – stanowi dowód na to, że sama Platforma nie wierzy w wygraną pod własną flagą.

Obyczajowa amunicja

Stawka wyborów w przypadku dwóch głównych politycznych graczy jest tak wysoka jak nigdy dotąd. Duda, nawet jeśli w drugiej kadencji będzie bardziej narowisty wobec PiS, gwarantuje Kaczyńskiemu podtrzymywanie żaru rewolucji, która dotąd przeorała państwo. Dla zwolenników PiS oznacza to świadczenia socjalne, niższy wiek emerytalny, patriotyczne wzmoczenie, tamę dla homoseksualistów, komunistów i złodziei, ochronę rodziny, wiary i Kościoła.

Z kolei dla zwolenników Rafała Trzaskowskiego i Platformy to ostatnia przed wyborami do Sejmu za ponad trzy lata szansa, by zatrzymać niszczenie przez PiS państwa stworzonego po 1989 r., zahamować obsadzanie instytucji partyjnymi nominatami, powstrzymać inwazję na sądy i media publiczne, zburzyć zręby państwa bliskiego kultowi żoliborskiej jednostki.

Czyli, sprowadzając rzecz do konkretnego – to wojna o władzę w jej najprostszej i najbrutalniejszej postaci.

Dlatego kampania jest tak ostra. Gdy Koalicja Obywatelska oznajmiła, kto będzie jej nowym kandydatem na prezydenta, jasne się stało, że PiS na nowo rozdmucha wojnę o prawa osób homoseksualnych. Trzaskowski podpisał w stolicy Kartę LGBT, zakładającą współpracę z organizacjami mniejszości np. w kwestii edukacji. Mniejsza o to, że Trzaskowski karty nie realizuje – to idealna amunicja dla PiS, która już raz się sprawdziła: dała tej partii zwycięstwo w wyborach europejskich rok temu.

Początkowo Duda chętnie stosował tę metodę. „Próbuje nam się i naszym dzieciom wcisnąć ideologię [LGBT]. To jest taki neobolszewizm” – oznajmił 13 czerwca na wiecu na Opolszczyźnie. Wtórował mu chór polityków PiS, odbywających tournée po mediach z groźbami na ustach. Kłopoty zaczęły się, gdy niektórzy sztabowcy prezydenta zapomnieli, że linia partii każe niuansować: szanujemy osoby o orientacji homoseksualnej, a LGBT to ideologia, która ma na celu lansowanie wzorców seksualnych stanowiących zagrożenie dla rodziny. ➔

→ Skandal wybuchł, gdy nowa retoryczna gwiazda PiS, doktor habilitowany praw Przemysław Czarnek wypalił: „Ci ludzie nie są równi ludziom normalnym”. Politycy PiS musieli przeproszać za Czarnka, a on sam zaczął krytykować tych, którzy za niego przepraszają. Wielki plan straszenia tęczą się załamał.

Choć Duda był namawiany przez zwolenników twardej linii, by w debacie prezydenckiej w TVP zaskoczyć przeciwników zgłaszając poprawkę do Konstytucji zakazującą adopcji dzieci przez związki jednopłciowe, nie zdecydował się na to. Temat mniejszości całkowicie ominął.

Trzaskowski kontra Kurski

Zresztą owa debata w TVP to najbardziej groteskowy pojedynek kandydatów do prezydentury w całej historii takich starć – dlatego że państwowa, propagandowa telewizja stała się jej najbardziej agresywnym uczestnikiem. Większość pytań nie dotyczyła istotnych, bieżących wydarzeń, choćby związanych z epidemią koronawirusa, wszystkie natomiast miały pogłębić Trzaskowskiego. Bo był zaangażowany w negocjacje dotyczące kryzysu migracyjnego, bo popiera związki partnerskie, bo nie posłał syna do komunii, bo popierał przyjęcie euro.

Trzaskowski wcale nie pojedynkował się z Dudą. Jego przeciwnikiem był sponsor pytań, szef TVP Jacek Kurski. Myliłby się jednak ten, kto by sądził, że Kurski decyduje o wszystkim, co pojawia się podczas kampanii w programach informacyjnych TVP. Czasem ogień rewolucji niosą jego pomagierzy – i kończy się tragicznie. Tak było, gdy „Wiadomości” upichciły materiał z bardzo prostym, efektywnym przekazem: Trzaskowski pieniądze z 500 plus przeznaczy na zaspokojenie roszczeń żydowskich do przedwojennych majątków. Kurski zrobił swym podwykonawcom awanturę, bo uznał, że granie kartą żydowską w kampanii to polityczne samobójstwo. Zwłaszcza w sytuacji, gdy Duda jedzie do USA na spotkanie z Donaldem Trumpem – a wiadomo, że Amerykanie naciskają na uregulowanie tej kwestii.

O co grają mniejsi?

Nie ma się co dziwić, że w tak ostrej kampanii, gdzie do wyboru są dwie całkowicie wykluczające się Polski, nie mieszczą się inni kandydaci.

Szef PSL Władysław Kosiniak-Kamysz miał przez chwilę szansę na drugą turę, gdy zdeorientowany elektorat liberalny przestał wierzyć w Małgorzatę Kidawę-Błońską i szukał kandydata, który ma największe szanse pokonać Dudę. Dziś kampania mu zupełnie nie idzie. Zawzięcie walczy tylko o to, by w pierwszej turze elektorat PSL nie poszedł głosować na Dudę.

O co gra Szymon Hołownia, prawdopodobnie wie tylko on sam. Nie ma wątpliwości, że – jak Kosiniak – grał o drugą turę przeciwko Dudzie, licząc w ostatecznym starcie na poparcie elektoratu antypisowskiego. Jego sen trwał jednak tylko chwilę. Gdy Platforma podmieniła sięgając sondażowych dołów Kidawę-Błońską na głodnego sukcesu, energicznego Rafała Trzaskowskiego, elektorat liberalny wrócił na stare, sprawdzone miejsce.

Biedroń w ciągu roku roztrwoniał cały swój kapitał, zgromadzony podczas prezydentury w Słupsku. Półtora roku temu stworzył Wiosnę, dzięki której rok temu wywalczył sobie miejsce w europarlamencie, następnie wcielił Wiosnę do znienawidzonego SLD – wszystko to przez ludzi wierzących w jego potencjał zostało uznane za cyniczną rozgrywkę. Na prezydenta kandydował z musu, bo Lewica nie miała nikogo innego. Nie kupił go nawet elektorat Lewicy, która wszak zdobyła w wyborach do Sejmu ponad 12 proc. głosów.

Bosak gra na konsolidację świeżego, ledwie uciulanego w jesiennych wyborach sejmowych elektoratu Konfederacji – i także nie chce go oddać PiS. Walczy jednocześnie o umocnienie swojej pozycji w tym ugrupowaniu, bo dotąd uchodził za narodowego bon vivanta, niezbyt ważnego w porównaniu z Januszem Korwin-Mikkem czy Grzegorzem Braunem.

Poszerzanie puli

Wiele wskazuje na to, że przesunięcie wyborów z maja na czerwiec, z możliwością zamiany kandydata przez Platformę, to efekt nieformalnego porozumienia między PO i PiS, które wykorzystały do tego swych reprezentantów w Państwowej Komisji Wyborczej. Obie partie mają oczywisty interes w dążeniu do podzielenia sceny politycznej na pół poprzez odbieranie wyborców mniejszym formacjom. Temu służy ostra kampania, pola-

ryzacja poglądów i ostre słowa. Masz do wyboru: za albo przeciw.

Arytmetyka jest jednak nieubłagana. Ani PiS, ani Platforma nie zdołają wygrać prezydentury wyłącznie w oparciu o swe nawet najbardziej szerokie elektoraty. Do zdobycia większości sejmowej partia potrzebuje maksymalnie ok. 40 proc. głosów. A prezydent musi zdobyć minimum 10 punktów więcej – i to przy wyższej frekwencji, która jest charakterystyczna dla wyborów prezydenckich. W praktyce znaczy to, że musi zdobyć znacznie więcej głosów od macierzystej formacji. W 2015 r. Duda zyskując 51,5 proc. poparcia, minimalnie zwyciężył z Bronisławem Komorowskim. Zdobył wówczas niemal 3 mln głosów więcej od PiS, które wygrało wybory do Sejmu z wynikiem 37,6 proc.

A zatem o wyniku wyborów prezydenckich zdecydują wyborcy tych kandydatów, którzy odpadną po pierwszej turze. W praktyce chodzi o tych, którzy dostaną największe kilku-kilkunastoprocentowe poparcie: Hołownię, Kosiniaka-Kamysza, Biedronia oraz Bosaka.

W 2015 r. trzecie miejsce na podium zajął Paweł Kukiz. W drugiej turze to jego wyborcy wysłali Bronisława Komorowskiego na emeryturę. W 2005 r. trzeci Lepper dał prezydenturę Lechowi Kaczyńskiemu. W 2010 r. wyborcy ówczesnego szefa SLD Grzegorza Napieralskiego – Komorowskiemu.

Nie jest więc tak, jak chcą to przedstawiać sztabowcy Dudy i Trzaskowskiego, a za nimi propagandyści obu kandydatów: że start „mikrusów” jest szkodliwy. Że – to opowieść Platformy – są oni pożytecznymi idiotami PiS, którzy rozbijają obóz demokratyczny, umożliwiając Kaczyńskiemu powieszenie wiechy na budowie brunatnej dyktatury. Lub też – to wersja PiS – że mniejsi kandydaci odbierający głosy Dudzie otwierają drogę do reinkarnacji PRL i renesansu platformianego złodziejstwa.

Przeciwnie: szerokie spektrum kandydatów to szansa na mobilizację dodatkowych wyborców. To przede wszystkim interes Trzaskowskiego, bo przy szerokiej palecie kandydatów Duda praktycznie nie ma szans na wygraną w pierwszej turze. A druga tura to zupełnie inna rozgrywka.

Nikt nie poprze Dudy

Nie ulega wątpliwości, że z liczących się kandydatów żaden nie poprze Dudy.

A niektórzy na pewno poprą Trzaskowskiego lub mogą go poprzeć. Ta gra o głosy przyszłych przegranych już ruszyła.

Najbardziej przejrzysta jest sytuacja na lewicy. Robert Biedroń może być pierwszym kandydatem, który poprze Trzaskowskiego. Wszystkie wewnętrzne badania pokazują, że elektorat lewicowy jest bardzo antypisowski i w drugiej turze na pewno zagłosuje przeciwko Dudzie. A zatem Biedroń tak naprawdę nie ma wyboru.

Takiej determinacji nie ma w PSL. Ludowcy pięć lat temu bez żadnych warunków poparli w drugiej turze Komorowskiego. Do dziś w partii czuć kaca. Nie znaczy to, że Kosiniak-Kamysz mógłby poprzeć Dudę. To wykluczone, bo szef PSL nie może wysłać zielonych wyborców do swych politycznych wrogów. Ludowcy mogą albo zachować neutralność, albo poprą Trzaskowskiego.

– Tym razem w zamian za poparcie musimy coś od niego dostać. To musi być konkret – mówi mi jeden z liderów PSL. Co może być tym konkretem – o tym za chwilę.

Z wyborcami PSL sztabowcy Trzaskowskiego mają jednak kłopot. Wciąż są małomiasteczkowi, bardziej konserwatywni i bliżsi Kościołowi. To trudne do pogodzenia z wielkomięjskim wizerunkiem Trzaskowskiego, jego lewicowymi poglądami i krytyką Kościoła. Dlatego też część wyborców Kosiniaka-Kamysza może oddać głos na Dudę.

Sztabowcy Dudy liczą także, że urwą sporo konserwatywnych wyborców Krzysztofa Bosaka z Konfederacji. To także do nich skierowany jest festiwal ataków na osoby homoseksualne. Wyborcy Konfederacji są jednak nieufni wobec PiS, który przez lata tępił wszelką prawicową konkurencję. Badania sztabu Trzaskowskiego pokazują, że duża część zwolenników Bosaka w drugiej turze chce głosować przeciwko Dudzie. Formalnie Konfederacja nie poprze żadnego kandydata. Ale część polityków tej formacji – choćby wolnościowiec Jacek Wilk – już zapowiada głosowanie za Trzaskowskim.

Największe szanse na trzecie miejsce w wyborach ma kandydat niezależny Szymon Hołownia (sondaże dają mu około 10-15 proc.). To największa polityczna ofiara wejścia do gry Trzaskowskiego – przed jego dołączeniem do

Wynik wyborów prezydenckich może całkowicie odmienić sytuację w parlamencie. Albo PiS odbije Senat, albo PO i PSL mogą spróbować stworzyć rząd z grupą uciekinierów z PiS.

stawki miał szanse na drugą turę wyborów. Hołownia konsekwentnie krytykuje i PiS, i Platformę. Atakuje też Trzaskowskiego. Sztabowcy Platformy twierdzą jednak, że po pierwszej turze usiądą do rozmów. Wiedzą jedno: Dudy Hołownia nie poprze na pewno.

Hołownia także stąpa twardo po ziemi. Wie, że nie uda mu się podtrzymać zainteresowania wyborców i założyć nowej partii, by się dostać do Sejmu. Wybory parlamentarne za ponad trzy lata, żadna nowa partia tego nie wytrzyma. Kukiz zdobył w maju 2015 r. trzecie miejsce w wyborach prezydenckich z wynikiem przekraczającym 20 proc. Pół roku później do Sejmu jego nowa formacja miała już wynik ponad dwukrotnie gorszy.

Może Hołownia liczy na ciekawą ofertę od Platformy? Na pewno utrzymuje nieformalne kontakty z PO.

Nowe rozdania

Co może być ofertą Platformy dla mniejszych kandydatów? To jest właśnie stawka, którą wymienia choćby PSL. Chodzi o udział w tworzeniu potencjalnej nowej większości.

Wynik wyborów prezydenckich może całkowicie odmienić sytuację w parlamencie. Na początek założmy, że wygra Duda. Oczywiście, wtedy PO nic do zaoferowania mieć nie będzie. Co więcej: wszystko wskazuje na to, że w tej sytuacji – wobec kolejnych lat rządów PiS i jego prezydenta – kontrolująca Senat opozycja może stracić kilku senatorów. Jarosław Kaczyński marzy o tym, żeby było tak, jak było – w poprzedniej kadencji dysponujący większością senatorowie PiS przyjmowali ustawy w kilkadziesiąt godzin, a dziś zajmuje to kilkadziesiąt dni.

Przegrana prezydentura i utrata Senatu może wstrząsnąć Platformą. Odsunięty na boczny tor Grzegorz Schetyna tylko

czeka na okazję, by się odwinąć swemu następcy Borysowi Budce. Wojna w PO, grożąca partii destrukcją? Budka przebąkuje już o tym publicznie. A jeśli wygra Trzaskowski? Tu jest szansa na polityczny handel z Hołownią czy PSL. W razie porażki Zjednoczona Prawica może popękać, przez co PiS straci kruchą większość w Sejmie, gwarantującą poparcie dla rządu.

Oczywiście plotkuje się o odbiciu władzy przez opozycję. Nie chodzi nawet o możliwy arytmetycznie, lecz nierealny politycznie gabinet PO, PSL, Lewicy i Konfederacji przy wsparciu uciekinierów z PiS. Najbardziej intrygujące są opowieści o pęknięciu w PiS na tyle głębokim, że uciekinierzy mogliby stworzyć rząd z PO i PSL. Zwolennicy twardego kursu w PiS – choćby Joachim Brudziński, Beata Szydło czy Jacek Kurski – rzucają podejrzenia nie tylko na Jarosława Gowina. Nieufnie spoglądają nawet na Mateusza Morawieckiego, w którego lojalność wobec PiS nie wierzą. Właśnie doprowadzili do odsunięcia go od kampanii Dudy, do której sam wcześniej się przykleił.

Przeciwnicy Morawieckiego bardzo skrupulatnie liczą, ilu stoi za nim posłów. Sprawdzają, jakie duże firmy dostają pomoc w ramach tarczy antykryzysowej. Liczą rządowe reklamy w niechętnych PiS mediach. Podejrzewają, że Morawiecki buduje sobie w ten sposób ciche poparcie, które ma mu pomóc w dalszej karierze. Czy to dowód na podwójną grę Morawieckiego? Na pewno dowód na stan wojny między wrogimi frakcjami wewnątrz PiS. Trzyma je razem tylko twarda ręka Kaczyńskiego oraz konsumpcja fruktów władzy.

Jak wskazują wszystkie doniesienia z Nowogrodzkiej, do Kaczyńskiego dotarło, że PiS może te wybory przegrać. Prezes za kłopoty Dudy obwinia jednak głównie koalicjantów: Jarosława Gowina, który zablokował wybory w maju, i Zbigniewa Ziobrę, który za Dudą nie przepada i nie kiwnął palcem przy jego kampanii. Kaczyński zapowiedział swoim ludziom, że po wyborach przyjdzie czas na remanent w obozie Zjednoczonej Prawicy. Od wyborców zależy, czy skończy się to tylko zmianą wystawy, czy zamknięciem całego straganu.

© ANDRZEJ STANKIEWICZ

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP”.

Jedność Unii to środek nacisku

FRANS TIMMERMANS,
WICEPRZEWODNICZĄCY KOMISJI
EUROPEJSKIEJ:

Nie zamykajmy górników w starym modelu gospodarczym. Mieszkańcy regionów węglowych wiedzą, że węgiel nie ma przyszłości. A Unia chce im pomóc w zmianie.

TOMASZ BIELECKI: W Europie szybko urósł w siłę ruch na rzecz klimatu. Ale potem przyszła zaraza. Czy nie doprowadzi do „kontrrewolucji”? Czy przygniecenie recesją i bezrobociem nie odłożymy Europejskiego Zielonego Ładu na bok?

FRANS TIMMERMANS: Taka kontrreakcja mogłaby się zdarzyć, gdyby patrzyło się na Zielony Ład jako na swoisty zbytek. Ale jest przeciwnie – to przecież europejska strategia wzrostu, która będzie tworzyć miejsca pracy także w dalszej przyszłości. To strategia, która np. w Polsce powinna poprawić jakość powietrza i pomóc w uwolnieniu się od węgla. Każdy wie, że to źródło energii bez przyszłości.

Teraz zamierzamy w Unii zainwestować duże środki w odbudowę po kryzysie. Musi być również korzystna dla naszych dzieci i wnuków, które będą spłacać te fundusze. Czy możemy sobie pozwolić na wydawanie tych pieniędzy na inwestycje i technologie, które za dziesięć lat będą przeżytkiem? I co wtedy zrobimy? Znow się zadłużymy, żeby dopiero wówczas uwolnić się od węgla i zanieczyszczeń powietrza?

Ale górnicza rodzina ze Śląska może obawiać się, że „zielona przyszłość” to biedna teraźniejszość bez miejsc



MAREK BAZAK / EAST NEWS

Ewa Dąbrowska, instalacja „Homo empathicus”, praca z serii „Choroby cywilizacyjne”. Warszawa, maj 2020 r.

pracy w tradycyjnych branżach. Jak ją Pan przekona?

Sam pochodzę z regionu Holandii, który kiedyś żył z górnictwa. I zapytam, czy zamierzamy ludzi zamykać w starym modelu gospodarczym, by za parę lat powiedzieć im: „A teraz radźcie sobie sami”? W regionach górniczych nikt przecież nie wierzy w to, że węgiel ma przyszłość. Ich mieszkańcy wiedzą, że do zmiany musi dojść, wcześniej czy później.

A Unia jest gotowa pomagać już teraz, by regiony górnicze przechodziły na inny rodzaj gospodarki, co – jestem tego pewien – będą potrafiły zrobić. Za sprawą ostatniej propozycji Komisji Europejskiej

pieniądze planowane na Fundusz Sprawiedliwej Transformacji energetycznej rosną z 7,5 mld do 40 mld euro. W tym jest aż 8 mld euro dla Polski, co po połączeniu z innym finansowaniem unijnym może dać łącznie nawet 30 mld euro. Inwestujemy w czystsze powietrze, zwiększanie efektywności energetycznej budynków, jak najszybsze odchodzenie od węgla w mieszkaniach, a także w tanią energię – bo musimy też zwalczać ubóstwo energetyczne.

Przewodniczący Rady Europejskiej Charles Michel już na lutowym szczycie Unii apelował, by połowa

pieniędzy z Funduszu Sprawiedliwej Transformacji była dostępna dla krajów, które przyjęły unijny cel neutralności klimatycznej w 2050 r. Polska ma kłopoty z akceptacją tego celu. Popiera Pan takie wymogi?

Nie w formie zaproponowanej przez Michela. Ale zasadniczo „zielonej transformacji” musi towarzyszyć warunkowość przy czerpaniu z unijnych funduszy. Oczywiście, przed Polską, która energetycznie zależy teraz w 80 proc. od węgla, stoją większe wyzwania niż np. przed krajami, które w sposób zrównoważony produkują nawet 40 proc. energii. I dlatego oferowane unijne wsparcie jest większe, ale zarazem potrzebne jest zobowiązanie polskich władz, że będą pracować na rzecz unijnej neutralności klimatycznej.

O ile wiem, cel neutralności zyskuje na popularności w Polsce także ze względów zdrowotnych. Ponad 40 tys. ludzi umiera każdego roku przedwcześnie z powodu zanieczyszczeń powietrza, czyli w dużej mierze z powodu węgla.

Czy unijny cel neutralności oznacza neutralność Polski w 2050 r.? To kraj za duży i ze zbyt dużymi emisjami dwutlenku węgla, by udało się je zrównoważyć działaniami innych krajów w celu wyjścia całej Unii na zero.

Oczekujemy dołączenia się Polski do wspólnego celu, a następnie będziemy analizować, jaki wkład Polski oznacza to w unijnych planach krajowych. Spojrzałbym jednak na to z innej strony: duże emisje w Polsce to duże możliwości przy ich redukowaniu przez wysokie inwestycje w źródła odnawialne, farmy wiatrowe, baterie słoneczne, na które już teraz jest duże zapotrzebowanie ze strony gospodarstw prywatnych. Polska, kraj inżynierów, ma naprawdę duże szanse na przewagę w rozwoju technologii na rzecz klimatu.

Nie mówię tego wszystkiego dlatego, że to wywiad z polskim dziennikarzem. W różnych miejscach często pytają mnie o to, co z polityką klimatyczną w Polsce. Zawsze odpowiadam, że nie jestem pesymistą. Jeśli sprawę neutralności klimatycznej zamieni się w debatę ideologiczną, to – owszem – trudno rozmawiać. Ale jeśli spojrzeć pragmatycznie na to, co na dłuższą metę jest dobre dla ludzi i gospodarki również w Polsce, to robi się łatwiej.

Podczas kwarantanny debatowano, czy po epidemii wrócimy do życia na starych zasadach, w tym np. z coraz częstszymi podróżami lotniczymi, czy jednak zmieni się styl naszego życia. Czy władze – krajowe i unijne – będą wspierać pokryzysową odbudowę opartą na stylu życia przyjaźniejszym dla środowiska?

Trzeba zastrzec, że pandemii nie będziemy mieć za sobą do czasu opracowania szczepionki. Ale byłbym zaskoczony, gdyby nie doszło do trwalszych zmian w zachowaniu. Może ostatecznie się większa gotowość do spędzania wakacji bliżej domów, co widzimy teraz?

W każdym razie musimy wspierać zmiany, bo – choć także w przyszłości będziemy potrzebować lotnictwa pasażerskiego i transportowego – to loty na kilkusetkilometrowych trasach nie powinny być normą. Czy pozostaną tanie loty? Nie wiem, ale musimy rozwijać alternatywę przez lepsze i dostępne połączenia kolejowe na trasach – dajmy na to – do 800 kilometrów. A ponadto rozwój nocnych połączeń kolejowych na pewno byłby dobrze przyjęty przez Europejczyków.

Czy Zielony Ład nie potrzebuje decentralizacji?

To się dzieje nawet podczas zarazy. Ludzie wychodzą z epidemicznych blokad, ale mówią, że miasta z mniejszą liczbą samochodów, czystszy powietrzem im się podobają. Coraz więcej miast chce bezemisyjnej komunikacji publicznej, przybywa tras rowerowych, ale też ocieplonych budynków, które lepiej gospodarują energią. Komisja Europejska proponuje posadzenie 3 mld drzew do 2030 r. w całej Unii, a oprócz tradycyjnego zalesiania chodzi też o zazielenianie miast. Europejczycy chcą też – to coraz popularniejszy prozdrowotny styl życia – wiedzieć, co i skąd jedzą. A zatem ochrona bioróżnorodności – to element Zielonego Ładu – m.in. poprzez zmniejszenie zużycia chemii w rolnictwie, pasuje do tego stylu życia.

A czy z Donaldem Trumpem i asertywnymi Chinami możliwe jest „zazielenienie” międzynarodowego handlu?

Kiedyś wszyscy byli za wolnym handlem, ale szczegóły pozostawiano ekspertom. Ale teraz nasze społeczeństwa są

coraz bardziej zainteresowane, by wolny handel nie odbywał się kosztem standardów środowiskowych czy socjalnych. To już weszło do głównego nurtu, a wyborcy po prostu nie chcą umów handlowych z krajami, które np. nie zamierzają przestrzegać porozumienia paryskiego w sprawie klimatu albo nie walczą z deforestacją.

Zawieranie umów w takich warunkach jest trudniejsze, ale jak najbardziej możliwe. Jeśli ktoś nie zamierza trzymać się porozumienia paryskiego, Unia powinna móc nakładać opłatę węglową także dla zachowania wyrównania konkurencyjności takiego importu z producentami, którzy ponoszą koszty polityki klimatycznej.

Będą do tego chętni?

Każdy chce handlować z Unią i każdy chce być na naszym rynku wewnętrznym. Jedność państw członkowskich w tej sprawie będzie wystarczającym środkiem nacisku.

Kryzys finansowy zacieśnił integrację w strefie euro. A jak na integrację wpłynie koronakryzys?

Na początku kryzysu kraje Unii działały z osobna, ale potem krok po kroku odkrywały, że współpraca daje lepsze efekty, a także pomaga ratować wspólny rynek. Przykładowo, pojawiły się „zielone korytarze” dla ciężarówek na mocno przymkniętych granicach. Zaczęły się rozmowy o tworzeniu strategicznych rezerw środków ochrony, leków, w przyszłości szczepionek.

Sprawy zdrowia leżą w uprawnieniach krajów Unii i nie zamierzam teraz apelować o więcej uprawnień dla instytucji Unii. Kiedy kryzys minie, niech kraje na spokojnie przeanalizują, czy byłaby jakaś wartość dodana z przeniesienia uprawnień na poziom unijny. Ale to zadanie na potem. Natomiast już teraz zaskoczyło mnie tak duże poparcie dla Funduszu Odbudowy zaproponowanego przez Komisję Europejską.

Niektórzy nazywają ten projekt „momentem hamiltonowskim” przez odniesienie do Alexandra Hamiltona, który przyczynił się do uwspólnienia długów stanowych w USA, co umocniło ich federacyjny charakter. Czy Fundusz Odbudowy to aż taki przełom?

→ Zrozumieliśmy, że musimy działać szybko, że potrzebne są pieniądze współmierne do wielkich potrzeb i że musimy ratować spójność wspólnego rynku wobec zagrożenia, że kryzys pogłębi podziały. I z takiej rachuby wyszła nam propozycja 750 mld euro [pożyczonych przez Unię na rynkach – red.], w tym 500 mld w dotacjach i reszta w pożyczkach dla krajów Unii. Nie poszukiwaliśmy „momentu hamiltonowskiego”, ale po prostu jak najskuteczniejszej, a tym samym najtańszej na dłuższą metę odpowiedzi na kryzys.

Parę krajów jest sceptycznych także dlatego, że projekt Funduszu Odbudowy jest dość hojny m.in. dla Polski, choć wpływ epidemii na jej PKB jest stosunkowo mały na tle całej Unii.

Unijna solidarność to nie altruizm, bo zawsze ma też w sobie element światłej dbałości o własny interes. Idzie o pomoc krajom najbardziej dotkniętym gospodarczymi skutkami zarazy, jak Włochy i Hiszpania. Ale po drugie chodzi również o wzmocnienie dalszych działań na rzecz przybliżania poziomu rozwoju Europy Środkowo-Wschodniej do Zachodu. A na unijnym wspólnym rynku takie przybliżanie do Zachodu jest przecież też w interesie Zachodu.

© Rozmawiał w Brukseli
TOMASZ BIELECKI



GABOR KOVACS / CC-BY-4.0

FRANS TIMMERMANS jest jednym z wiceprzewodniczących wykonawczych Komisji Europejskiej, odpowiedzialny za Europejski Zielony Ład, czyli skoordynowane działania instytucji unijnych i poszczególnych krajów w kwestii zapobiegania katastrofie klimatycznej. W poprzedniej kadencji (do 2019 r.) był wiceprzewodniczącym KE odpowiedzialnym m.in. za przestrzeganie rządów prawa i w związku z tym wchodził wielokrotnie w otwarty spór z władzami Polski.

Znikający uczniowie

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Dziecko izolowane od nauki przez rodziców. Mama bez maila. Wiejski nauczyciel wieszający zadania na furtkach – epidemia wzmocniła podział na szkołę lepszą i gorszą.

PANI K., SAMOTNA MATKA Z MIASTA, z dwiema córkami żyją ze świadczeń: – Dziewczynki łączyły się ze szkołą tylko przez Messengera. Co czułam? Że jestem w jakimś sensie gorsza.

Konrad Kruczkowski ze Szlachetnej Paczki, ostatnio współodpowiedzialny za akcję GraPaczka, w ramach której m.in. kupowano laptopy (jeden dostały córki K.): – To będzie rysa na długi czas. Wyobraźmy sobie 12-latkę, który usłyszy we wrześniu: „Co się z tobą działo?”. Mieliliśmy kiedyś w Szlachetnej Paczce chłopca: pytany o marzenie, poprosił o medalion z „Wiedźmina”. Wolał grać w tego „Wiedźmina”, a teraz chce gadżet, który dopełniałby jego świat. Było odwrotnie: przez brak sprzętu był od tego świata odizolowany. Chciał mieć coś, co by ten deficyt przykrywało. To zjawisko było zawsze, tylko teraz je wyraźniej zobaczyliśmy.

– Co zmienił koronawirus?

– Wcześniej smartfon albo komputer rodziców maskowały problem, bo była szkoła. Tam były relacje, a obecność w sieci można było zaznaczyć od czasu do czasu. Teraz relacje się urwały, potrzebny był dostęp do sprzętu, łącza, kompetencje. Kto tego nie miał, zniknął.

Joanna Luberańska-Gruca, Fundacja Polki Mogą Wszystko: – Będziemy się z tego odgruzowywać miesiącami. Niektóre dzieci dostały sygnał: „Czy jesteś w szkole, czy nie, nikogo to nie obchodzi. Tak naprawdę ty też nikogo nie obchodzisz”.

Nieobecni

„Uprzejmie informujemy, że kontrola obowiązków szkolnego nigdy nie była ustawowym zadaniem Ministra Edukacji Narodowej” – tak na pytanie o dzieci zagubione w systemie odpowiada „Tygodnikowi” biuro prasowe MEN.

Te dzieci to szczyt piramidy wykluczenia czasu epidemii. Gdy w kwietniu warszawski Ratusz podał, że nieznanym jest los sześciuset uczniów, minister Dariusz Piontkowski przy niemal każdej okazji odpowiadał na pytanie: „Gdzie podziały się dzieci?”. A w zasadzie nie odpowiadał. W rozmowie RMF FM na początku czerwca Robert Mazurek zadawał je przez siedem minut, próbując też dociec, dlaczego MEN – nawet jeśli ustawowo za to nie odpowiada – nie interesuje skala zjawiska.

O zagubione dzieci próbował pytać również rzecznik praw obywatelskich. Odpowiedź? Podobna do tych medialnych. Stanowisko resortu – pisał do Piontkowskiego Adam Bodnar – „może zostać zrozumiane jako brak zainteresowania Pana Ministra poruszonym tematem lub też umniejszenie swojej roli w kształtowaniu systemu oświaty”.

Sześćsetka „zaginionych” z Warszawy – jak się okazuje – nie była stanem chwilowym. Stołeczny magistrat informuje „Tygodnik”, że w pierwszej połowie czerwca, a więc już na progu wakacji, ta liczba wyniosła 343, a z niemal 200 nie było kontaktu od początku.

„Tygodnik” zapytał o zagubione dzieci we wszystkich stolicach województw. Kilka nie odpowiedziało, kolejnych kilka twierdzi, że zjawisko u nich nie istnieje (są dzieci wykluczone cyfrowo, ale jest z nimi kontakt). Pozostałe dane pozwalają na ostrożny szacunek: tylko w dużych miastach utracono na krócej lub dłużej kontakt z ponad dwoma tysiącami uczniów.

Wrocław? Tu „zagubiona” była w połowie czerwca ponad trzysetka. Poznań: w początkowej fazie lockdownu nieznanym był los pięćsetki, a pod koniec roku szkolnego nadal nie doliczono się ponad 50 w podstawówkach i 60 w liceach. Olsztyn: niemal setka nie uczest-



JAKUB ORZECZOWSKI / AGENCJA GAZETA

Zdjęcie z autorskiego cyklu dokumentującego życie rodziny fotografa Jakuba Orzechowskiego po zamknięciu szkół, Lublin, marzec 2020 r.

niczyła w zdalnym nauczaniu. Ponad 30 – los nieznany.

Co stanie się z tymi dziećmi? Prawdopodobnie wiele otrzyma promocję do następnych klas. Ale nie wszyscy i nie wszędzie: np. w Gdańsku, gdzie nie odnotowano przypadków wykluczenia z powodu samego braku sprzętu, równocześnie 59 uczniów nie przejdzie do następnej klasy, bo nie uczestniczyli w zdalnym nauczaniu (część pochodzi z rodzin zagrożonych wykluczeniem – nie dostali od rodziców żadnego wsparcia).

Czy „zagubieni” to – jak sugerował minister – nic nowego, bo istnieli też przed pandemią? Problem w tym, że sam MEN nie zna skali zjawiska w poprzednich latach. Takich danych nie mają też miasta – podają jedynie liczby przypadków skrajnych, w których dyrektorzy szkół byli zmuszeni wystąpić do organu prowadzącego z wnioskiem egzekucyjnym, bo sami nie byli w stanie skłonić dziecka i jego rodziców do nauki. Takie przypadki to margines marginesów – np. we Wrocławiu było ich zaledwie pięć przez trzy ostatnie lata. W Poznaniu – 10-12 rocznie.

– Szacujemy, że teraz poza systemem znalazło się w Polsce nawet do kilkuset tysięcy dzieci, znacznie więcej niż w poprzednich latach – mówi Magdalena Kaszulanis, rzeczniczka Związku Nauczycielstwa Polskiego. – Nasi nauczyciele

z różnych stron donoszą, że również lokalnie jest takich dzieci o wiele więcej. Nie tylko w miastach.

Bo mama nie chce

Podkarpacka wieś, do tutejszej podstawówki chodzą dzieci z czterech miejscowości. J., zatrudniona jako anglistka (chce pozostać anonimowa), mówi, że edukacyjna zapaść to tutaj nie nowość. W wielkim mieście na prywatny język chodziło zawsze prawie 100 proc. uczniów, w oddalonym stąd o 20 km małym miasteczku jakieś 30 proc., a w jej wsi – zero.

– Nie chodzi tylko o biedę – mówi J. – Są rodziny naprawdę ubogie, ale częstszym problemem jest ogólna sytuacja rodziny.

J. opowiada o dwójce „zagubionych” dzieci z jej szkoły: – Rodzeństwo, przez kilka tygodni nie było z nimi kontaktu. A gdy wychowawczyni skontaktowała się z domem, usłyszała w tle kobiecy głos: „A co ona mi znowu dupę zawraca?”. Te dzieci były poza edukacją praktycznie do końca roku. A w pierwszym miesiącu zdalnego nauczania takich uczniów było u nas więcej.

Los „pozasystemowych” uczniów w dużym mieście – Krakowie – obserwowała dr hab. Małgorzata Michel, w Instytucie Pedagogiki UJ badająca życie tzw. dzieci ulicy, ale też pracująca z nimi streetwor-

kerka: – Mówi się, że w czasie zamknięcia szkół pozostał im dom, ale dla niektórych to był dom rozumiany jako cztery ściany i dach. Bo już na pewno nie miejsce wsparcia i bezpieczeństwa. Prędkiej alkoholu, przemocy, zaniedbań. Dzieci ulicy w kwarantannie straciły przede wszystkim ulicę, a więc czasami jedyne oparcie. Zdarzały się ucieczki z domów, doniesienia o myślach samobójczych. Znam historię dzieci, które zostały przewiezione do placówki opiekuńczo-wychowawczej, a więc w domu musiało się dziać coś bardzo złego. Skali przemocy w zaciszu ścian nie poznamy nigdy. Tak jak przypadków, w których to rodzice izolowali dzieci od szkoły.

Konrad Kruczkowski: – Wcześniej też istniały takie, które nie zapraszały nikogo pod dach, bo bały się tego, co może się wydarzyć. Ale była szkoła – wspólna przestrzeń. Teraz jej zabrakło, a strach pozostał: niektóre dzieci nawet jak miały możliwość, nie włączały komputera i kamery, bojąc się, co uchwyci jej oko.

Bo etaty wygasły

– Lubię metaforę sieci: to coś, co wyłącza. Także krzywdę. Ta sieć w pandemii została porozrywana – mówi Małgorzata Michel. – Niektóre z dzieci ulicy były wcześniej pod opieką systemu, np. kuratora czy pomocy społecznej. Wiele miało kontakt ze streetworkerami →

→ i pedagogami ulicy. Część chodziła do świetlic środowiskowych. Tam dostały posiłki, ale też pomoc edukacyjną.

Michel już na początku lockdownu rozpoczęła projekt badawczy oparty na wywiadach ze streetworkerami i kuratorami sądowymi: – Po dwóch tygodniach od zamknięcia szkół słyszałam od kuratorów, że nadal szukają sposobu na dotarcie do dzieci. Jeden z moich rozmówców, ze Śląska, był załamany. Mówił, że runął tworzony miesiącami proces budowania relacji z dziećmi.

Według praktyków zawinił nie tylko koronawirus: niektórzy streetworkerzy i pedagodzy zostali pozbawieni etatów. – Uznano, że skoro ulica to ich miejsce pracy, a teraz ona jest pusta, to nie mają nic do roboty – mówi Michel.

Luberadzka-Gruca: – W wielu świetlicach uznano, że nie wolno przerywać pracy. Ale były też takie, gdzie pomoc ustała. Wszystko zależało od wrażliwości konkretnych ludzi, a nie od procedur. Jedna ze świetlic przygotowała kryzysowy plan pracy, ale gmina postanowiła rozwiązać z nią umowę.

Zaburzona została też praca lokalnego systemu pomocy: pracowników społecznych, asystentów rodziny, kuratorów.

– Rozumiem, że ich działanie bazowało wcześniej na bezpośrednim kontakcie, teraz utrudnionym – dodaje Luberadzka-Gruca. – Ale może w sytuacji ekstremalnej, gdy nie wiemy, czy dziecko jest głodne albo zagrożone, należało jednak wysłać w reżimie sanitarnym pracowników w teren? Przecież niektóre służby działały, np. policja jeździła do wezwań.

Nie do wszystkich: do ZNP zgłosili się krakowscy nauczyciele, relacjonujący, że tamtejsza policja niechętnie przyjmowała zgłoszenia o „zagubionych” dzieciach, tłumacząc się koniecznością sprawdzania osób w kwarantannie.

Niecyfrowi

To kolejna część piramidy wykluczenia – obejmująca już nie tylko niewydolne,

zagrożone przemocą rodziny. A nawet niekoniecznie te żyjące w skrajnym ubóstwie. Według badań PISA – przeprowadzanego ostatnio w 2018 r. międzynarodowego pomiaru umiejętności 15-latków, któremu towarzyszą też ankiety na temat różnych aspektów edukacji – najbardziej cyfrowo wyalienowane w Polsce dzieci to 1-1,5 proc. wszystkich. W ich domach nie było ani komputera, ani tabletu. Aż 10 proc. innych – a to już nawet ok. pół miliona dzieci – miało w domu do dyspozycji tylko jedno urządzenie, np. należące do rodziców.

Co mówią badania z czasu epidemii? Librus ustalił na początku kwietnia, że braki sprzętowe dotyczą aż jednej trzeciej rodziców, czyli na pewno więcej niż miliona uczniów.

Bo rodziców nie stać

K., wspomniana samotna matka dwóch córek: – Gdy okazało się, że będzie nauka przez internet, byłam w szoku.

Jak wyglądała w domu K. nauka? – Wychowawczynie wysyłała zadania, dziewczyny je robiły, przysyłały pani, a ona rozsyłała do innych nauczycieli. Nikt nie tłumaczył dziewczynkom materiału, bo przecież nie uczestniczyły w lekcjach. Pani wychowawczynie czasami tylko przez telefon coś tłumaczyła, np. z matematyki.

– Ktoś ze szkół proponował pomoc sprzętową?

– Nie. A ja jestem typem, który się nie upomina i nie prosi.

Na początku czerwca córki K. dostały komputer w ramach akcji GraPaczka. I pomoc wolontariusza w jego obsłudze, bo ani K., ani jej córki tego nie potrafiły.

Luberadzka-Gruca: – Kuratorka społeczna, która pracuje też u nas w fundacji, opowiadała o dziewczynce. Dostała od samorządu komputer. Co z tego, skoro ani ona, ani jej mama nie miały pojęcia, jak go obsłużyć.

Kruczkowski: – Pomogliśmy pewnej samotnej babci i jej czworgu wnucząt. Mieli komputer, jeden na czworo. Dzięki tej relacji zobaczyliśmy, jak ważne bywają słuchawki, gdy kilka osób musi pracować w jednym pomieszczeniu. W rodzinach wielodzietnych brak przestrzeni bywa większym problemem niż sprzęt.

GraPaczka do tej pory zebrała ponad 300 tys. zł, w czerwcu pomogła ponad pięćdziesiątce dzieci. – Tu nie chodzi tylko o sprzęt, chcemy dotrzeć do rodzin z pytaniem: „Hej, co u Was słychać?

Czego potrzebujecie?” – mówi Kruczkowski. – I z przesłaniem: jesteście dla nas ważni. To dlatego zaprosiliśmy do akcji ponad 80 gamerów, czyli znanych tym młodym ludziom internetowych graczy. To oni im pomagają, są z nimi. Będziemy kontynuować akcję niezależnie od epidemii. Do końca roku chcemy dotrzeć z pomocą do 2 tysięcy dzieci.

Bo mieszkamy na wsi

J., anglistka z Podkarpacia, opowiada o kulisach zdalnego nauczania w jej szkole: – Decyzję o jej rozpoczęciu podjęto nagle, więc zaczęłam od „szpiegowania” rodziców na Facebooku i wysyłania próśb o adresy e-mail. W szkole nie mamy e-diennika, nie otrzymałam też danych rodziców. Początkowe tygodnie poświęciłam na szkolenie, jak obsługiwać podstawowe narzędzia. Często bez skutku, bo sprzęt dzieci i ich umiejętności nie pozwalały korzystać z tych metod. Rodzice? Niektórzy nie mieli nawet poczty elektronicznej.

J. przytacza konkretne sytuacje. Jedno z dzieci pisze, że nie weźmie udziału w lekcji, bo jedyny komputer zajęło rodzeństwo. Albo telefon od mamy: jak się otwiera załącznik programu Word? – Część przez pierwszy okres dzieliło się telefonem z rodzicem. Później szkoła otrzymała kilka laptopów – dla dzieci i nauczycieli. Ale jedynym narzędziem, z którym uczniowie nie mieli problemów, był Messenger, dlatego większość lekcji odbywała się tu. Były to rozmowy wideo, ale jakoś połączeń pozostawiała wiele do życzenia, więc często był tylko czat – kontynuuje J.

I dodaje: – Jestem przerażona wrześnie. Dysproporcje między takimi szkołami jak nasza a tymi z miast będą ogromne.

Choć i tak opisana przez nią rzeczywistość nie jest najgorszą jej wersją. Luberadzka-Gruca: – Od początku pracy zdalnej chcieliśmy jako fundacja pomagająca dzieciom podejść do tego systemowo. Dzwoniliśmy do powiatów, by dowiedzieć się, jakie są potrzeby. W jednym usłyszeliśmy, że nie ma pracy zdalnej i pewnie nie będzie, bo nawet pedagodzy nie mają sprzętu. Nauczyciel przez telefon mówił dziecku, co ma robić.

Kaszulanis: – W niektórych wiejskich rejonach w ogóle nie ma internetu. Nauczyciel wsiadał na rower, jechał na najwyższe wzniesienie i wysyłał do wszystkich uczniów zadanie esemesem. Gdzie



PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

będzie gościem Grzegorza

Chlasty w środę 24 czerwca

o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podcastach na stronie internetowej radia.

| Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM |

Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM

| Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

oraz na Mazowszu i w Warszawie – www.rdc.pl

indziej nawet to nie wchodziło w grę: nauczyciel wsiadał na rower, objeżdżał domy, a zadania włożone do „koszulek” wieszal na furtkach.

Niewidzialni

„Zaginieni” i ci ze sprzętowymi brakami to niejedynie ofiary czasu epidemii. Kolejna grupa: uczniowie ze specjalnymi potrzebami edukacyjnymi – m.in. z chorobami, niepełnosprawnością ruchową, ale też np. niewidomi, niesłyszący, z autyzmem czy upośledzeniami. Ze szkół integracyjnych bądź specjalnych.

– W naszej szkole jest przynajmniej jedno takie dziecko w każdej z klas – mówi anglistka z Podkarpacia. – Nauczyciele pracowali z nimi wcześniej w dużej mierze indywidualnie. Teraz jedynie, co mogliśmy zrobić, to wysłać im łatwiejsze prace.

– To była fikcja – kwituje trzy miesiące zdalnej nauki córki z zespołem Downa w krakowskiej, ponadpodstawowej szkole specjalnej M. (też woli być anonimowa). – Całe życie uczyłam dziecko, że powinno być samodzielne. To główna wartość edukacji, tak też córka uczyła się latami. A teraz? O zajęciach online nie było mowy. Wysyłano tylko zadania: tak trudne, że moje dziecko nie mogło nawet do nich podejść. Jest to dla mnie przykre: ludzie, którym powinno się dawać więcej, nie dostali nic.

Szkoły specjalne wypadły w nauczaniu zdalnym dramatycznie – wynika z opartego na 780 ankietach wśród nauczycieli badania przeprowadzonego przez zespół pedagogożek z UAM w Poznaniu. „Realizowanie samego nauczania w szkole specjalnej (...) przez internet bardzo często jest po prostu niewykonalne – mówiła PAP, podsumowując jeden z wniosków badania, prof. UAM Sylwia Jaskulska.

Świat dzieci by się nie zawalił ani nie byłyby one tak bardzo poszkodowane, **gdybyśmy odstąpili od podstawy programowej** w tym trudnym okresie.

– Zrzeszeni w związku nauczyciele alarmowali, że brakuje programów komputerowych do nauczania dzieci ze specjalnymi potrzebami. Wielu pedagogów czuło, że zostali zostawieni sami – mówi rzeczniczka ZNP.

Grupa kolejna: uczniowie mieszkający w domach dziecka. – Najgorzej było tam, gdzie nie zrealizowano jeszcze wymaganego ustawowo do końca roku ograniczenia liczby dzieci do 14 w jednej placówce – relacjonuje Joanna Luberadzka-Gruca. – Gdy przed epidemią dzieci były w szkole, w placówce pozostawał jeden wychowawca na dyżurze. Teraz te dzieci zostały na miejscu, a liczba kadry się nie zmieniła. Dodatkowo dowożono do tych placówek dzieci z zamykanych na czas epidemii ośrodków socjoterapeutycznych. Było ciężko łagodzić emocje, organizować miejsce do spania, a co dopiero komputery.

Bo minister kazał

„Proszę, by MEN jak najszybciej przyjął do wiadomości realia” – napisał 17 marca w mailu do resortu edukacji jeden z rodziców, Łukasz Garbal, który potem korespondencję udostępnił naszej redakcji. W dalszej części listu pisał: „Jeżeli przerwa się przedłuży, proszę o odstąpienie od wymogu realizacji podstawy programowej, bo jest to nierealne, grozi powiększaniem różnic edukacyjnych”.

Decyzja była inna: programy będą realizowane. „Uprzejmie informuję, że MEN wziął pod uwagę możliwe trudności w dostępie uczniów do sprzętu” – odpowiadał obywatelowi-rodzicowi resort, pisząc o środkach, jakie rząd przeznaczył na laptopy.

„Przytoczone liczby oznaczają, że w Warszawie np. zaspokojonych zostanie 0,3% potrzeb. Nie chodzi zresztą tylko o sprzęt, ale o fakt, że taki tryb pracy (...) nie jest tak naprawdę zdalnym nauczaniem, a zdalnym zadawaniem prac (...) Ci rodzice, którzy mają większe zasoby, zatrudnią korepetytorów, kupią sprzęt, ale tak naprawdę większość uczniów będzie miała »dziury« w edukacji” – pisał obywatel-rodzic. Odpowiedzi już nie dostał.

Luberadzka-Gruca: – Świat dzieci by się nie zawalił ani nie byłyby one tak bardzo poszkodowane, gdybyśmy odstąpili od podstawy programowej w tym trudnym okresie, a nawet w pierwszych tygodniach od nauczania zdalnego. W międzyczasie moglibyśmy zaplanować, jak włączyć w edukację wszystkie dzieci. Stało się inaczej.

Kruczkowski: – To głębszy problem: nasza szkoła w ogóle została zredukowana do wiedzy. Byłe do egzaminu, byłe do matury, byłe zgodnie z podstawą. Emocje i relacje się tu nie liczą. Nasza edukacja jest jak pędzący, choć od dawna uszkodzony pociąg. Nauczyciele, którzy chcą inaczej, a wiemy, że chcą, bo są najbliższe dzieci, zostali zmuszeni do sprawdzania biletów. Teraz w dodatku kierownik pociągu postanowił nie zatrzymywać się na niektórych stacjach. I nie pomyślał o komunikacji zastępczej. Spora część pasażerów została na peronie.

© P. PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Inicjatywę GraPaczka można wesprzeć na www.szlachetnapaczka.pl

TP W NASTĘPNYM WYDANIU „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” W ŚRODĘ 1 LIPCA DODATEK

NASZA WSPÓLNA EUROPA. RECEPTY

a w nim:

- W jaki sposób Polska zyska na zielonej transformacji unijnej gospodarki?
- Czemu po pandemii skończy się w Europie dobry czas dla populistów?
- Czy powinniśmy obawiać się „Unii dwóch prędkości”?



PARTNEREM DODATKU JEST PRZEDSTAWICIELSTWO KOMISJI EUROPEJSKIEJ W POLSCE

Nasza wspólna Europa. Recepty



Zdalna szkoła dla wybranych

PRZEMYSŁAW SADURA, SOCJOLOG:

Edukacja wraz z przejściem w nauczanie zdalne przeszła też w tryb reprodukcji nierówności. Działania MEN nie były pokazem zarządzania kryzysem – już prędzej kryzysu zarządzania.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Stać mnie na laptop i kurs językowy dla dziecka. Dlaczego właściwie powinno mi zależeć na edukacyjnej równości szans?

PRZEMYSŁAW SADURA: Najprostsza odpowiedź brzmi: bo tak jest uczciwiej. Różnice w poziomie kapitału kulturowego rodziców, ich kompetencjach, zasobności portfela – to wszystko jest z punktu widzenia dziecka niezawinione i niezaskuszone. Bo jeśli szkoła nie działa tak, jak powinna, to reprodukcja pozycji społecznej odbywa się właśnie w jej murach.

A jeśli uczciwość przemawia do kogoś mniej niż pragmatyka i korzyść własnych dzieci?

To dam mu kolejny argument: równość szans wszystkim nam się opłaca. Jeżeli od początku edukacji zmniejszane są nierówności, dając wszystkim mniej więcej takie same szanse na rozwój talentów i zainteresowań, to społeczeństwo jest bardziej spójne. Bardziej też sobie ufamy, a nasze życie mniej przypomina dżunglę – możemy pożytkować energię inaczej niż brutalnie rywalizując.

Konstytucja mówi, że dostęp do edukacji ma być powszechny i równy. Co to znaczy?

Pierwszy z przymiotników dotyczy wspólnej dla wszystkich bazowej ścieżki edukacji. W poprzednim systemie oświatowym – przed reformą PiS – to było sześć klas podstawówki i trzy gimnazjum. Teraz to osiem lat szkoły podstawowej. Drugi przymiotnik zobowiązuje państwo do tego, by publiczne usługi edukacyjne na różnych etapach rozwoju dziecka były mniej więcej takie same dla wszystkich.

W ciągu ostatnich miesięcy zdalnej pracy szkół te zasady zostały pogwałcone?

Bez wątpienia polskie państwo nie było w stanie ich zrealizować. Choć nadal nie mamy pełnej wiedzy o tym, co tak naprawdę się w tym czasie wydarzyło. Na razie muszą nam wystarczyć szczątkowe dane: np. te z Warszawy, mówiące o 14 tysiącach dzieci, które miały braki sprzętowe.

I setkach, nie tylko w stolicy, które w ogóle wypadły z systemu. Próbowaliśmy wydobyć z Ministerstwa Edukacji statystyki ogólnopolskie. Bezskutecznie.

Najlepiej jest słuch termometry, czyli nie robić testów ani badań. Tak zwalczymy i epidemię, i kryzys edukacyjny... Dane, o których pan mówi, zbierają samorządy – MEN mógłby łatwo uzyskać je od nich. Być może jednak bieżąca sytuacja polityczna – np. niedawna próba wydobycia od lokalnych władz danych do organizacji niekonstytucyjnych wyborów korespondencyjnych – spowodowała, że relacje samorządy–rząd układają się jeszcze gorzej niż wcześniej. Były to fatalny sygnał: one są jak dwa płuca obsługujące ten sam organizm, czyli państwo.

A wracając do danych, z pierwszych tygodni epidemii zapamiętałem wyniki ankiety Librusa – nie w pełni reprezentatywnej, ale z dużą, bo liczącą ponad 20 tys. rodziców próbą. Aż 60 proc. pytanym stwierdziło, że w czasie pierwszych tygodni pracy zdalnej swoich dzieci musieli spędzać z nimi przy nauce trzy lub więcej godzin dziennie! To pokazuje, jak bardzo ciężar nauczania został przerzuty na rodziców. A że rodzice są różni – różna jest ich świadomość, możliwości

czasowe, ekonomiczne – można śmiało powiedzieć, że polska szkoła wraz z przejściem w nauczanie zdalne przeszła też w tryb reprodukcji nierówności.

Dało się inaczej reagować na kryzys? Minister Dariusz Piontkowski miał do przekazania w zasadzie jedno: że także wcześniej część dzieci nie chodziła do szkoły.

W zasadzie wszystko można było robić wyłącznie lepiej. I nie chodzi tylko o retorykę. Decyzję o przejściu do edukacji zdalnej podjęto w sposób nieprzygotowany, ogłoszono ją z dnia na dzień, a w kolejnych komunikatach było mnóstwo sprzeczności. Najpierw zawieszono pracę szkół, za chwilę tłumaczono nam, że „to nie są żadne koronaferie”. Decyzje o kolejnych okresach zamknięcia szkół były znowu ogłaszane z niewielkim wyprzedzeniem.

Porównajmy to sobie z ruchami dotyczącymi szkół wyższych – tu mieliśmy w zasadzie dwie decyzje. Po drugiej wiadomo już było, że nie będzie zajęć do końca semestru. Na tym tle MEN wypadł błado. To nie był pokaz zarządzania kryzysem – już prędzej kryzysu zarządzania.

Resort edukacji podjął jeszcze jedną kluczową decyzję: o realizacji podstawy programowej i stawianiu ocen.

To była decyzja o pełnej realizacji programów – ale dla wybranych. A i to wątpliwe: każdy wykładowca akademicki wie, że jeśli kurs nie był przygotowany do realiów edukacji zdalnej, to jego pełne zrealizowanie jest niemożliwe. Trzeba tylko przemyśleć, na czym nam zależy, a co możemy opuścić. W MEN zwyciężyło myślenie życzeniowe: udawanie, że kryzysu nie ma.

I to się – z formalnego punktu widzenia – da zrobić! Wystarczy zwiększyć nadzór, zmusić nauczycieli do wypełniania jeszcze większej liczby sprawozdań. Tak też uczynił MEN, i stąd te ilości zadań domowych już nie tylko na języku polskim czy matematyce – nawet na wychowaniu fizycznym nauczyciele wymagali wysyłania planów treningowych, bo wuefistom też musiało się wszystko zgadzać w dokumentach. To doprowadziło do nagromadzenia absurdów – posłaliśmy w masowe zaklanie rzeczywistości.

Czy zawiodły też lokalne służby, jak pomoc społeczna czy policja,



JAKUB ORZECZOWSKI / AGENCJA GAZETA

Zdjęcie z autorskiego cyklu dokumentującego życie rodziny fotografa Jakuba Orzechowskiego po zamknięciu szkół, Lublin, marzec 2020 r.

czasem bezradne w wyłapywaniu „zagubionych” uczniów?

Owszem, ale polskim służbom brakuje konsekwencji w działaniu od lat i na różnych polach – trudno oczekiwać, że coś się zmieni w czasie kryzysu. Wszystkie siły zostały rzucone na fronty walki z epidemią, ale edukacja nie została najwyraźniej uznana za jeden z tych ważnych frontów.

Wracając do poziomu ogólnopolskiego: gdyby kolejne decyzje na tym pulapie nie zapadały z dnia na dzień, pewnie wychowawcom i dyrektorom byłoby łatwiej się przygotować. Np. wytypować dzieci najbardziej zagrożone wykluczeniem. Tam, gdzie to nie rodzic jest problemem, wzmocnić z nim kontakt, a tam, gdzie to on stanowi kłopot, zadbać zawczasu o utrzymanie relacji z dzieckiem. Tak się jednak nie stało: w sytuacji kryzysu jedyne, co pozostało szkołom, to wzywanie na pomoc służb. Te zaś były zajęte czymś innym.

Przy okazji pominięto jeszcze jedną grupę: uczniów z tzw. specjalnymi potrzebami edukacyjnymi, czyli np. z niepełnosprawnościami.

Stało się tak, bo system zareagował obronnie, a reakcje obronne prowadzą zawsze do hiperrutynizacji. Rutyna zaś z natury rzeczy słabo się sprawdza we wspieraniu grup, które wymagają indywidualnego potraktowania.

Cofnijmy się w czasie o kilka lat. Po co była reforma edukacyjna PiS?

No właśnie: po co? Najchętniej bym przestał na powtórzeniu pana pytania.

Z punktu widzenia czegoś, co nazywamy z angielska *policy* – polityki publicznej, rozumianej jako rozwiązywanie problemów ludzi – ta reforma się po prostu nie broni. Owszem, na samym początku trafnie zdiagnozowano pewne wady poprzedniego porządku: choćby rozwarstwianie się systemu gimnazjów, tworzenie – wbrew intencjom z okresu wprowadzania tych szkół – placówek elitarnych w dużych miastach, co było możliwe dzięki obchodzeniu zasady rejonizacji. Ale na ten problem można było reagować punktowo. Zwłaszcza że system działał coraz lepiej. Międzynarodowe badania umiejętności 15-latków PISA pokazywały nie tylko, że wyniki polskich gimnazjalistów są coraz lepsze, ale też coraz lepiej radzą sobie dzieci ze środowisk o niższym kapitale kulturowym.

Zdecydowano się rozwalić cały system, wracając do ośmioklasowej podstawówki. Co z punktu widzenia walki z nierównościami jest kontrskuteczne.

Bo?

Bo żelazna zasada systemu sprzyjającego wyrównywaniu szans brzmi: dzieci powinny jak najszybciej trafiać do szkolnictwa powszechnego, i powinny jak najdłużej w nim przebywać, zanim dotrą do pierwszego progu selekcji.

Skoro tak, to kontrskuteczne było też wycofanie się PiS z wysyłania 6-latków do szkół.

Może nawet bardziej kontrskuteczne! Ta reforma służyła przecież temu, by poprzez zabranie 6-latków z przedszkoli do szkół stworzyć więcej miejsc w tych pierwszych, dając szansę na powszechny dostęp do placówek wszystkim dzieciom od trzeciego roku życia.

Powtórzę więc pytanie: po co była reforma?

Da się ją uzasadnić wyłącznie przez pryzmat *politics* – polityki rozumianej jako gra o władzę. Po prostu PiS, będąc jeszcze w opozycji, zdecydował się na populistyczny sposób tworzenia swojej agendy, szukając punktów zapalnych. Także w edukacji: mit gimnazjów jako siedlisk przemocy – niepotwierdzony poważnymi badaniami – był bardzo nośny. Podobnie jak przekonanie, że 6-latki nie mogą iść do szkoły. Ta druga batalia była zresztą dla PiS tym łatwiejsza, że reforma 6-latków została przez poprzednią ekipę fatalnie przygotowana i zakomunikowana.

A może reforma PiS miała sens, tylko odwrotny – może chodziło o budowę nowych elit?

Dla mnie była to raczej bałamutna próba sprzedania elitaryzmu w opakowaniu egalitarystycznym. Program edukacyjny tej partii, pisany przez prof. Andrzeja Waškę – obecnie doradcę prezydenta RP – posiadał rzeczywiste elitarystyczne cechy, np. postulat wzmocnienia selekcji do liceów i wprowadzenia do tych szkół języków klasycznych. Z drugiej strony, minister edukacji Anna Zalewska mówiła o zrównywaniu szans. Ale tak jak w przypadku wielu wcześniejszych reform próbowano uszczęśliwiać na siłę grupy mniej uprzywilejowane, nie konsultując tego z nimi, tu postąpiono odwrotnie: reforma mogła się tym grupom – ze względu na swój populistyczny charakter – podobać, choć w efekcie nie mogła się im opłacać.

Wszystkie wcześniejsze reformy „były robione w interesie ludu, ale nie z ludem – mówił Pan kilka lat temu w debacie Fundacji Batorego. – Inaczej niż PiS: ta reforma jest robiona z ludem, ale nie w jego interesie”.

By tę prawidłowość zilustrować, możemy się cofać dowolnie – nawet do czasów Gomułki, który wprowadził do

→ systemu edukacyjnego punkty za pochodzenie, chcąc zwiększyć dostęp do studiów dla młodzieży z chłopskich i robotniczych środowisk. Okazało się – niezależnie od czarnego, antyinteligentckiego wydźwięku tej reformy – że w znakomitej większości przedstawiciele tych grup nie mieli ochoty studiować. Z kolei za Gierka próbowano tworzyć zbiorcze szkoły w większych ośrodkach, likwidując wiele spośród tych wiejskich. Ta reforma też się nie udała, bo nikt się nie zastanowił, jak zareagują ci, którzy teoretycznie mieli na owej zmianie skorzystać. A reakcją był bunt: likwidowano przecież ludziom ich wiejskie placówki.

Nie inaczej było wiele dekad później z próbą wysłania 6-latków do szkół. Nie przygotowano żadnej kampanii, która by wytłumaczyła ludziom, że dzieci z rodzin o niższym kapitale kulturowym mogą zyskać, idąc wcześniej do przedszkola.

A może w ogóle przeceniamy wagę reform w niwelowaniu nierówności?

Być może przeceniamy wagę reform tak przeprowadzonych, jak miało to miejsce w polskich warunkach. Co nie znaczy, że systemowe zmiany jako takie nie mogą wpływać na zrównywanie szans. Jest cały szereg danych, które pokazują, że zasady rządzące dobrym – z punktu widzenia społecznej spójności – systemem są w gruncie rzeczy bardzo proste: późny próg selekcji i możliwie wcześnie oraz powszechny dostęp do edukacji.

Wychodzi więc na to, że PiS zrobił reformę modelowo antyrównościową. Ale też wprowadził program Rodzina 500 plus. Ogłoszony niedawno raport Fundacji Św. Mikołaja – znanej z edukacyjnych stypendiów dla uczniów z mniej zamożnych rodzin – pokazuje, że rodziny te wydają sporo środków na rozwój dzieci.

Zasiadam w radzie programowej innej organizacji na rzecz równych szans w oświacie – Edukacyjnej Fundacji im. prof. Romana Czerneckiego EFC. Od lat prowadzimy Program Stypendialny „Horyzonty” przeznaczony dla uzdolnionej młodzieży z mniej uprzywilejowanych środowisk. Miałem więc okazję obserwować, jak od wprowadzenia 500 plus poprawiała się – może nie od razu, ale z czasem coraz wyraźniej – sytuacja tych rodzin. Przyznawaniu naszych stypendiów

Poszliśmy w masowe zaklinanie rzeczywistości.

Nawet wuefiści wymagali wysyłania planów treningowych, bo też musiało się im wszystko zgadzać w dokumentach.

towarzyszyły zawsze bardzo trudne decyzje: było ich wielokrotnie mniej niż kandydatów. Ostatnio się to wyraźnie zmieniło.

Wspomniany raport mówi o ponad 400 zł miesięcznie przeznaczanych przeciętnie przez niezamożne rodziny na cele rozwojowo-edukacyjne jednego dziecka. Choć nawiasem mówiąc: główne wydatki z tej grupy to dobra, które powinno chyba zapewniać państwo – wyjazdy szkolne, rozwój zainteresowań dzieci czy nauka języków obcych.

Zgadzam się, a nawet protestowałbym przeciw rozmawianiu o tym „nawiasem”. To fundamentalna sprawa.

Wycofuję się więc z „nawiasu” i pytam: co te wydatki mówią o naszym państwie?

Że przekazywane przezeń transfery gotówkowe zamiast wspierać, zastępują usługi publiczne.

Państwo jedną ręką wręcza nam pięć stułotowych banknotów, a drugą nas czegoś pozbawia?

W Polsce często zestawia się program 500 plus ze słowem „patologia”. I chciałoby się powiedzieć przewrotnie: słusznie się zestawia, choć w kontekście zupełnie innym niż potoczny – 500 plus ujawnia patologię publicznego zarządzania. Dajemy ludziom gotówkę, doskonale wiedząc, że środki te pójdą w dużej mierze na zdrowotne, emerytalne czy edukacyjne potrzeby, których zaspokojenie powinno być zadaniem państwa. Transfer w krótkiej perspektywie poprawia sytuację najuboższych, a równocześnie właśnie w tę grupę najboleśniej uderza niski poziom publicznych usług. Tak oto tworzymy w Polsce *welfare state* na niby: osoby o niższym kapitale kulturowym grają z nami

w grę na pozornie równych zasadach, ale w dłuższej perspektywie muszą przegrać.

Wróćmy do epidemii – Pan widzi w wymuszonym zamknięciu szkół szansę. „Zdalne nauczanie – pisał Pan w dokumencie na potrzeby jednej z debat – może zmniejszać nierówności poprzez programy wyposażenia wszystkich uczniów w niezbędny sprzęt, (...) systematyczne stosowanie narzędzi IT jest szansą na demokratyzację edukacji”. Świat idealny czy realna szansa?

To jedna z możliwości. Rodzice, szkoły, samorządy zainteresowały się sytuacją dzieci. Zainicjowano masę działań samopomocowych. Sam przekazałem jeden z używanych laptopów szkole, mam nadzieję, że jakieś dziecko teraz z niego korzysta. To szansa, tylko trzeba na tym budować coś trwalszego.

Widzi Pan to budowanie?

Na pewno nie na poziomie centralnym. Nie widzę, by MEN miał ochotę włączać na stałe edukację zdalną w codzienność szkół. Jeśli nic się nie zmieni, to ten ponad trzymiesięczny okres przyjdzie nam uznać za czas zapaści. W tym wariacie będzie to nie tylko czas stracony – z punktu widzenia dzieci ze środowisk mniej uprzywilejowanych zaległości będą nie do nadrobienia.

Optymiści sądzą, że skoro wszyscy tyle się przez te miesiące nauczyli, to modernizacyjny skok w polskiej edukacji musi się stać faktem. Ale on się sam nie wydarzy.

© © Rozmawiał PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI



ARCHIWUM PRYWATNE

DR HAB. PRZEMYSŁAW SADURA jest socjologiem, publicystą, adiunktem w Instytucie

Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego. Interesuje się m.in. socjologią edukacji, zróżnicowaniem klasowym i partycypacją obywatelską. Autor wielu książek, m.in. wydanej przez Wydawnictwo Krytyki Politycznej „Państwo, szkoła, klasy” (2017). Członek rady programowej Edukacyjnej Fundacji im. prof. Romana Czerneckiego EFC, współzałożyciel Fundacji Pole Dialogu.

ANNA

Dziewit-Meller: Łódeczka



ZNACIE TO UCZUCIE, GDY KTOŚ NIEPROSZONY o dobrą radę, której nie potrzebujecie, postanawia was nią uraczyć, a wy zaskoczeni nachalnością macie w gębie kołek zamiast języka, więc doskonale riposty przychodzą wam do głowy dopiero wieczorem w wannie? Znać, jestem pewna.

Wiele takich nieproszonych pouczeń do mnie w życiu przyszło w dziedzinach, którymi się z powodzeniem od lat zajmuję: od macierzyństwa, przez to, jak wyglądam, co i jak piszę, po dobór gości do wywiadów, które przeprowadzam na (swojej własnej) stronie internetowej etc.

Jest w ludziach wielka pokusa do nieproszonego dzielenia się swoim doświadczeniem i spostrzeżeniami, które odbiorcy nie pomogą, nie dodadzą motywacji ani skrzydeł, bo wypowiedane są nie celem wsparcia adresata, lecz dla polepszenia sobie samopoczucia.

Tysiąckróć zatem wolę złotą radę mojego świętej pamięci dziadka Tadka, który powiadał: „Ja ci radzę, rób, jak chcesz”. Próbuję dziadku, wciąż próbuję! No bo łatwo powiedzieć, zwłaszcza będąc kobietą.

A już szczególnie jest ciężko, gdy kobieta wchodzi na terytoria zarezerwowane z jakichś powodów dla rodzaju męskiego. Na przykład na pokład.

I tu sprytnie przejdę do fenomenalnej historii, w której riposta na uwagi życziwych wyszła tak dobrze, że aż przeszła do annałów – żeglarstwa, historii kobiet i feminizmu.

W 1989 r. Tracy Edwards, nieznana nikomu młoda żeglarka, postanowiła, że wystartuje w wokołoziemskich żaglowych regatach Whitbread na prowadzonym przez siebie jachcie z całkowicie żeńską załogą.

Kpinom nie było końca. Tracy w regatach Whitbread kiedyś już udział brała, jako okrętowa kucharka, w takiej roli widział ją żeglarskie środowisko. Nikt nie chciał dziewczyny

na pokładzie, więc postanowiła wywalczyć sobie własny pokład, na który będzie wpuszczać, kogo zechce. Czyli same dziewczyny. Po długiej walce o sponsorów (nikt nie chciał wesprzeć tak groteskowego pomysłu; ostatecznie pieniądze dał jej stary znajomy, którego poznała pracując w kuchni na czarterowych jachtach na Karaibach – król Jordanii Husajn; Tracy zastawiła też w banku dom, ryzykując, że nie będzie miała dokąd wracać) udało się im wystartować.

Dziennikarze sportowi robili zakłady, jak daleko panny dopłyną, obstawiając, że najdalej do Wysp Kanaryjskich. W fenomenalnym filmie dokumentalnym o starcie załogi jachtu Maiden w regatach Whitbread („Maiden”, 2018) widzimy, jak bezpardonowy atak na młode żeglarki przypuściło środowisko wodniaków, nie tylko nie traktując ich jako konkurencji, lecz również ustawiając je w roli ciekawostki – czy raczej: maskotki. Gdy żeńska obsada dopłynęła do końca pierwszego etapu (z Southampton w Wielkiej Brytanii do Punta del Este w Urugwaju), zamiast, jak koledzy żeglarze, opowiadać o żeglowaniu, musiały się mierzyć z pytaniami dziennikarzy o to, czy ciągle się kłócą oraz jakich używają kosmetyków podczas rejsu. Wujkowie Dobra Rada poklepywali je po plecach z paternalistycznymi uśmieszkami, czyniąc kolejne zakłady, że tym razem – na etapie z Urugwaju do Australii – laski wymiękną.

Jakże duże zdziwko nastąpiło, gdy harde dziewczuchy na szalenie trudnym odcinku, przez m.in. niebezpieczne wody Oceanu Południowego, dopłynęły jako pierwsze w swojej klasie, w pięknym stylu pokonując faworyta. Media i komentatorzy orzekli natychmiast, że to łut szczęścia. Jednak również na metę trzeciego odcinka przypłynęły jako pierwsze. I choć ostatecznie jacht Maiden do Southampton przybył jako drugi w swojej klasie (i 17. w klasyfikacji generalnej), to na nabrzeżu czekały tłumy. Na nie, nie na lidera wyścigu. Wpływały na metę w otoczeniu setek jachtów, łodzi, statków wycieczkowych pełnych wiwatujących ludzi. Tak witano dziewczyny, które nie poddały się presji i dopięły swego w wielkim stylu.

„Ja ci radzę, rób, jak chcesz” – mogłoby brzmieć przesłanie Tracy Edwards. Rób tak, jak uważasz za stosowne, w sposób, który uznajesz za dobry dla siebie, w dziedzinie, którą kochasz, w stylu, jaki sprawia, że czujesz się dobrze z samym sobą. Tę spóźnioną genialną ripostę spod prysznica po prostu strzelmy przy kolejnej okazji. Będzie ich jeszcze na pewno sporo. Póki chcemy mieć jakiś własny pokład. ©

REKLAMA



SERIA

NIE-FIKCJA

WYDAWNICTWO.KRYTYKAPOLITYCZNA.PL

znajdziesz w **empik** salony / online / aplikacja
i dobrych księgarniach



WIARA

SPEKTAKL ZA ZAMKNIĘTYMI DRZWIAMI

Niespodziewane odsłonięcie życia wewnętrznego
tej części polskiego Kościoła,
którą tworzą ludzie posiadający święcenia biskupie, przybrało formę tragifarsy.

ARTUR SPORNIAK



Bp Edward Janiak w katedrze wrocławskiej, kwiecień 2006 r.

– będzie umiał zdecydowanie stanąć po stronie bezbronnych ofiar”. Ostatnie zdanie jest podkreślone.

Za tyskim farorzem (a przy tym teologiem i wnikliwym obserwatorem rzeczywistości kościelnej) spojrzmy na ostatnie wydarzenia jak na spektakl. Zobaczymy elementy farsy czy groteski, ale ks. Strzelczyk ma rację: chwila jest rzeczywiście przełomowa.

Główny bohater

Jest nim biskup diecezji kaliskiej Edward Janiak i wydaje się on osobą najbardziej tym faktem zaskoczoną. Bohater otrzymuje sygnały wskazujące na zbliżającą się katastrofę, jest jednak przekonany, że nic się nie może wydarzyć. Gdy afera wybucha z nieuchronną logiką fatum, okazuje się zupełnie nieprzygotowany. Działa według starych zasad – tak jak zawsze się robiło. Ta nieodpowiedniość jego działań przydaje sytuacji komizmu, ale równocześnie ukazuje dramat człowieka, który doskonale wpisał się w funkcjonowanie struktury, nie zauważył jednak, że zaczęła się ona sypać.

W jednej ze scen filmu „Zabawa w chowanego” braci Sekielskich, który miał premierę na YouTube 16 maja, bp Janiak przyjmuje rodziców mężczyzny w dzieciństwie wykorzystanego seksualnie przez księdza z diecezji kaliskiej. Spotkanie odbywa się w marcu 2016 r. i jest potajemnie przez rodziców nagrywane. Gdy sugerują, że biskup wie o działalności tego księdza (sprawca sam im wcześniej to powiedział), ordynariusz kaliski przerwa rozmowę i wyprasza gości. Księdza jednak zwalnia z funkcji proboszcza. Rok później sprawca otrzymuje posadę kapłana Wojewódzkiego Szpitala Zespołowego w Kaliszu, gdzie na 26 oddziałów cztery przeznaczone są dla dzieci.

W ten sposób bp Janiak złamał dwa przepisy prawa kościelnego. Od ogłoszenia w 2001 r. przez Jana Pawła II *motu proprio* „Sacramentorum sanctitatis tutela” każdy ordynariusz – po uzyskaniu „przynajmniej prawdopodobnej” informacji o przestępstwie podległego mu księdza – jest zobowiązany rozpocząć dochodzenie wstępne, a jego wyniki przesłać następnie do watykańskiej Kongregacji Nauki Wiary. Ma też obowiązek

odsunąć księdza od kontaktu z dziećmi. Przepisy te zostały doprecyzowane w 2010 r. przez Benedykta XVI. Podobne zapisy polski episkopat przyjął w wytycznych z 2014 r. – kościelnym prawie partykularnym obowiązującym w Polsce.

Bp Janiak ignoruje te przepisy i postępuje tak, jak się do tej pory postępowo w polskim Kościele w sytuacjach kryzysowych. Czekają go kolejne rozczarowania. Pierwsze, najbardziej bolesne, następuje chwilę po premierze „Zabawy w chowanego”: delegat episkopatu ds. ochrony dzieci i młodzieży, a zarazem prymas Polski abp Wojciech Polak publicznie ogłasza, że „nie dochowano obowiązujących w Kościele standardów ochrony dzieci i młodzieży”, wobec czego zgodnie z przepisami sprawę zgłasza do Watykanu. Po raz pierwszy biskup publicznie oskarża drugiego biskupa. Reakcja Janiaka wypada blado – ukazuje się suche oświadczenie kurii kaliskiej, które w ogóle się nie odnosi do stawianych biskupowi zarzutów.

25 maja na zwołanej przez kaliskiego biskupa pomocniczego Łukasza Buzuna Radzie Kapłańskiej księża mają podpisać list w obronie ordynariusza. Praktykę tę już znamy: takie listy pojawiły się po oskarżeniu arcybiskupa Juliusza Paetza o molestowanie kleryków i po oskarżeniu arcybiskupa Sławoja Leszka Głódzia o mobbing wobec współpracowników. Tym razem jednak kaliscy księża odmawiają, o czym donosi „Więź”. Zamiast tego piszą list do papieża Franciszka z prośbą o wyjaśnienie sytuacji.

Kolejna niesubordynacja następuje w uroczystość Trójcy Przenajświętszej 7 czerwca – część księży nie czyta podczas mszy listu ordynariusza, albo pomija odniesienie w nim do aktualnej sytuacji. Odniesienie sformułowane językiem tak pobożnym, że aż rażącym: „Proszę także szczególnie o modlitwę w tym czasie medialnej nagonki na moją osobę, abym uświęcony niewidzialną mocą Ducha Świętego mógł zawsze służyć Bogu Żywemu przez miłość i służbę ofiarną, której Chrystus jest początkiem, środkiem i dopełnieniem”.

List

Biskup Janiak najwyraźniej nie rozumie, co się dzieje. Podejmuje kolejny, jeszcze bardziej desperacki krok, który znów obraca się przeciwko niemu. 13 czerwca biskupi otrzymują jego list, w którym ostro →

PROBOSZCZ PARAFII ŚW. MAKSYMILIANA Kolbego w Tychach ma zwyczaj wstawać wcześniej rano i witać się z parafianami na facebookowej grupie parafialnej. 16 czerwca o godz. 4.11 odniósł się do ujawnionego dzień wcześniej listu biskupa kaliskiego Edwarda Janiaka do członków episkopatu, atakującego prymasa i nieudolnie broniącego się przed zarzutem tuszowania pedofilii.

„Bardzo mi przykro, że musicie być świadkami tego gorszącego spektaklu – napisał ks. Grzegorz Strzelczyk. – Nie będę tego szerzej komentował, napiszę krótko: to jest moment, w którym waży się, czy Kościół w Polsce – jako instytucja

→ atakuje prymasa. List po zaledwie dwóch dniach trafia do mediów – co znowu jest ewenementem. 15 czerwca dokładnie o godz. 15.03 publikują go równocześnie poznańska „Gazeta Wyborcza” i Onet.

Biskup Janiak oskarża arcybiskupa Polaka przede wszystkim o to, że zamiast zajmować się ochroną dzieci i młodzieży we wspólnocie Kościoła, „uderzył w biskupa diecezjalnego i wydał na niego wyrok”. To, że można publicznie oskarżyć biskupa, najwyraźniej nie mieści mu się w głowie. Takie oskarżenie „tworzy ogromne zamieszanie i uderza w wizerunek Kościoła”. Bo wizerunek Kościoła okazuje się dla biskupa Janiaka najważniejszy.

Dopowiedzmy, że takie myślenie jeszcze do niedawna było w Kościele normą. Dotychczasową bezkarność biskupów dopiero niedawno ukrócił papież Franciszek, wprowadzając w 2016 r. w prawie kanonicznym normy wprost mówiące o możliwości karania hierarchów oraz w 2019 r. w *motu proprio* „Vos estis lux mundi” szczegółowe procedury badania ich odpowiedzialności.

I prymas w odpowiedzi powołuje się na te dokumenty. Każdy ksiądz, który otrzyma wiarygodną informację o „działaniach lub zaniechaniach mających na celu zakłócenie lub uniknięcie dochodzeń cywilnych lub kanonicznych”, jest zobowiązany poinformować o tym władzę kościelną. „Tym bardziej jako delegat Konferencji Episkopatu Polski ds. ochrony dzieci i młodzieży, po zapoznaniu się z materiałem zawartym w filmie »Zabawa w chowanego«, nie mogłem milczeć lub pozostać bezczynny wobec przedstawionych faktów” – pisze prymas. Zauważa też, że „złożenie zawiadomienia nie rozstrzyga o winie i daje rzeczywistą szansę ks. bp. Edwardowi Janiakowi na przedstawienie argumentów w swojej obronie”.

Komedia pomyłek

Z listu bp. Janiaka dowiadujemy się, że podczas zebrania plenarnego episkopatu w dniach 8-9 października 2019 r. większość biskupów była przeciwna powołaniu Fundacji św. Józefa, mającej wspomagać osoby wykorzystane w dzieciństwie przez duchownych. Zdaniem Janiaka, została ona mimo to powołana na wyraźne życzenie przewodniczącego episkopatu abp. Stanisława Gądeckiego i tylko po to, by uniknąć „skompromitowania pry-

Niezależnie od tego,
jak groteskowy
jest to spektakl,
cierpienie ofiar jest realne
i to oni są najważniejsi.

masa”. Bowiem już wcześniej podał on informację o powołaniu fundacji i jej zarządzie, w którym znalazła się osoba świecka – Marta Titaniec.

Bp Janiak podważył też legalność powołania prymasa na delegata ds. ochrony dzieci i młodzieży. „Jestem przekonany, że ks. abp Polak nie został wybrany za aprobatą większości członków KEP, gdyż, jak pokazuje tworzenie Fundacji, było to działanie siłowe, aby uniknąć medialnych spekulacji lub porażki ks. abp. Wojciecha Polaka”. W rzeczywistości biskupowi kaliskiemu złożyły się w jedno trzy zebrania plenarne z 2019 r.: z marca – podczas którego biskupi wybrali abp. Polaka delegatem KEP ds. ochrony dzieci i młodzieży; z października – kiedy powołano Fundację św. Józefa; oraz z listopada – gdy bez ostatecznego rezultatu głosowano nad wyborem przewodniczącego Fundacji.

W dniu opublikowania przez media listu bp. Janiaka sekretarz episkopatu bp Artur Miziński w zwięzłym komunikacie stwierdził, że podczas 382. zebrania plenarnego KEP (12-14 marca 2019 r.) biskupi zdecydowaną większością głosów wybrali abp. Wojciecha Polaka na delegata KEP ds. ochrony dzieci i młodzieży na pierwszą pięcioletnią kadencję, a podczas 384. zebrania (8-9 października 2019 r.) – zdecydowaną większością głosów wyrazili zgodę na ustanowienie Fundacji Świętego Józefa.

Zajrzyjmy za kuliszy

W lutym 2019 r. papież organizuje w Watykanie szczyt poświęcony pedofilii. Zaprasza na niego ekspertów i przewodniczących episkopatów z całego świata. Arcybiskup Gądecki, przygotowując się na ten wyjazd, spotyka się z osobami skrzywdzonymi w dzieciństwie przez księży, m.in. z Wiktorem Poryckim, który później ujawni swoje prawdziwe nazwisko. Porycki proponuje m.in. powołanie kościelnego funduszu na rzecz

osób pokrzywdzonych, których sprawy się przedawniły. Abp Gądecki ostatecznie nie pojedzie do Watykanu z powodu choroby, ale podczas marcowego zebrania episkopatu proponuje abp. Polaka na stanowisko delegata KEP ds. ochrony dzieci i młodzieży.

Z naszych informacji wynika, że jego kandydatura rzeczywiście ważyła się niemal do ostatniej chwili. Nie podważano jego kompetencji, natomiast silna opozycja uważała, że sprawowana przez abp. Polaka funkcja prymasa Polski nada zbyt dużą rangę sprawie pedofilii w Kościele polskim. Co pokazuje, że dla dużej części episkopatu priorytetowe traktowanie walki z nadużyciami seksualnymi wobec małoletnich w Kościele jest strategią szkodliwą, gdyż wyolbrzymia problem. Podobne stanowisko zajmują m.in. środowiska związane z mediami o. Rydyzka.

W liście skierowanym do prymasa i określającym zadania delegata abp Gądecki po raz pierwszy wspomni o fundacji – widocznie rozmowa z Poryckim wywarła na nim silne wrażenie. Statut Fundacji św. Józefa, skład jej rady, w której znajdzie się Porycki, oraz zarządu (złożonego z dwóch osób: Marty Titaniec, współinicjatorki inicjatywy „Zranieni w Kościele”, i ks. Tadeusza Michalika z diecezji tarnowskiej, zaangażowanego w działania na rzecz prewencji przed wykorzystaniem seksualnym) bez problemów zostaną przegłosowane na październikowym zebraniu KEP. Na zebraniu listopadowym natomiast zatwierdzono poprawki do statutu i rozszerzono skład rady, bezskutecznie jednak głosowano nad przewodniczącym zarządu.

Arcybiskup Polak proponował na to stanowisko Martę Titaniec. Tak się jednak złożyło, że wcześniej na tym samym zebraniu debatowano nad raportem na temat mobbingu, o który oskarżony został – m.in. właśnie przez Martę Titaniec – dyrektor Caritas Polska. Świecka osoba, która ma odwagę krytykować otwarcie zło w strukturach Kościoła, najwyraźniej nie przypadła do gustu większości biskupów. Pisząc o perturbacjach z Fundacją biskup Janiak ma prawdopodobnie na myśli ten ostatni fakt.

Niemy chór i prawdziwi bohaterowie

W teatrze greckim chór spełniał ważną rolę – był narratorem, komentatorem, wskazywał na związek tego, co przed-

stawiają aktorzy, z życiem widzów. W naszym spektaklu chór milczy. Świadomość istnienia na scenie milczącego chóru podkreśla absurdalność sytuacji.

Kilkunastu biskupów od lat wspiera reformy, które usiłuje wprowadzać abp Polak. Mogliby go teraz publicznie wesprzeć. Trzech z nich zadzwoniło do prymasa ze słowami wsparcia. Prywatnie. Czyżby też nie widzieli, że struktura się sypie? Być może od środka wcale to nie jest oczywiste. Możliwe, że wewnętrzny żelbetonowy szkielet instytucji całkiem dobrze się trzyma...

Natomiast milczenie dużej części chóru można wytłumaczyć efektem „zmrożenia”. W episkopacie jest wielu „Janiaków” – oni są w tej chwili przerażeni. To do nich skierowana jest przestroga z listu: „Wcześniej atakowano Ks. Dyrektora Caritas Polska, dzisiaj mnie, a jutro może to być następny z Księżów Biskupów”.

I są następni. Na początku czerwca Tomasz Krzyżak z „Rzeczpospolitej” opisał zaniechanie w 2013 r. wszczęcia dochodzenia przez biskupa radomskiego Henryka Tomasika po doniesieniu o nadużyciach jednego z księży tej diecezji. Złożył w Watykanie oficjalne doniesienie. Z kolei naczelny „Więzi” Zbigniew Nosowski 16 czerwca poinformował o złożeniu doniesienia na poprzednika Janiaka – bp. Stanisława Napierałę, który 15 lat temu zaniechał wszczęcia dochodzenia wobec oskarżonego księdza.

Prawdziwi bohaterowie – osoby wykorzystane seksualnie jako dzieci przez księży – w tej sztuce nie pojawiają się na scenie, dlatego o recenzję „spektaklu” pytamy jedną z nich. I pamiętajmy, że niezależnie od tego, jak groteskowy jest to spektakl, ich cierpienie jest realne i to oni są (powinni być) najważniejsi.

Jedną z ważnych ról teatru jest umożliwienie duchowego oczyszczenia. Czy ta sztuka przynosi *katharsis*? Zbigniew Nosowski opisane wydarzenia przyrównuje na portalu „Więzi” do wylania się szamba. Wiedza, jaką uzyskaliśmy, rzeczywiście nie jest przyjemna. Pozwala jednak coś zrobić, jakoś się do rzeczywistości odnieść. W tym sensie jest – mimo wszystko – oczyszczająca.

©© ARTUR SPORNIAK

Czy biskupi naprawdę chcą nam pomóc?

JAKUB PANKOWIAK, BOHATER FILMU BRACI SEKIELSKICH:

Kilka dni temu dostaliśmy sygnał z Watykanu, że papież Franciszek zna naszą sprawę i że ona zostanie zbadana. To nam dało nadzieję.

ANNA GOC: Rozmawialiśmy miesiąc temu, tuż po premierze „Zabawy w chowanego”, dokumentu braci Sekielskich (czytaj na powszech.net/pankowiak). Powiedział Pan wtedy, że pewnie dopiero za kilka tygodni będzie wiadomo, jak hierarchowie zareagowali na film i ujawnione w nim mechanizmy tuszowania pedofilii w Kościele.

JAKUB PANKOWIAK: Tuż po premierze dostaliśmy dużo głosów wsparcia. Dzwonili szeregowi księża, ale też osoby, które były molestowane. Odezwały się Fundacja św. Józefa czy świeccy katolicy z inicjatywy „Zranieni w Kościele”. Skontaktowałem się z nami prymas Wojciech Polak. Wydawało się, że temat jest ważny, a my – jako skrzywdzeni przez księży – możemy liczyć na społeczne wsparcie. Na pojawiające się w internecie nienawistne komentarze od początku staraliśmy się nie zwracać uwagi. Tym bardziej że nie szły za nimi żadne argumenty.

Czy poza abp. Polakiem, delegatem KEP ds. ochrony dzieci i młodzieży, odezwał się do Was ktoś jeszcze z episkopatu?

Nie, z polskiego episkopatu nikt, choć wiemy, że jego przewodniczący, abp Stanisław Gądecki, zbiera materiały w naszej sprawie, które ma przedstawić Stolicy Apostolskiej. Nas dotąd o spotkanie nie poprosił, nie wiemy też, na jakim etapie są jego prace. Kilka dni temu dostaliśmy za to sygnał z Watykanu, że papież Franciszek zna naszą sprawę i że ona zostanie zbadana. To nam dało nadzieję.

Biskup Edward Janiak – który miał ukrywać księży pedofilów – stwierdził, że zgłoszenie sprawy Watykanowi to atak na niego.

Przeraził mnie wysłany do wszystkich biskupów i ujawniony przez media list bp. Janiaka. Zabrał mi on sporo siły i energii. Najbardziej wstrząsający był dla nas, osób skrzywdzonych przez księży, opis tego, w jaki sposób miała zostać powołana Fundacja św. Józefa – ta, o której biskupi mówią, że jest kolejną inicjatywą Kościoła wspierającą ofiary księży pedofilów. Biskup Janiak pisze, że biskupi jej nie chcieli, w głosowaniu odrzucili pomysł jej powstania, a dopiero potem, by uniknąć kompromitacji, zgodzili się na jej działalność. Najpierw pomyślałem, że to absurd. Potem przyszło mi do głowy pytanie: a co jeśli naprawdę żaden z biskupów, poza prymasem, nie chce nam pomóc?

Do tego usłyszeliśmy od o. Tadeusza Rydyzka, że mamy „nie zabijać” biskupa Janiaka. Nazywanie nas „zabójcami” jest przykre. Przecież nam chodzi o ujawnienie prawdy, o zadośćuczynienie ofiarom. Pedofilia jest zbrodnią. Pedofile mają na sumieniu nasze życie, niszczone nie raz. Dlatego chciałbym, żeby to mocno wybrzmiało: nikt z nas nie chce atakować bp. Janiaka. Zależy nam jedynie na pokazaniu, jak patologiczna może być relacja między kurią a osobami wykorzystanymi seksualnie przez księży.

©© Rozmawiała ANNA GOC



JAKUB PANKOWIAK jest muzykiem, laureatem wielu konkursów w Polsce i za granicą, między innymi M.K. Čiurlionisa w Wilnie, Ogólnopolskiego Konkursu Organowego Wykonawstwa Utworów D. Buxtehudego w Krakowie. Uhonorowany przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego odznaką „Zasłużony dla Kultury Polskiej” (2017). Jest bohaterem filmu dokumentalnego braci Sekielskich „Zabawa w chowanego”.

Tischner na dziś

TADEUSZ SŁAWEK

Polityka bez nieba, i to tym bezwzględniej, im głośniej na niebo się powołuje – oto nasza sytuacja, z której myśl Tischnera może pomóc znaleźć wyjście.

TERAŹNIEJSZOŚĆ STANĘŁA: SENTENCJA z eseju Józefa Tischnera o sarmackiej melancholii doskonale oddaje kryzys pandemicznej rzeczywistości. Przez dwa miesiące zastygliśmy w bezruchu, w kryształach jakiegoś nie-czasu, a teraz, gdy rozpoczęło się „odmrażanie”, ruch – choć wyczekiwany i upragniony – nie jest już tym samym, co poprzednio. „Teraźniejszość stoi” nadal: dziwimy się nagłym tłumom, patrzymy na nie z podejrzliwością i obawą. W gorączkowym ruchu kryje się cień powrotu kwarantanny.

Jeśli „teraźniejszość stanęła”, oznacza to, że moment *teraz* „zmarł”, przestał płynnie łączyć się z *wczoraj*, a *jutro* nie jest już pewne swego kształtu. Może to być ważną lekcją czasu epidemii: co to jest właściwie teraźniejszość? Czy stanowiła zacyk jakiejś lepszej, bardziej sprawiedliwej i ludzkiej przyszłości? A może była tylko nawykowym powtarzaniem tych samych czynności?

Filozofia nie jest niczym innym, jak obroną chwili obecnej świata, próbą nadania mu nowej dynamiki. Ożywić teraźniejszość, wprowadzić ją w ruch – tak mógłby brzmieć Tischnerowski imperatyw.

Polityka bez nieba

Jak mamy rozumieć ten postulat? Zapewne jako przypomnienie wagi dwóch scen, na jakich rozgrywa się ludzkie życie. Pierwszą jest poważnie potraktowane doświadczenie religijne/duchowe. Tischner podzieliłby pogląd Hannah Arendt, która upatrywała źródła kryzysu nowoczesnego świata w „zatrąceniu metafizycznego zainteresowania wiecznością”. Także drugą scenę odnajdziemy u Arendt, kiedy w kontekście przytoczonego wyżej zdania mówi o „utracie obszaru publicznego”.

Chodzi więc o doświadczenie duchowe kształtujące nie tylko jednostkę, ale także formujące relacje społeczne. Nieskończoność nie znaczy dlatego, że jest nieosiągalna dla rozumu, lecz dlatego, że pobudza do działania to, co skończone. Jej miejscem nie jest wypracowany już i gotowy porządek kalkulacyjnego rozumu, lecz (nie)ład pragnienia, a to należy do sfery tego, co niegotowe i niedopracowane. Nieskończone musi zaprosić wszelki skończony byt po to, by wspólnie dopracowywać się nieskończoności. „Nieskończoność jest darem danym pragnieniu – darem, który przejawia się jako wybranie. (...) Wybrać znaczy: spotkać, wyodrębnić z obojętności, uchwycić w indywidualności, uznać we własnej wartości, pociągnąć ku sobie, by wybrany mógł na wybranie odpowiedzieć wyborem” – pisał Tischner w „Filozofii dramatu”.

Polityka jest grą interesów, które zawsze okazują się partykularne, i władzy, która wcześniej czy później kostnieje w dążeniu do rządów absolutnych. Tak dzieje się wtedy, gdy, jak obecnie w Polsce, zapominamy o tym, że polityka bierze się ze wspólnej pracy w horyzoncie nieskończonego. Polityka bez nieba, i to tym bezwzględniej, im głośniej na niebo się powołuje – oto nasza sytuacja, z której myśl Tischnera może pomóc znaleźć wyjście.

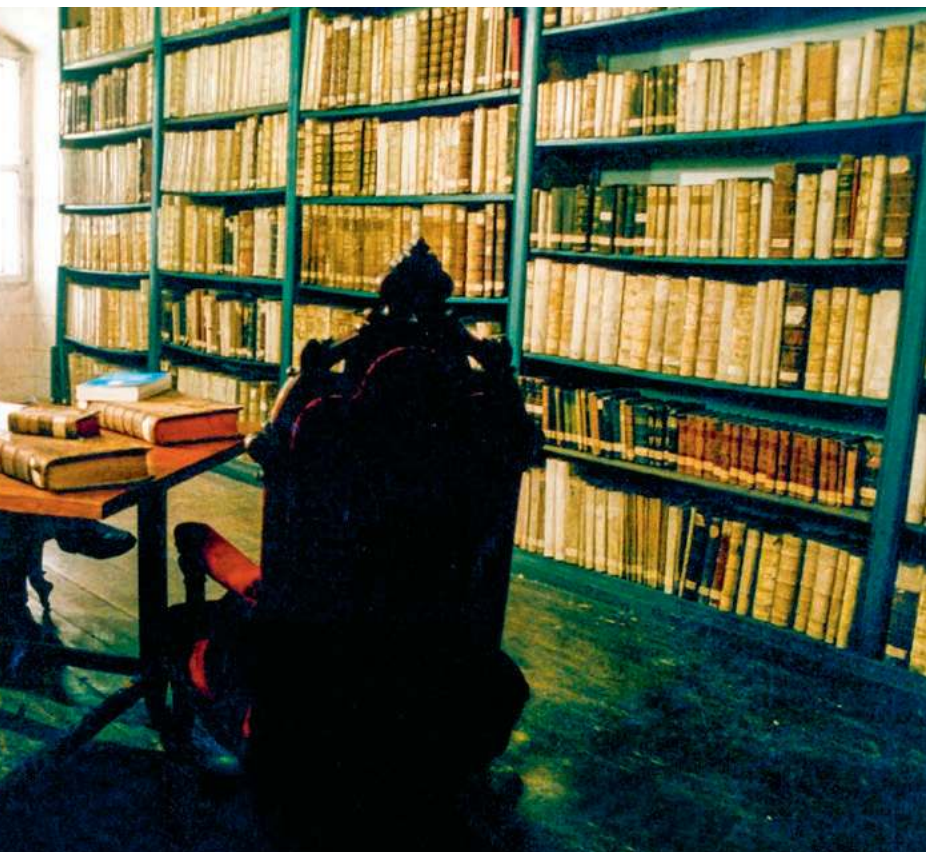
Pierwszym krokiem będzie uzmysłowienie sobie, że ścieżki do Nieskończoności nie wytycza pewność dogmatów, lecz wiecznie niepewna siebie moja odpowiedzialność za drugiego. Tischner pisze jasno: „Droga ku Nieskończonemu wiedzie poprzez poczucie odpowiedzialności, jakie łączy mnie z drugim człowiekiem” („Myślenie według wartości”). A więc próbować (bo człowiek może jedynie „próbować”, wbrew tym, którzy twierdzą, że są dysponentami prawdy



ostatecznej) zrozumieć niebo i działać na jego rzecz to nie powoływać się na nie, lecz pojąć, że wszyscy uczestniczymy w pewnym złu, jakim jest nieludzki stan spraw ludzkich.

Znamienny będzie komentarz Tischnera do Kantowskiej teorii zła jako odstępstwa jednostki od zasad: „Kant nie docenia »ciężaru zła« umiejscowionego w strukturach społecznych władzy i poddania oraz w strukturach obyczajów dziejowego” („Spór o istnienie człowieka”). Ożywić teraźniejszość to poddać dyskusji relację między jednostką a społeczeństwem, obywatelem a władzą, rezygnując z prostej aprobaty dotychczasowego stanu rzeczy, która to aprobata podpadałaby pod Tischnerowską kategorię „złego nawyku”.

Jeśli nawyk jest przyswojoną i zaakceptowaną na poły bezwiednie wizją świata, świadomość „złego nawyku” przychodzi w chwili, gdy ów projekt, którym żyję, zaczyna mi dokuczać jako niesprawiedliwy, krzywdzący, moralnie podejrzany. Zaczynam wtedy zdawać sobie sprawę, że w takim świecie ludzie nie spotykają się już, nie rozmawiają, lecz obrzucają inwektywami. Widzę zło jako osnowę tego świata. Zło, zacytujmy gorzko aktualny fragment „Filozofii dramatu”, polega na



ANNA PIETUSZKO / FORUM

tym, że „dobre istoty ustawiają się na przeciwko siebie jako wrogowie”, a konfrontacyjność ta wynika z dwóch źródeł – „bezsily i niewiedzy”.

Prometeusz i Edyp

Między Prometeuszem (bezsila) i Edypem (niewiedza) oscyluje los człowieka. Prometeusz wie, że uczynił dobro, za co został ukarany, lecz nie ma siły, by zerwać łańcuchy, którym bogowie przykuli go do skały. Edyp jest królem i dysponuje armią, ale nie wie, że zabił ojca (mimo że zrobił wszystko, by uciec przed straszną przepowiednią), nie wie też, że szukając winowajcy, szuka samego siebie. Obaj są tragiczni, bowiem obaj są ludźmi czynu, którzy w najlepszej wierze czynią dobro. Prometeusz obdarowuje ludzi ogniem, Edyp ratuje Teby przed potworem broniącym dostępu do miasta.

Obaj herosi są czynnymi uczestnikami świata. Nie żywią do niego złości i nie pozwalają innym kierować sobą. Nie mówią: „świat jest zły”, nie twierdzą, że „zrobiono im krzywdę”, nie oczekują, że ktoś uratuje świat za nich. Próbuja. To wszystko, co może uczynić człowiek. Ale to wcale nie jest mało.

Nieustannie podejmując próby, człowiek pozwala innym istnieć obok sie-

bie w stanie wzajemności, może nawet wdzięczności niewykluczającej sporu, czyli niejako „poprzez siebie”. Dopełnimy: „To »poprzez« znaczy: możemy siebie obwiniać lub możemy sobie być wdzięczni” („Filozofia dramatu”). Wdzięczność zaś jest cnotą bezcenną, dzisiaj mocno zapomnianą, a nawet wstydliwą. Wszak wszystko zawdzięczam sobie, sukces jest dziełem tylko naszej partii, my najlepiej z wszystkich uporaliliśmy się z epidemią. Wszystko to przejawy niebezpiecznej niewdzięczności, która nie tylko podcina korzenie ludzkiej solidarności, ale tworzy zaczyn polityki odwetu.

Wdzięczność tworzy to, co Tischner zwał „miejscami obecności”. W takim miejscu „człowiek nie jest ani naszym współpracownikiem, ani przeciwnikiem, ani władcą czy poddanym, lecz tym, któremu najpierw i przede wszystkim po prostu »pozwalamy być«” („Filozofia dramatu”). Niewdzięczność, będąca jaskrawą formą zagospodarowywania świata wyłącznie we własnym imieniu, sprawia, że łatwo ulegamy pokusie posłużenia się przemocą. Raz dlatego, że przecież drugi staje przede mną jeśli nie jako wróg, to na pewno nie jako człowiek niosący dobro; dwa, że chęć pokonania owego przeciwnika prowadzi nie tylko

Ks. Józef Tischner w bibliotece klasztoru kamedułów na Bielanych. Kraków, 1996 r.

do zawłaszczenia jego i jego stanu posiadania, ale także do nieustannego zbrojenia i umacniania własnego terytorium. Teraz, jak głosi Tischner, dom nie jest już ani „miejscem obecności”, ani „wzajemności”; staje się „kryjówką” („Filozofia dramatu”).

To, co diagnozujemy dzisiaj jako stan zatrważającego braku zaufania, to nic innego, jak powrót czasów „ludzi z kryjówek” z ich trzema obowiązującymi zasadami: pożądlivosti, podejrzliwosci i odwetu. Pożądliwość to pragnienie wejścia w posiadanie innych ludzi, objęcia władzy nad ich myślami, a więc wrogięgo przechwycenia ich życia. Widział to Tischner w refleksji Hegla, który tak właśnie opisał nowoczesną władzę: „Dla Hegla istotna w pożądaniach jest władza. Pożądać cudzych pożądań to ustanawiać pewien typ władzy człowieka nad człowiekiem” („Spór...”). Podejrzliwość – i tu natknijmy się na opis bliski polskiej sytuacji Anno Domini 2020 – ma bowiem tę samą mechanikę co zarozumiałość. Powstaje wtedy, gdy wtłaczamy świat w jeden model i szybko ze strachem spostrzegamy, że nie rozumiemy wielu elementów, które do tego modelu nie pasują, a wówczas zaczynamy je uważać za wrogie.

Komentuje Tischner z wywołującą dreszcz zwięzłością: „Ten mechanizm podejrzliwosci, ten mechanizm zarozumiałości zaczyna funkcjonować w ten sposób, że budzi coraz więcej wrogów. Nagle to czyste serce odkrywa, że żyje w świecie wypełnionym wrogami” („Etyka a historia”). Kryzys nowoczesnej władzy, kryzys polskiej władzy i polityki to upadek „czystego serca” w ciemną dolinę nienawiści i wrogości. Wtedy przychodzi chęć odwetu, złość powszechna zmienia śmiech w prostacki rechot, a uśmiech w złośliwy grymas. Wszystko rozgrywa się pod znakiem krzywdy i polityka staje się chęcią wzięcia bez-myślnego odwetu. „Bez-myślnego”, gdyż – jak się rzekło – „człowiek z kryjówek” nie ma czasu na rozróżnienia; wszyscy są winni po to, aby on mógł manifestacyjnie celebrować swą niewinność.

W „Sporze...” znajduję zdania następujące: „Świadomość krzywdy splata się ze świadomością własnej niewinności” →

⇒ i świadomością ogólnego zła świata”, i nic dziwnego, że „odwet wyłania się z ogólnej »złości na świat« – złości, która »nie ma czasu« na ustalanie różnic”. A przecież nie o odwet w polityce chodzi. Tischner przestrzega niestrudzenie, że rzecz nie w krwawej zemście, „lecz w zaprowadzeniu rozumnego ładu wśród ludzi” („Etyka solidarności”).

Kim jest człowiek zasad

Aby ożywienie teraźniejszości mogło się dokonać w sposób odbiegający od zwykłej gry politycznych ambicji i matactw, niezbędne jest przywołanie roli zasad jako wyrazu znacznie głębszej postawy życiowej, wynikającej z ustrukturyzowania życia jako życia istoty dobrej. Z tej perspektywy „człowiekiem zasad” jest ten, kto stawia opór złu.

Czytamy w „Sporze...”: „Zasady są bowiem zasadami relacji międzyludzkich”, i dalej: „Zło radykalne jest odstępstwem od zasad”. Powie też Tischner, przypominając scholastyczną maksymę, że „dobro promieniuje samo z siebie” („Etyka a historia”). Ale owo „promieniowanie etyczne” ma także i drugi aspekt, właściwie „oświeceniowy” w charakterze: to obowiązek krytycznej refleksji nad własnymi działaniami, bowiem tylko tak będziemy w stanie, zapewne niedoskonałe, uzgodnić rozum z wolnością: „W naszym myśleniu o ethosie społecznym chodzi o wiele spraw. Jedną z nich, bodaj najważniejszą, jest: zrozumieć prawdziwy sens spełnianej właśnie czynności. Bo sens ten nie zawsze jest dostatecznie jasny. Wcale nie jesteśmy pewni, że zawsze robimy to, co wydaje się nam, że robimy” („Myślenie...”).

Oto kolejne zadania, jakie stawia nam Tischner: być człowiekiem zasad w świecie publicznym, w którym zasady łamane są konsekwentnie i, co więcej, łamanie to traktowane jest jako popis politycznej skuteczności, oraz badać własne działania, aby uniknąć „łatwej niewinności tych, którzy nie wiedząc, co czynią, są czyści jak łąka, nawet gdy dokonują zbrodni”.

A jednocześnie bycie człowiekiem zasad oznacza dzisiaj wyostrzoną czujność wobec agresywnych propozycji przyjęcia podsuwanych nam zasad jako jedynych i powszechnie obowiązujących.

Człowiek zasad jest dla Tischnera po prostu chrześcijaninem. Po części to wyznik zakorzenienia w tradycji. „Jeśli ktoś w tym kraju twierdzi, że nie jest zakorze-

KS. JÓZEF TISCHNER:

Pobożność
narzuca krytycyzm,
ponieważ wnosi
przeświadczenie,
że Bóg jest inny niż nasze
myślenie i mówienie o Bogu.

niony w chrześcijaństwie – nie zna samego siebie” („Polski kształt dialogu”). Przypominanie o chrześcijańskich początkach polskiej (a zapewne i europejskiej) kultury nie ma jednak nic z triumfalizmu doktryny. Gdy jest się człowiekiem zasad, ostrożnie i z najwyższą uwagą traktuje się owe zasady, by nie doszło do ich zinstrumentalizowania w służbie banalnych, a niekiedy śmiertelnie groźnych interesów politycznych. Chrześcijanin nie jest „wzorem”, a chrześcijaństwo nie proponuje jednej sztancy życia.

Tylko tak można wykonać inne zadanie wyznaczone przez Tischnera, tym razem w „Etyce solidarności”: „Trzeba pogłębić znaczenie pojęcia polityki”, bowiem „świadomość polityczna nie jest przywilejem niektórych, lecz jest istotną częścią ludzkiej samowiedzy, czyli społecznego bytu ludzkiego”. Tylko tak jednostka przestanie być przedmiotem wy kalkulowanej gry pożydlwości władzy; tylko tak potwierdzi swoje obywatelstwo. Nie paszportem, nie deklaracją partyjnej lojalności, ale rzetelną samowiedzą, której efektem będą odpowiednie decyzje podjęte wedle zasad. Chrześcijaństwo ma być w tym pomocne.

Stąd chrześcijaństwo jako projekt nie tyle teologiczno-dogmatyczny czy polityczny, lecz pedagogiczny. Jego istotą jest związanie zasady z wartością, z której zasada owa wynika, a zatem odwrót od tego, co Tischner już w 1966 r. nazwał „legalizmem wychowawczym”. Pisał wtedy: „Celem takiego wychowania jest ukształtowanie wychowanka w duchu bezkrytycznej lojalności dla autorytetu wychowawczego i wydawanych przez ten autorytet rozporządzeń”.

Tischner miał na myśli państwowe, świeckie programy wychowawcze lat 60., niemniej dzielą one winę z wszelkimi

schematami edukacyjnymi. Najkrócej można ją określić jako stępienie wrażliwości na substancję świata. Właśnie „substancja” nie jest tu obojętna: „Obraz substancji jest więc następujący: mamy rzecz, która składa się z wielu własności. Własności te są częściowo stałe, częściowo przemijające. Pod własnościami kryje się coś mocnego, coś trwałego, co owe własności podtrzymuje w istnieniu. I to coś mocnego i trwałego nazywa się substancją” („Etyka a historia”).

Jeżeli naszym zadaniem jest „pogłębić politykę”, musimy odnaleźć substancję, która stanowi podłoże dla politycznych decyzji, a to oznacza, że logika polityki musi zostać przekierowana z logiki zwycięstwa za wszelką cenę na logikę wspólnych (a więc nie wyłącznie partyjnych) wartości.

Szaletństwo w środku harmonii

Wróćmy do chrześcijaństwa i religijności. Chodzi w nich o pobożność, ale Tischnerowska pobożność jest „po-bożnością”, postawą wynikającą z uświadomienia sobie, że wszystko, co mówię o Bogu, jest tylko moją Jego wersją, a On sam usunął się na pustynię, gdzie nie sięga mowa. Przejmująco pisze Tischner o „zbiegłym Bogu” („W krainie schorowanej wyobraźni”). „Po-bożność” nie polega na mówieniu „po Bożemu”. „Po-bożny” to ten przychodzący „po Bogu”, gdy On uszedł moim wyobrażeniom.

W tym sensie „po-bożny” znaczy krytyczny: „Pobożność nie wyklucza krytycyzmu. Wręcz przeciwnie, dopiero »pobożność« narzuca krytycyzm, ponieważ wnosi przeświadczenie, że Bóg jest »inny« niż nasze myślenie i mówienie o Bogu. Nasze myślenie i mówienie o Bogu jest zawsze w jakiejś mierze błędne” („Spór...”). Dlatego „błędnie”, że mówiąc o Bogu, mówię o sobie. W innym miejscu filozof powie wprost, iż „*sacrum* musi być oceniane”. Dokonuje się proces jego oczyszczania, przywracania go religii, doświadczeniu duchowemu, a zasadą owego oczyszczania jest „miłość bliźniego”. Wtedy odsłania się *Sanctum*, to jest – „człowiek stworzony na obraz i podobieństwo Boga – człowiek głodny, chory, wygnaniec i więzień – potrzebujący pomocy drugiego człowieka” („W krainie...”).

Czy chrześcijaństwo jest więc klęską, a przeznaczeniem chrześcijanina „po-boż-

nego” ma być rozpacz wynikająca z „podchodzenia” Boga, do którego możemy się zbliżyć, lecz którego nie nazwiemy żadnym słowem? Poważmy się na sąd może nazbyt śmiały: chrześcijaństwo jest klęską, ale nie jest porażką.

Ta ostatnia oznajmia kres starań, które zakończyły się niepowodzeniem. W porażce okazuję się nieudacznikiem, który źle wyznaczył cele i któremu przeszkadzali inni. Jednocześnie w porażce jest coś z „bylejakości” płytkiej wiary pozwalającej mniemać, że następnym razem, gdy tylko się przyłożę, wszystko ułoży się po mojej myśli, bo przecież wszystko zależy ode mnie.

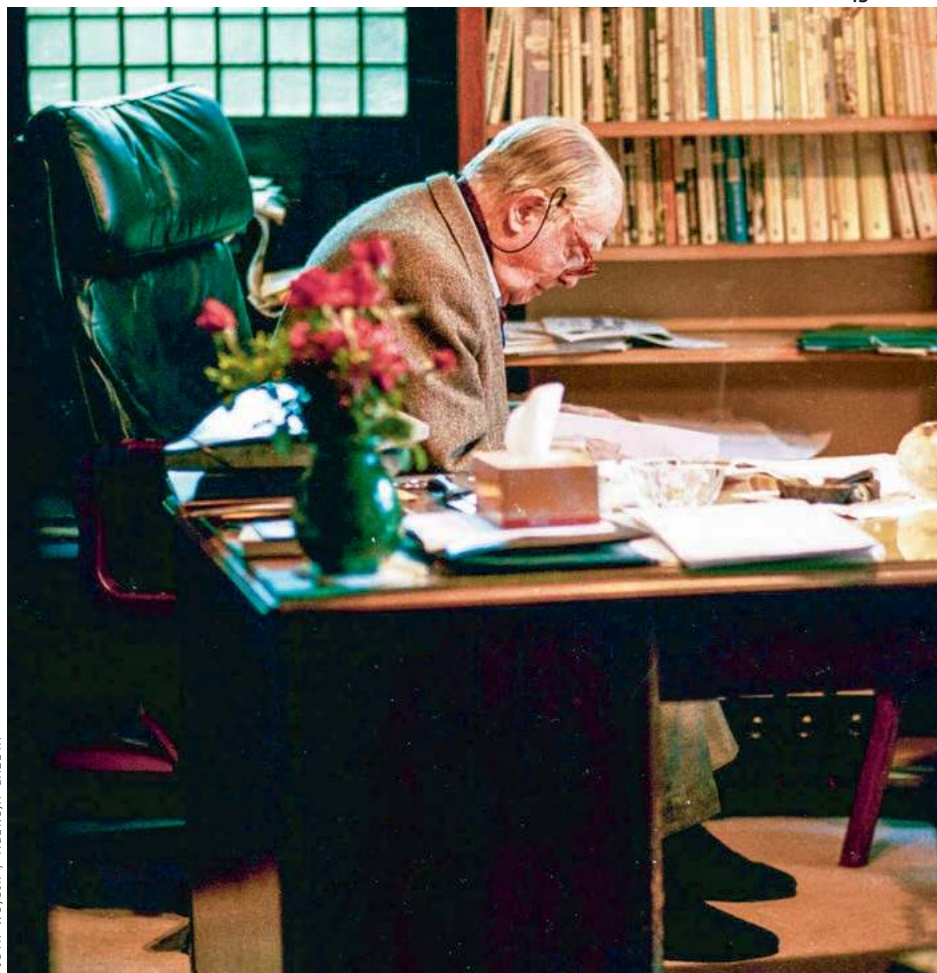
Kłęska uczy czegoś zupełnie innego: jest głębsza niż porażka, bo jest *t r a g i c z n a*. Mimo że włożyłem w coś wszystkie moje siły i umiejętności, pokonało mnie to, co jest silniejsze ode mnie. Wiele okoliczności leży poza moją kontrolą i nie ma żadnej gwarancji, że następnym razem wszystko się uda wedle planu.

O ile porażka chce się uczyć na błędach, by wszystko wróciło do „normy” i „równowagi”, klęska uczy, że równowaga na nic się nie zda i że trzeba znaleźć inną, bardziej wyczułoną na świat i innych „normę”.

Tutaj napotykamy źródło głębokiej nadziei, nadziei, by tak rzec – ponadnormalnej. Mocne są zdania Tischnera na ten temat: „Nadzieja jest sprzeczna z zasadą wewnętrznej równowagi, z ideą »złotego środka« (...). Nadzieja to szaleństwo w środku harmonii” („Spór...”). A w innej książce powie, że ta nadzieja, która jest nadzieją chrześcijańską, sprzeciwia się wszelkim gotowym formułom proponującym „przedwczesną syntezę”, czyli system rozstrzygnięć wszelkich rozterek i wątpliwości. W takiej sytuacji niczego się już nie próbuje (przecież wszystko już wiadomo), nie jest się też poddawany próbom (przecież należymy już do wybranych; nie próżno mówi się o „wypróbowanych” towarzyszach partyjnych).

Nadzieja chrześcijanina pomaga mu nieustannie próbować zmieniać świat, ale także rozumieć, że on sam jest nieprzerwanie poddawany jakiejś próbie. Światło nadziei rozprasza ciemności losu, ale ich nie likwiduje. Wszak „u źródeł nadziei rozpóściera się doznanie tragiczności”.

Ks. Józef Tischner zmarł 20 lat temu, 28 czerwca 2000 r. © TADEUSZ SŁAWEK



PIOTR WÓJCIK / AGENCIA GAZETA

Jerzy Giedroyc w gabinecie w Maisons-Laffitte, październik 1998 r.

Honor to jest honor

WOJCIECH BONOWICZ

Krótką, ale ciekawą współpracą nawiązana została w momencie trudnym dla obu. Giedroyc zmagał się z samotnością, młodszy o ćwierć wieku Tischner – z chorobą nowotworową.

NIE NATRAFIŁEM NA ŻADEN ŚLAD wskazujący, że kiedykolwiek spotkali się osobiście. W latach 80. ks. Józef Tischner jeździł do Paryża często, na ogół jako gość pracujących tam polskich pallotynów. Miał spotkania i rekolekcje w prowadzonych przez nich placówkach – w tym w sławnym Centrum Dialogu (Centre du Dialogue) przy rue de Surcouf – a dwie jego książki ukazały się nakładem pallotyńskiej oficyny. Zarówno *spiritus movens* tych dzieł, ks. Józef Sadzik, jak i kierujący

nimi po jego śmierci ks. Zenon Modzelewski mieli dobre kontakty ze środowiskiem „Kultury”. Sadzik miał tam wielu przyjaciół, Modzelewski zorganizował w grudniu 1988 r. potajemne spotkanie Jerzego Giedroycia z Lechem Wałęsą. To, że w kraju publicystykę „Kultury” odbierano jako antykościelną, nie przeszkadzało. „Na ulicy Surcouf księża pallotyni stworzyli coś niezwykłego: model polskiego Kościoła otwartego” – wspominał Adam Zagajewski.



⇒ Tischner twierdził, że nie ma talentu do poznawania sławnych ludzi, a swoje międzynarodowe znajomości zawdzięcza odwadze innych. Może dlatego nie wybrał się do „Lafitów”? „Wobec Giedroycia mógł czuć pewne onieśmienie, może nawet klasowe” – mówi jego bratanek Łukasz. W tamtych latach na łamach miesięcznika pojawił się tylko raz – w 1981 r. „Kultura” zamieściła jego tekst poświęcony opublikowanej przez Instytut Literacki książce Adama Michnika „Kościół, lewica, dialog”. Książka była wydarzeniem, w relacjach Kościoła i laickiej inteligencji zdawała się otwierać nowy rozdział. Tekst Tischnera był życzliwy, ale krytyczny, a nawet nieco kąśliwy, i doczekał się polemiki ze strony autora.

Michnik wspominał po latach – w rozmowie z Tischnerem i Jackiem Żakowskim – że zanim opublikował książkę, pojechał spotkać się z prymasem Wyszyńskim. Przed wyjazdem z Paryża Giedroyc wydał mu polecenie: „Proszę przekazać kardynałowi Wyszyńskiemu, że powinien odprawić mszę dla Ukraińców w obrządku greckokatolickim”. „Panie Jerzy, ja tego nie zrobię, bo nie mogę uczyć Prymasa, jak on ma msze odprawiać i dla kogo” – miał odpowiedzieć Michnik. Warto przypomnieć ten epizod, bo naczelny „Kultury” chętnie dawał tego typu „zlecenia”, nie tylko przyjaciółom. Podobne wiele lat później otrzyma również Tischner.

Pies i kot

Wiosną 1998 r. autor „Etyki solidarności” czuł się w miarę dobrze. Kilka miesięcy po operacji, w trakcie której wycięto mu część krtani, wracał do sił i dużo pisał. Właśnie wtedy, pod koniec maja, niespodziewanie dotarła do niego przesyłka z Maisons-Laffitte. W środku było francuskie wydanie powieści Normana Mailera „Ewangelia według Syna”, którą otaczała aura skandalu: pisarz narratorem uczynił samego Jezusa, próbującego zrozumieć, po co właściwie znalazł się między ludźmi. Z zachowanej w archiwum „Kultury” odpowiedzi Tischnera domyślamy się, że książkę towarzyszył list Giedroycia, który prosił o recenzję, ale też o drugi tekst – dotyczący historycznego procesu Jezusa. Tischner napisał, że recenzję chętnie „wysmaży”, ale w sprawie procesu czuje się dyletantem, i odesłał do ks. Michała Czajkowskiego.

Polityczne pieśczęty są dzisiaj największym zagrożeniem dla Kościoła – zauważał Tischner.

Dlaczego Giedroyc zdecydował się zaprosić Tischnera do współpracy? Czy ktoś podsunął mu ten pomysł? „Kultura” przeżywała trudny okres. Zainteresowanie miesięcznikiem spadało, niektóre pióra przeniosły się do kraju, a w 1996 r. odszedł z pisma Gustaw Herling-Grudziński. Giedroyc żartował gorzko, że pielgrzymują do niego tłumy jak do cadyka z Góry Kalwarii, ale tego, co publikuje w piśmie, nikt już nie czyta. Może uznał, że trzeba ożywić łamy, pisać więcej o religii i Kościele, które w Polsce były przedmiotem ożywionych sporów? Zdaniem Giedroycia, rozstrzygnięcia dotyczące Kościoła były kluczowe dla losów demokracji w kraju, a pośrednio – w całej Europie Środkowej, o którą martwił się coraz więcej.

„Gdy idzie o Mailera – pisał 29 maja Tischner – to jest on inspirujący. (...) Ktoś kiedyś powiedział: »kot powinien być wychowywany razem z psem, to poszerza horyzonty obydwu«. Mailer poszerza horyzonty”. Obszerna recenzja, którą wysłał już tydzień później, była w zasadzie esejem o tym, jak odczytywana bywa postać Jezusa w zależności od tego, z jakim przedrozumieniem się do niej podchodzi. „Kto oczekuje skandalu, tego spotka zawód. Skandalu nie ma i nie ma również jakiegos szczególnego zgorszenia” – pisał Tischner. Mailer, jego zdaniem, interpretował postać Jezusa wedle współczesnej „religii czułości”: Jezus w jego powieści to przede wszystkim „mistrz cierpienia”, który budzi współczucie i współczuciem obdarza. „Cóż więcej można zrobić dla ludzi tak czy owak skazanych na cierpienie? Nie można ich uratować, nie można im ulżyć, można im co najwyżej ofiarować czułość. Dotyczy to również Syna Bożego. Choć wiele mówił o miłości, to nie powinien oczekiwać od człowieka niczego więcej oprócz odrobiny czułości” – konkluduje Tischner.

Polityczne pieśczęty

Recenzja szybko idzie do druku, a nazwisko Tischnera pojawia się na okładce

„Kultury”. Dziękując redaktorowi, autor cytuje góralskie powiedzenie: „Honor to jest honor”. 22 lipca Giedroyc składa więc kolejne zamówienie, równie zaskakujące: prosi o tekst na temat wpływu internetu, multimedii i sieci komputerowych na sytuację Kościoła katolickiego. „Już w swoim czasie stwierdzano – pisze – że do osłabienia Kościoła przyczynił się nie tyle Luter, co upowszechnienie druku”. Tischner odpowiada szybko: „Przyjmuje wyzwanie w sprawie Kościoła, multimedii itp. Może temat przerobię nieco na swój sposób, ale w zasadzie będzie o tym, co ma być”.

Nowy artykuł ma już gotowy 6 sierpnia. Posyłając go, dołącza karteczkę z widokiem domu, który wraz z bratem wybudował w Łopusznej. „Gdyby losy zagnały na południe Polski, serdecznie zapraszam” – pisze na odwrocie. Artykuł nosi tytuł „Ewangelia – nadzieja czy wspomnienie?” (ostatecznie redakcja dwa mianowniki zamieniła na narzędniki). Jest przenikliwy, zwięzły, można by też cytować całe fragmenty. Mówi o wewnętrznych i zewnętrznych zagrożeniach wiary. Pierwsze rodzi sama wiara, zmuszona konfrontować się choćby z ogromnymi cierpieniami, jakie przyniósł wiek XX. „Człowiek woli odebrać Bogu istnienie, niż oskarżyć Go o zło tego świata” – pisze Tischner.

Zagrożenia zewnętrzne związane są m.in. z przemianami w dziedzinie mediów. Tischner zwraca uwagę, że w miejsce monopolu tworzą się w Polsce „zamknięte kręgi informacji”, które traktują ją jak pokarm: „przyswajają tylko tę, która im smakuje”. Ale nie tylko. Szczególnym problemem Polski staje się wyzysk religii do celów politycznych. „Kiedyś mówiło się: »gdyby nie było religii, należałoby ją stworzyć«, ponieważ religia pomaga utrzymać w ryzach dzikie społeczeństwo. W Polsce religia jest. Skoro jest, należy jej odpowiednio użyć”. Polski Kościół, podkreśla Tischner, przywykł do prześladowań, nie zdążył jednak „nawyknąć do politycznych pieśczęt, a dziś to one są jego największą groźbą”.

Giedroyc jest zadowolony. W liście z 17 sierpnia dziękuje za „świetny artykuł”, ale też za zaproszenie do Polski. „Żałuję, że nie mogę z niego skorzystać, ale mam bardzo duże trudności z chodzeniem, tak że nawet wyjazd do Paryża jest dla mnie problemem”.

Zdrowotny kataklizm

Dobrze zapowiadająca się współpraca komplikuje się późną jesienią 1998 r. Tischner zaczyna się czuć coraz gorzej, a badania potwierdzają obawy: rak powrócił. Giedroyc, o niczym nie wiedząc, 7 grudnia wysłał mu specjalny numer „Nouvel Observateur” poświęcony interpretacji postaci Jezusa w kontekście religii i kultury żydowskiej. Widać, że redaktor – oskarżany często o to, że interesuje go wyłącznie polityka – śledzi dyskusje inspirowane badaniami biblijnymi. Nie doczekawszy się odpowiedzi, 28 stycznia 1999 r. pisze ponownie. Tym razem list jest dłuższy, a jego ton z troską. Namawia Tischnera na artykuł o II Polskim Synodzie Plenarnym, „który wywołuje dużo zastrzeżeń”, dzieli się też obawami w związku ze zbliżającą się kolejną wizytą papieża w Polsce.

93-letni Giedroyc ma też dla Tischnera „zadanie”. Pisze o nim nie wprost: „Widziałem ostatnio prezydenta Litwy, p. Adamkusa, który był dosyć zgnębiony wiadomością, że jednak Papież nie od-

wiedzi Litwy, nawet na chwilę, na co bardzo liczył. Nie tylko on, zresztą, ale cała Litwa, przecież tak katolicka. A przecież Papież będzie w końcowym etapie swojej pielgrzymki bardzo blisko, bo [w] Wilnie. Czy Ksiądz Profesor nie sądzi, że jednak można by wpłynąć, by helikopterem był w Wilnie u Matki Boskiej Ostrobramskiej?”.

Jak widać, Giedroyc jest wierny swoim politycznym pryncypiom: zależy mu bardzo, żeby papież wsparł budujących własne państwo Litwinów. Przecenia jednak wpływy swojego nowego autora: nawet gdyby Tischner był zdrowy, z zadania wywiązać by się nie mógł. 8 lutego Tischner pisze list, w którym przeprasza za długie milczenie i informuje o przeprowadzonej w Londynie operacji, podczas której usunięto mu resztę krtani. „Wróciłem już do Krakowa, ale wciąż jeszcze dochodzę do siebie. Myślę, że za kilka tygodni wrócę do jakiejś takiej »normy«, a że nie będę marnował czasu na gadanie, będę mógł bardziej poświęcić się pisaniu”. W kwestii synodu radzi zamówić tekst u bp. Tadeusza Pieronka,

który „ma świadomość, że synod nie wypalił, wie dlaczego i nie boi się o tym mówić. Jeśli jego wypowiedź urazi innych biskupów, to nawet lepiej. Będzie okazja do polemiki”. List zamyka wyznaniem: „Bardzo sobie wysoko cenię możliwość współpracy z »Kulturą«. Mam nadzieję, że »kataklizmy« zdrowotne, jakie mnie dopadły, nie powrócą”.

Żaden artykuł więcej jednak nie powstał. Urywa się też korespondencja. Tischner umiera 28 czerwca 2000 r., a „Kultura” żegna go piórem Ewy Berberysz. Trzy miesiące później, 14 września, w Maisons-Laffitte odchodzi Jerzy Giedroyc. Na okładce październikowej „Kultury” pojawia się w czarnej ramce informacja: „Numer ostatni”. Zgodnie z wolą redaktora pismo przestaje się ukazywać.

© WOJCIECH BONOWICZ

Z korespondencją Jerzego Giedroycia i Józefa Tischnera zapoznałem się w archiwum „Kultury” w 2013 r., głównie dzięki pomocy Wojciecha Sikory. Pisząc niniejszy artykuł, korzystałem m.in. z monografii Magdaleny Grochowskiej „Jerzy Giedroyc”.

weź, prenumeruj!

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 660 692 101 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ*

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	370 zł	450 zł
Półroczna (26 numerów)	220 zł	270 zł
Kwartalna (13 numerów)	120 zł	140 zł
Pokolenia**	333 zł	
Karta Dużej Rodziny***	333 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	430 zł	510 zł
Pokolenia** + 4 wydania specjalne	393 zł	
Karta Dużej Rodziny*** + 4 wydania specjalne	393 zł	
4 wydania specjalne	69 zł	

* ważny od 1 grudnia 2019

** z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

*** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

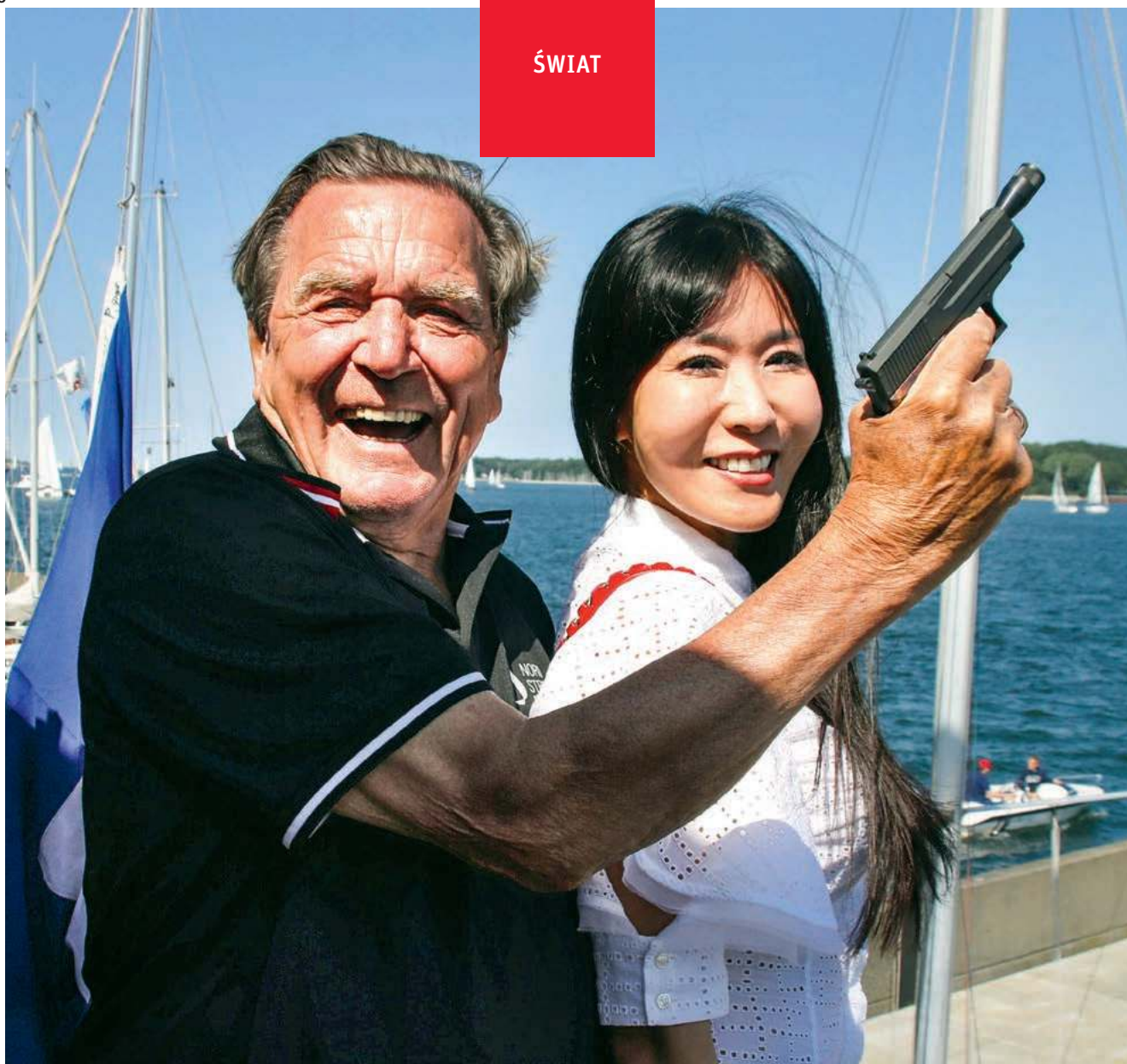
Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin



PARTNER MARKETINGOWY

SALES||manago
marketing automation





AFP / EAST NEWS

Były kanclerz Gerhard Schröder i jego żona Soyeon Schröder-Kim otwierają regaty na Morzu Bałtyckim. Kilonia, 23 czerwca 2019 r.

POKOLENIOWY SPÓR NIEMIECKIEJ LEWICY

Jako prorosyjski lobbysta Gerhard Schröder pozbawił się szansy
na miejsce w panteonie niemieckich mężów stanu.
Ale 76-letni dziś były kanclerz wciąż chce rozdawać karty.

ŁUKASZ GRAJEWSKI Z LIPSKA

SOCCJALDEMOKRATYCZNA PARTIA Niemiec (SPD) to nie jest po prostu jedno z wielu ugrupowań, które akurat teraz współrządzi w Niemczech razem z chadecją (CDU i CSU) jako jej mniejszy koalicjant. SPD to wielki polityczny statek z 420 tys. członków na pokładzie i długa historia, sięgająca drugiej połowy XIX w. Gdy po 1945 r. powstało demokratyczne państwo niemieckie, to socjaldemokraci i chadecy zdominowali jego scenę polityczną. Przez dekady obie formacje pracowały na miano *Volkspartei* – partii masowych, ogólnonarodowych, które potrafiły przekonać do siebie ogromną większość obywateli.

Tak było kiedyś. Bo ostatnia dekada to dla socjaldemokratów czas ciągłego kryzysu i spadających notowań (w czerwcowym sondażu dla telewizji RTL i NTV – 14 proc. poparcia). Każdy, kto ostatnio przejmie stery w SPD i obiecuje jej restart, szybko ogłasza porażkę. Niektórzy socjaldemokraci uważają, że partia zbyt pograżyła się w kompromisach, wynikających z roli partnera koalicyjnego Angeli Merkel. Do tej grupy należą Saskia Esken i Norbert Walter-Borjans, którzy funkcję przewodniczących SPD pełnią w duce od grudnia 2019 r. To lewicowcy z krwi i kości, przeciwnicy dalszych układank z chadecją.

Podczas gdy niektórzy obserwatorzy niemieckiej polityki wciąż usiłują zapamiętać nazwiska nowych liderów, wystarczył jeden internetowy podcast, aby media przypomniały sobie o Gerhardzie Schröderze. W czasie epidemii ten był kanclerz, który Niemcami rządził w latach 1998–2005, postanowił przypomnieć o sobie i swoich ambicjach, wtrącając się w życie własnego ugrupowania oraz Niemiec.

Agenda byłego kanclerza

W swoim pierwszym wystąpieniu – ma to być początek serii podcastów – Schröder demonstracyjnie unika oceniania nowych władz SPD (choć wcześniej znajdował dla nich tylko słowa krytyki). Chwali za to swego faworyta Olafa Scholza, który wprawdzie przegrał wyścig o przywództwo socjaldemokracji, ale dziś ma duże szanse, by w 2021 r. zostać kandydatem SPD na kanclerza. Scholz, który w rządzie Angeli Merkel jest ministrem finansów i wicekanclerzem, zdobywa dziś popularność – to on odgrywa kluczową rolę w uruchamianiu kolejnych programów mających łagodzić skutki epidemii.

To, kogo kokietuje Schröder, wciąż ma w SPD znaczenie. To on jako ostatni socjaldemokrata zasiadał w fotelu kanclerza, dwukrotnie wygrywając dla SPD wybory. Poza tym od śmierci Helmuta Kohla w 2017 r. pozostaje on też jedynym żyjącym byłym kanclerzem. I w przeciwieństwie do targanej sporami SPD, Schröder wydaje się być w doskonałej formie. O takie wrażenie dba Soyeon Schröder-Kim, jego piąta już żona, którą poślubił w 2018 r. Pochodząca z Korei Południowej 52-latką publikuje na Instagramie zdjęcia uśmiechniętego męża, jak gotuje posiłek lub przynosi własnoręcznie zerwane kwiaty. Obraz domowej idylli dopełniają doniesienia prasy bulwarowej o lekcjach golfa, których Schröderowi udziela nowa małżonka.

Opublikowany pod koniec maja podcast wyraźnie pokazuje, że mimo swoich 76 lat Schröder nie zamierza udawać się na polityczną emeryturę. Już sama nazwa zapowiadanej serii („Agenda”) sugeruje, że chodzi tutaj o sprawy najważniejsze, dla kraju i dla świata.

Lewicowiec czy neoliberal

Wewnątrz SPD linia podziału w ocenie byłego kanclerza przebiega dziś między starszymi a młodszymi członkami tej partii.

Thorsten Klute, regionalny polityk SPD z Nadrenii Północnej-Westfalii, rocznik 1974, do SPD wstąpił już w wieku 16 lat. W rozmowie z „Tygodnikiem” wspomina rok 1998, gdy podczas kampanii wyborczej Schröder był kandydatem na kanclerza. – Byliśmy nim zafascynowani. On miał pomysł, jak po letargicznym okresie 16 lat rządów Kohla znów przyciągnąć wyborców do SPD. Wypracował wspaniały wynik – podkreśla Klute.

Starsi i zaprawieni w bojach działacze partyjni z nostalgią, młodsi zaś z niedowierzaniem wspominają dziś te niemal 41 proc. głosów, które Schröder wywalczył dla SPD w wyborach do Bundestagu w 1998 r. oraz prawie 39 proc., zdobyte w kolejnym głosowaniu cztery lata później.

Schröder budował wizerunek SPD wokół idei „nowego centrum”: programu wychodzącego poza tradycyjne postulaty socjalistów (te skierowane do uboższych i robotniczych grup wyborców), a teraz otwartego na przedsiębiorców i przemysł. Koncept ten, nazywany również „trzecią drogą”, na przełomie stuleci XX i XXI

próbowali realizować także Bill Clinton w USA czy Tony Blair w Wielkiej Brytanii. Po erze konserwatywnych rządów Kohla, niemieccy socjaldemokraci mogli – przy koalicyjnym wsparciu Zielonych – wprowadzić wiele świeżych akcentów, np. bardziej przychylną politykę wobec migrantów lub przygotowywać transformację energetyki w stronę odnawialnych źródeł energii.

Jednak najbardziej dyskutowanym do dziś elementem rządów Schrödera pozostaje pakiet reform rynku pracy i systemu socjalnego pod nazwą „Agenda 2010”, który miał przywrócić dynamikę w kraju cierpiącym na coraz większą gospodarczą zadyszkę i rosnące bezrobocie. SPD wprowadziła wówczas rozwiązania, które dziś sami jej członkowie często nazywają „neoliberalnymi”. „Agenda 2010” podwyższyła wiek emerytalny, zmniejszyła świadczenia socjalne i wprowadziła większą elastyczność na rynku pracy.

Reformy Schrödera i ich skutki do dziś są więc tematem sporu w SPD. Thorsten Klute uważa, że z jednej strony ówczesne decyzje były potrzebne, aby przede wszystkim zmniejszyć bezrobocie, ale z drugiej strony pogłębiły nierówności społeczne. – Jednak teraz mamy inne czasy i inne problemy, a SPD udało się w polityce społecznej dokonać niezbędnych korekt – przekonuje.

Jusos wracają do korzeni

Bardziej krytycznie na rządy Schrödera patrzą młodzi socjaldemokraci, zrzeszeni w partyjnej młodzieżówce. Jusos, jak ich się w skrócie nazywa, to 80 tys. członków i konkretny wpływ na program partii. Od czasu historycznego „skrętu na lewo” w 1969 r., Jusos uważani są nie tyle za klasyczną młodzieżówkę, co za jedno ze skrzydeł partii – to najbardziej wysunięte na lewo.

Laura Loew, studentka historii na Uniwersytecie w Lipsku i członkini Jusos, zwraca w rozmowie z „Tygodnikiem” uwagę na postanowienia ostatniego zjazdu SPD, który odbył się w 2019 r. Większość delegatów przegłosowała wtedy uchwałę mówiącą o tym, że partia będzie chciała odejść od tzw. Hartz IV – najbardziej zniechęconej przez lewicowe skrzydło części „Agendy 2010”, czyli zasiłku dla bezrobotnych, który w ocenie krytyków jest za niski i narzuca bezrobotnemu zbyt wiele represyjnych wymagań. – Ta decyzja zjazdu oznaczała zerwanie →

→ z tradycją Schrödera. Jusos długo na to naciskali – mówi Laura Loew.

Gdy Schröder wprowadzał swoje reformy, 20-letnia dziś Laura była w przedszkolu. Do partii wstąpiła w 2017 r., w reakcji na wygranie przez Trumpa wyborów w USA. Scheda Schrödera to dla niej kurs, z którego partia, ten „stary wielki statek” (również ona tak o niej mówi), teraz stopniowo schodzi. Laura tłumaczy, że prócz obiektywnych zalet – zmniejszenia bezrobocia i poprawienia gospodarczej pozycji Niemiec – „Agenda 2010” wprowadziła prekariat i umowy śmieciowe oraz zmniejszyła poczucie bezpieczeństwa socjalnego.

Z fotela kanclerza na stołek Gazpromu

Jednak emocje wokół Schrödera rozgrzewa nie tylko spór o jego reformy, lecz także decyzje, które podjął po roku 2005 – już po tym, gdy musiał oddać fotel kanclerza Angeli Merkel. Zamiast wpływać na losy kraju z ław opozycji, Schröder zasiadł w radzie nadzorczej spółki Nord Stream, kontrolowanej przez rosyjski Gazprom i mającej budować gazociąg po dnie Bałtyku. O to, aby taki gazociąg łączący Rosję i Niemcy mógł powstać, zadbał uprzednio jeszcze jako kanclerz, podpisując wszelkie niezbędne umowy. Odtąd Schröderowi towarzyszy drugi (obok „neoliberalą”) wizerunek: przyjaciela Władimira Putina i przedstawiciela rosyjskich interesów w Niemczech i Europie.

W ocenie tego postępowania byłego kanclerza Laura Loew i Thorsten Klute są zgodni.

– Fatalna decyzja. Obecnie w ogóle nie mogę sobie czegoś takiego wyobrazić – mówi Loew.

– Jego zaangażowanie na rzecz rosyjskich spółek również z dzisiejszej perspektywy należy ocenić jako konflikt interesów. Trudno mi to zrozumieć – uważa Klute.

W sferze publicznej w Europie Środkowej lobbystyczna działalność Schrödera często rozciągana jest na całą SPD, a nawet na rząd Niemiec, który w sprawie gazociągu bałtyckiego stara się dogadać z Rosją ponad głowami sąsiadów. I o to pewnie chodziło Putinowi, gdy pozyskiwał dla swych usług byłego przywódcę największego kraju Unii.

Laura Loew podczas naszego spotkania pokazuje na smartfonie uchwały przyjęte na ostatnim zjeździe Jusos.

Wielu starszych polityków SPD zamyka oczy na zamordyzm i korupcję, dwa filary utrzymujące Putina u władzy.

W tym zapis dotyczący Ukrainy: „niezbędny jest powrót Krymu w skład Ukrainy i wycofanie wszystkich rosyjskich wojsk i grup paramilitarnych ze wschodniej Ukrainy. Dla nas nienaruszalność suwerenności państwa nie podlega negocjacji i stanowi wyraźną czerwoną linię socjaldemokratycznej polityki zagranicznej”. W dokumencie mowa jest też o budowie bezpieczeństwa energetycznego Unii, które pozwoli na niezależność od rosyjskich surowców; znajdziemy tu także krytyczne uwagi wobec Nord Stream i Putina.

Brzmi to zgoła inaczej niż słowa Schrödera o rzekomo tradycyjnie rosyjskim Krymie czy jego obelgi wobec ukraińskiego ambasadora w Berlinie Andrija Melnyka; w swoim niedawnym podkaszcie Schröder nazwał go „karłem, którego zdanie nikogo nie interesuje”.

Thorsten Klute zwraca uwagę, że akces do rosyjskich firm wydobywających i eksportujących nieekologiczne surowce, jak gaz i ropa, jest sprzeczny z dobrokiem rządu Schrödera. – Jego gabinet prowadził postępową politykę energetyczną, stawiał na farmy wiatrowe, fotowoltaikę, biomasę i proponował odejście od atomu. Ubolewam, że podjął pracę dla Gazpromu. Ale to nie przekreśla tych działań z czasu jego kanclerstwa – mówi Klute.

Wzór, ale nie dla młodych

Z jego własnych wypowiedzi można sądzić, że wybielając Putina i rozwijając niemiecko-rosyjskie projekty, Schröder działał w zgodzie ze swymi przekonaniami. W ostatnim wtorkowym wydaniu podkastu wspomina pierwszą podróż do Związku Sowieckiego. „Pojechałem w latach 70. XX w. na zaproszenie Komsołmu, który utrzymywał oficjalne relacje z Jusos” – opowiada słuchaczom. „Należę do jednych z tych, którzy uważają, że po II wojnie światowej my, Niemcy, wciąż

mamy historyczny dług wobec Rosji do spłacenia” – mówił niedawno w wywiadzie dla magazynu „Der Spiegel”.

Takie myślenie, nacechowane podziwem i wdzięcznością – nie tylko u Schrödera, lecz także u wielu starszych polityków SPD – prowadzi do romantyzowania Rosji i zamykania oczu na zamordyzm i korupcję, dwa główne filary utrzymujące Putina u władzy.

Osobiste przekonania to jednak nie wszystko. Bo przy kwotach, które zarabia w rosyjskich spółkach, nie sposób nie wspomnieć o słabości do blichtru i bogactwa, które zauważano już wtedy, gdy był kanclerzem. Schröder otrzymuje 250 tys. dolarów rocznie z racji zasiadania w radach Nord Stream I i II, a także 600 tys. dolarów jako przewodniczący rady dyrektorów Rosnieftu (jest nim od 2017 r.). Przy tych sumach jego kanclerska emerytura (8,7 tys. euro miesięcznie) może sprawiać wrażenie kieszonkowego na drobne wydatki.

– Nie jest dla mnie ważne, czy polityk jest biedny, czy bogaty. Ważne, czy jest w stanie zwalczyć ubóstwo – tak Thorsten Klute komentuje rosyjskie zarobki Schrödera. – Możliwość awansu społecznego to główna obietnica SPD: że awans będzie możliwy bez względu na to, czy twoi rodzice byli biedni lub bogaci. Schröder z jego biografią jest tego przykładem – dodaje Klute (sam Schröder lubi podkreślać, że pochodzi z biednej wielodzietnej rodziny, a na szczyty wybił się dzięki ciężkiej pracy).

Laura Loew nie ma dla byłego kanclerza tak dużo zrozumienia. Schröder wzbudza w niej jedynie negatywne skojarzenia. – Sprawy kobiece i społeczne to były dla niego nieistotne „pierdoły”, sam je tak określał. Jego przyjacielem jest dziś Putin. Dla mnie Schröder to osoba, którą trudno mi w ogóle kojarzyć z socjaldemokracją – kwituje działaczka Jusos.

A czy ma dla niej znaczenie, że za rządów Schrödera SPD cieszyła się 40-procentowym poparciem i była u władzy, a dziś, gdy deklaruje powrót do lewicowych korzeni, może liczyć na kilkanaście procent?

– Trudno w tak bardzo zdywersyfikowanym społeczeństwie wciąż próbować reprezentować większość – odpowiada Laura. – A Schröder krytykuje nowe władze SPD, bo jest sfrustrowany, że nie robią tego, czego on chce.

© ŁUKASZ GRAJEWSKI



Demontaż zabezpieczeń, które przez kilka dni chroniły przed demonstrantami pomnik Winstona Churchilla w londyńskiej dzielnicy rządowej Westminster. 17 czerwca 2020 r.

Wielki przegląd pomników

PATRYCJA BUKALSKA

Na fali antyrasistowskich protestów w Wielkiej Brytanii powróciła debata o kolonialnej przeszłości i jej skutkach, trwających do dziś.

W BRYTYJSKICH MIASTACH WCIĄŻ JEST sporo kontrowersyjnych pomników. Ten w Bristolu, Edwarda Colstona, XVII-wiecznego handlarza niewolników i filantropa w jednym, już usunięto: demonstrujący tłum obalił monument i zepchnął do rzeki. Wkrótce potem z londyńskich doków zabrano (tutaj zgodnie z prawem) pomnik Roberta Milligana, też handlarza niewolników. O zamiarze usunięcia „swojej” figury Cecila Rhode-

sa, uważanego za twórcę polityki apartheidu w Afryce Południowej, poinformował niedawno Oriel College, jedno z kolegów Uniwersytetu w Oxfordzie (akcja wzywająca do usunięcia Rhodesa trwa tam od lat).

Przegląd pomników w Londynie zapowiedział burmistrz Sadiq Khan. A obawiając się nadgorliwych, kazał na kilka dni otoczyć metalową osłoną monument Winstona Churchilla i kilka in-

nych, w tym Pomnik Nieznanego Żołnierza. Wcześniej podczas demonstracji na pomniku Churchilla namalowano napis: „Był rasistą”. Premier Boris Johnson, który Churchilla podziwia, zareagował na ten akt wandalizmu oburzeniem. Przypomnił, że premier uratował kraj przed faszyzmem. Przyznał, że Churchill „czasem wyrażał opinie, które były i są nie do zaakceptowania”, ale podkreślił, że „był on bohaterem i w pełni zasługuje na pomnik”.

Jednak obecny ferment w Wielkiej Brytanii wykracza poza spór o sposób upamiętniania postaci historycznych: w „pomnikowej” dyskusji odbijają się współczesne problemy Wielkiej Brytanii. Czy gdyby było inaczej, na ulice wychodziłyby tysiące ludzi? „Jako przywódca, jako członek rządu nie mogę ignorować siły tych uczuć” – mówił Johnson, odnosząc się do pokojowych marszy, ale już nie do dewastacji pomników i ataków na policję. Stąd decyzja o powołaniu rządowej komisji, która zajmie się problemem nierówności etnicznych i rasowych.

O tym, że problem istnieje, świadczy choćby fakt, iż Brytyjczycy ze społeczności BAME (to skrót od *Black, Asian and Minority Ethnic*, tj. społeczności czarnej, azjatyckiej i mniejszości etnicznych) zostali bardziej niż biała część populacji dotknięci przez epidemię COVID-19.

Handlarz i filantrop

Problem z komisjami polega na tym, że zbyt często prowadzą one do „rekomendacji”, a zbyt rzadko do faktycznych zmian. Dotyczy to także pomnika Colstona w Bristolu, o którym dyskutowano od lat. Teraz oburzenie budzi raczej radykalny sposób rozwiązywania tej kwestii, a nie samo jego usunięcie. Bo Edward Colston nie ma dziś zbyt wielu obrońców.

Był on postacią typową dla swej epoki. Znany handlarz niewolników, należał do Królewskiej Kompanii Afrykańskiej, która odpowiadała za wywiezienie z Afryki do Ameryki 80 tys. mężczyzn, kobiet i dzieci. Dorobił się na tym wielkiego majątku, który przed śmiercią w 1721 r. przekazał na cele charytatywne. To za zasługi dla rozwoju Bristolu postawiono mu pod koniec XIX w. ponad 5-metrowy monument. Jego imieniem nazwano też szkoły i ulice.

Dziś jego pomnik okazał się nie do utrzymania. „Być może Colston nawet →

⇒ i pomógł większej liczbie ludzi, niż skrzywdził. Ale potomkowie tych, których skrzywdził, mówią, że to jest nie do zaakceptowania. Nawet jeśli są w mniejszości, trzeba coś z tym zrobić – mówił bristolski poeta Miles Chambers. – W tym mieście nadal widać skutki niewolnictwa, ciągle są tu pieniądze pochodzące z handlu ludźmi i nie możemy tego ignorować”.

Chambers mówi o tym od dawna. Ostatnie wydarzenia były więc gwałtownym końcem sprzeciwu narastającego od lat.

Na czym wyrosło Glasgow

Również Graham Campbell, radny Glasgow (największego miasta Szkocji) i członek Szkockiej Partii Narodowej (SNP), zabiega od lat o rozliczenie z kolonialną przeszłością. Ten czarnoskóry rastafarianin dorastał w Londynie, a w Szkocji osiadł na stałe 18 lat temu. Spodobało mu się, że mieszkańcy Glasgow, podobnie jak on sam, nie milczą, gdy widzą niesprawiedliwość. Campbell nie milczy więc o tym, jak bardzo Glasgow zyskało w przeszłości na handlu niewolnikami.

– Przed rokiem 1750 Szkocja była ubogim krajem. Potem, pod koniec wieku XVIII i na początku XIX, szkockie inwestycje oparte na niewolnictwie szybko zmieniły infrastrukturę Glasgow. Korzyści z handlu niewolnikami i pracy niewolniczej uczyniły z tego miasta drugie, po Londynie, centrum finansowe Brytyjskiego Imperium – przyznaje w rozmowie z „Tygodnikiem” dr Peggy Brunache z Uniwersytetu w Glasgow, która zajmuje się historią niewolnictwa. – Właściciele i handlarze niewolników nie byli jedynymi, którzy na tym korzystali – podkreśla.

„Każdy, kto sprzedawał tytoń, cukier, bawełnę, siedział w niewolnictwie po uszy” – mówił Campbell w programie BBC Scotland kilka miesięcy temu. Jedną z dzielnic Glasgow nazywa się Merchant City, Miasto Kupców. Nazwiskami dawnych kupców nazwano ulice. Jest tu także Jamaica Street.

Campbell uważa, że o związkach z niewolnictwem nie mówi się, bo przedsiębiorcy mieszkańcy Glasgow byli zaangażowani raczej w handel towarami niż bezpośrednio w handel ludźmi. Nie musieli oglądać niewolników na plantacjach. Jednak każdy budzący dziś podziw zabytkowy budynek w mieście po-

Uniwersytet w Glasgow, który korzystał pośrednio z pracy karaibskich niewolników, postanowił dziś **spłacić choćby część długu, wspierając ich potomków** np. przez stypendia naukowe.

wstał w gruncie rzeczy dzięki niewolniczej pracy.

Zresztą w całej Szkocji są Jamaica Streets. Nie bez powodu: na początku XIX w. jedna trzecia białych właścicieli plantacji na Jamajce była Szkotami.

Rekompensaty kiedyś i dziś

Campbell nie jest zwolennikiem zmieniania nazw ulic czy budynków. Chciałby natomiast, aby dodano informacje, skąd pochodziły pieniądze ich patronów.

Usuwanie pomników handlarzy niewolników skrytykował też znany szkocki historyk sir Tom Devine. Uznał to za „gest w znacznym stopniu bez znaczenia, który może sprawić, że przez chwilę ludzie poczują się lepiej”, ale który w małym stopniu przyczyni się do rozwiązania realnego problemu uprzedzeń rasowych w Szkocji i całym Zjednoczonym Królestwie. Podobnie jak Brunache, Devine podkreśla, że na niewolnictwie skorzystało całe szkockie społeczeństwo. Nawet rybacy, bo eksportowaną suszoną rybą karmiono niewolników. Koncentrowanie się na handlarzach sprawia, że umyka ten całościowy obraz.

Co można zatem zrobić, by rozliczyć się z przeszłością, i to nie tylko symbolicznie?

W 2018 r. Uniwersytet w Glasgow opublikował raport, w którym stwierdzono, że uczelnia odnosiła korzyści z pracy niewolników – pośrednio, przez wsparcie finansowe ze strony tych, którzy dorobili się na niewolnictwie. Wartość tych korzyści oceniono na 200 mln funtów. Uczelnia postanowiła spłacić choćby część długu, wspierając potomków niewolników na Karaibach. Nie bezpośrednimi rekompensatami, lecz przez stypendia naukowe, projekty badawcze i programy wymiany naukowej.

Peggy Brunache przypomina, że kiedyś wypłacono już rekompensaty. Jednak nie niewolnikom, lecz ich właścicielom. Po tym, jak w 1838 r. zniesiono niewolnictwo: – Brytyjski rząd wypłacił około miliarda dzisiejszych funtów właścicielom plantacji i powiązanim z nimi przedsiębiorcom za utratę zysków. Była to tak duża suma, że państwo zaciągnęło dług, który brytyjscy podatnicy skończyli spłacać dopiero w 2015 r. O tym się nie mówi, ale tyle jest szumu i gniewu w związku z obalaniem pomników.

Odzyskać opowieść

– To, czego jesteśmy świadkami, mogłoby być punktem zwrotnym w dyskusji o kolonialnej przeszłości. Takie propozycje jak tablice pamiątkowe czy muzeum niewolnictwa są dobrym punktem wyjścia. Ale żeby pozbyć się rasizmu, trzeba czegoś więcej – mówi „Tygodnikowi” Mara Menzies, artystka o szkocko-kenijskich korzeniach.

– Potrzeba większego nacisku na edukację, na media. Trzeba też, by ludzie o innym kolorze skóry przejęli kontrolę nad narracją o sobie samych – uważa Menzies. – Szkocja musi zmienić opowieść o czarnej społeczności. Teraz jest ona zakorzeniona w niewolnictwie. To powinno się zmienić tak, aby czarnoskórzy byli postrzegani po prostu jako ludzie ze swoją historią, swoimi marzeniami, jak wszyscy inni.

Menzies miała 13 lat, gdy trafiła z Kenii do Szkocji. Córką Szkota i Kenijki, jest świadoma swego podwójnego dziedzictwa i to samo chciała zapewnić córce. Nie mogąc znaleźć w Edynburgu odpowiednich dla niej książeczek, opowiadających o afrykańskiej kulturze i tradycji, napisała własną. Tak zaczęła się jej kariera jako autorki i performerki.

Teraz w spektaklu „Blood and Gold” (Krew i złoto) Menzies podejmuje temat kolonialnej przeszłości w formie opowieści o dawnym micie. Tłumaczy: – Wierzę w siłę opowiadania, jedna opowieść może dotknąć ludzi na wiele sposobów. Projekt powstał w ubiegłym roku. Ponieważ temat jest bolesny, chciałam do tego podejść w taki sposób, by ludzie zaczęli się nad tym zastanawiać, ale bez poczucia, że ich o coś oskarżam. Gniew może wywołać zmianę, ale łagodniejsze podejście też ma wielką siłę i może doprowadzić do dyskusji oraz zrozumienia tego, co było. Wtedy może dojść do prawdziwej zmiany.

Obrońca i prześladowca

W Szkocji numerem jeden do usunięcia jest pomnik Henry'ego Dundasa w Edynburgu. – Przyczynił się do rozwoju szkockiego społeczeństwa, ale też opóźnił zniesienie niewolnictwa o 14 lat. Jego hipokryzja jest odbiciem współczesnej hipokryzji – uważa Mara Menzies.

Dundas był jednym z prawników reprezentujących czarnoskórego Josepha Knighta podczas głośnego procesu w 1777 r. Knight został kupiony na Karaibach przez Johna Wedderburna, ale nie trafił na plantację. Właściciel pozwolił mu zdobyć wykształcenie i zabrał ze sobą do Szkocji. Tu Knight zakochał się z wzajemnością w Annie Thompson, dziewczynie z Dundee. Postanowili wziąć ślub, mając wsparcie Wedderburna. Wtedy jednak Knight usłyszał o wyroku, który w 1772 r. zapadł w Anglii i stwierdzał, że niewolnictwo nie jest częścią angielskiego systemu prawnego, nie może więc mieć miejsca poza koloniami. Postanowił wystawić swego właściciela i prawo na próbę. Najpierw zażądał pensji, a gdy Wedderburn odmówił, sprawa trafiła do sądu. Po wielu zwrotach akcji Knight postawił na swoim: został uznany za wolnego. Ożenił się z Anną. I choć potem słuch o nich zaginął, to pozostał precedensowy wyrok, zasługa Dundasa. Jednak choć stanął on po stronie Knighta, to tej samej sprawiedliwości odmawiał niewolnikom na swoich ziemiach za oceanem.

– Myślę, że historia Dundasa dużo mówi o takich ludziach, którzy dziś mogą publicznie wyrażać poparcie dla ruchu „Black Lives Matter”, ale nadal mają wątpliwości, czy czarnoskórzy mogą osiągnąć to samo co biali. W naszej obecnej debacie tego problemu nawet jeszcze nie dotknęliśmy – uważa Mara Menzies.

– Jeśli mamy wyciągnąć wnioski z protestów w Wielkiej Brytanii, związanych z upamiętnieniem handlarzy niewolników, powinna to być świadomość, że ta historia jest nie tylko przeszłością, lecz także teraźniejszością – mówi Peggy Brunache. – Nic się nie zmieni, jeśli tylko usuniemy pomniki, ale nie powiążemy z historią niewolnictwa współczesnych strukturalnych nierówności rasowych, płciowych czy etnicznych. © PATRYCJA BUKALSKA



LUCY NICHOLSON / REUTERS / FORUM

Oddział intensywnej terapii w Scripps Mercy Hospital w kalifornijskim mieście Chula Vista, 12 maja 2020 r.

Jedna maska na dwa tygodnie

MARTA ZDZIEBORSKA Z SAN DIEGO (USA)

SARS-CoV-2 może zniszczyć cały organizm: płuca, serce, mózg, jelita, nerki. Elidona, Sikander i Liz są przyzwyczajeni do widoku śmierci. Ale nie takiej.

ELIDONA MIRASHI NAUCZYŁA SIĘ ZOSTAWIAĆ smutek w samochodzie. Po dyżurze w szpitalu zostawia tam również zapakowany w plastikową torbę kombinezon ochronny, przyłbicę, dwie pary masek i dwie pary rękawiczek.

Wieczorem nie może sobie pozwolić na słabość, bo jej dzieci potrzebują mamy. Trzyletnia Klearta i dziewięciomiesięczny Dionis już i tak przyzwyczaili się, że po powrocie ze szpitala Elidona biegnie najpierw pod prysznic. Klearta wie, że mama jest „brudna”, bo jest lekarką i pomaga ludziom, którym dzieje się „bubu”. Rozumie to, bo jej też dzieje się „bubu”, gdy uderzy się w kolano w trakcie zabawy.

Najmniej rozumie maleńki Dionis. Pewnie tylko tyle, że nagle mama przestała karmić go piersią i opiekuje się nim tylko tata. Na początku dużo płakał. Elidona próbowała go uspokajać przez tele-

fon, ale na ostrym dyżurze zwykle nie ma na to czasu.

Pacjent już nie żył

Był koniec marca. Do nowojorskich szpitali w ciągu doby trafiało półtora tysiąca chorych z koronawirusem. 31-letnia Elidona, przyszła rezydentka w Brookdale Hospital Medical Center na Brooklynie (w lipcu miała zacząć specjalizację z chorób wewnętrznych), dostała maila z informacją, że przeciążona placówka szuka wolontariuszy.

Najpierw porozmawiała z mężem. Wiedzieli, że jeśli pójdzie do szpitala, on zostanie z dziećmi. Jako programista musi pracować na pełnych obrotach, bo to dla nich jedyne źródło utrzymania. A co, jeśli ona złapie wirusa i zarazi rodzinę? Po długich dyskusjach doszli do wniosku, że nie są w grupie ryzyka, i że Elidona może pomóc w szpitalu. ➔

→ Do omówienia pozostało jeszcze jedno: co z pokarmem dla Dionisa? Najlepiej, gdyby Elidona odciągała mleko. Ale szybko okazało się, że w szpitalnych warunkach to nie-realne. Kombinezon ochronny można było otworzyć raz dziennie, podczas krótkiej przerwy na obiad. Gdy była sama, ukradkiem wycierała mleko wyciekające z bolących, nabrzmiałych piersi.

Elidona nie miała czasu myśleć o swoim bólu. Już pierwszego dnia dostała pulsoksymetr: miała badać poziom natlenienia krwi pacjentów. Zależnie od wyniku, mieli zakładany cewnik do podawania tlenu (kaniulę nosową), maskę tlenową lub byli podłączani do urządzenia służącego do tzw. nieinwazyjnej wentylacji płuc BiPAP. Ci w najgorszym stanie trafiali na intensywną terapię, gdzie byli podłączani do respiratora.

– To było jak pole bitwy – wspomina Elidona. – Nie miałam standardowego szkolenia, jakie przechodzą rezydenci pierwszego roku. Po prostu dostałam listę 50 pacjentów, których miałam przebadać. Na ostrym dyżurze, gdzie normalnie mieści się 50 łóżek, upchnięto 180 ludzi. Samo odnalezienie tych z listy zajmowało sporo czasu. Zdarzało się, że gdy doszłam do kolejnego łóżka, pacjent już nie żył. Musiałam go wykreślić z listy i powiadomić zespół.

Jak się czuje mama?

Elidona szybko nauczyła się, że w czasie epidemii nie zawsze i nie wszystko można zrobić idealnie. Gdy personel był przeciążony, zmarli pacjenci leżeli na oddziale nawet przez dwie godziny. Stale brakowało pielęgniarek i zdarzało się, że chorzy nie dostawali jedzenia na czas. Nie było też czasu, by bliżej poznać pacjentów. Dla Elidony byli oni prawie anonimowi. – Najtrudniejsze były dla mnie rozmowy z rodzinami – wspomina. – Było mi wstyd, gdy ktoś pytał, jak się czuje jego matka, a ja nie wiedziałam, co powiedzieć. To znaczy, znałam jej stan zdrowia, ale nie wiedziałam, jak znosi psychicznie pobyt w szpitalu.

– Była jednak pewna pacjentka, której długo nie zapomnę – dodaje. – To był drugi dzień mojej pracy. Kobieta, około sześćdziesiątka, zaczęła mi się zwierzać. Powiedziała, że jest w szpitalu od pięciu dni, czuje się bardzo samotna i chciałaby zobaczyć córkę. Starałam się ją pocieszyć i na jej prośbę obmyślałam jej twarz chusteczką. Wkrótce stan się pogorszył. Umarła kilka godzin później. Tamtej nocy trudno mi się było pozbierać. Nie mogłam powstrzymać myśli, że to ob-



ARCHIWUM PRYWATNE x3

ELIDONA MIRASHI

Wieczorem nie może sobie pozwolić na emocje i słabość, bo jej dzieci – 3-letnia Klearta i 9-miesięczny Dionis – potrzebują choć na chwilę mamy.



LIZ ADAMS

Zapotrębowanie na doświadczoną pielęgniarkę, specjalizującą się w pracy na intensywniej terapii, wzrosło kilkukrotnie. Ale ona nie ma już na to siły.



SIKANDER ZULQARNAIN

Przygotował testament i wytyczne, jak postępować, gdyby się zaraził. Kolegom lekarzom powiedział, że nie chce być podłączony do respiratora.

mycie twarzy było ostatnią rzeczą, jaką ktoś dla niej zrobił.

Teraz Elidona coraz rzadziej spotyka się ze śmiercią. Już pod koniec maja w całym stanie Nowy Jork epidemia zabijała mniej niż sto osób dziennie, a do szpitala Brookdale w ciągu doby trafiało już tylko kilku zakażonych. Dla Elidony oznacza to, że może już przytulać dzieci. Nie śpi też już na sofie, gdzie wcześniej izolowała się od reszty rodziny.

– Zaczęłam karmić córkę łyżeczką – mówi Elidona z radością. – Ale dalej przestrzegam środków bezpieczeństwa. Zawsze mam ubranie na zmianę, które ubieram tuż przed powrotem ze szpitala. Przed wejściem do domu dezynfekuję telefon i klucze. Muszę uważać, bo maski i kombinezon ochronny wymieniamy tylko raz na dwa tygodnie. Po kilku dniach oddychania w tej samej masce smród jest nie do zniesienia.

Elidona nie wie nawet, czy była zakażona. Jak mówi, w jej szpitalu personel nie ma rutynowych testów na obecność przeciwciał SARS-CoV-2.

Pielęgniarka do wynajęcia

Liz Adams odczytuje moją wiadomość i odpowiada, że może porozmawiać w każdej chwili. Píše, że akurat ma dużo czasu, bo właśnie wyruszyła w 17-godzinną podróż z Bostonu do rodzinnej Alabamy.

Gdy odbiera ode mnie połączenie, jest już w okolicach Nowego Jorku. Podczas wideorozmowy przez aplikację Zoom widzę zmęczoną 35-latkę, która pierwszy raz od wielu tygodni ma czas, żeby zastanowić się nad swoim życiem.

Liz tłumaczy, że od prawie roku jest w żałobie i wciąż nie może otrząsnąć się po stracie ojca. Jego śmierć przyszła niespodziewanie. Podczas operacji kręgosłupa organizm źle zareagował na narkozę i doszło do powikłań, które przerodziły się w zespół ostrej niewydolności oddechowej (ARDS). Przed śmiercią ojciec był podłączony do respiratora – tak jak pacjenci, którymi Liz zajmowała się niedawno w Massachusetts General Hospital w Bostonie. Trafiła tam jako *travel nurse* (pielęgniarka wędrująca), czyli tymczasowo wypełniająca braki kadrowe.

Jak wynika z danych portalu NurseFly (nazwę można przełożyć jako: Latająca Pomoc Pielęgniarska), w stanie Massachusetts – gdzie leży Boston – od lutego do marca tego roku zapotrębowanie na pielęgniarki specjalizujące się w pracy na oddziałach intensywniej terapii wzrosło siedmiokrotnie.

Liz zaczęła pracę na OIOM-ie na początku kwietnia. W jej szpitalu przebywało wtedy ok. 350 pacjentów chorych na COVID-19, co trzeci wymagał podłączenia do respiratora. Jako pielęgniarka pracująca wcześniej na oddziałach intensywnej opieki kardiologicznej, Liz sądziła, że jest przyzwyczajona do widoku śmierci. Okazało się, że jednak nie do takiej.

Spustoszenie

– W przypadku innych pacjentów wiemy przynajmniej, dlaczego ich stan zdrowia się pogarsza. U chorych na COVID-19 wszystko jest w normie, a potem nagle wirus sieje spustoszenie w całym organizmie. Oprócz płuc może zaatakować mózg, serce, przewód pokarmowy, nerki – wylicza Liz.

Tłumaczy, że jest to związane także z tworzeniem się zakrzepów w naczyniach krwionośnych, które mogą prowadzić do udaru mózgu, zawału serca czy niedrożności jelit. To ostatnie w najgorszym przypadku kończy się martwicą jelita, co wymaga szybkiej operacji. A to jeszcze bardziej komplikuje proces rekonwalescencji. Oczywiście pod warunkiem, że stan pacjenta powróci do normy.

Liz: – Niektórzy byli podłączeni do respiratora nawet przez kilka tygodni. Jeśli udało im się wygrać z chorobą, nie wyglądali jak inni ludzie. Skrajnie wychudzeni, mieli inny odcień skóry. Mięśnie niektórych były tak osłabione, że nie mogli podnieść ręki. Często pytali, co się z nimi dzieło, gdy byli w śpiączce, podłączeni do respiratora. Co miałam im powiedzieć? Że ich stan zdrowia był tak ciężki, że podczas kilkunastogodzinnego dyżuru czasem nie wychodziłam z ich sali? Że z minuty na minutę zmieniały się ich parametry życiowe?

– Najbardziej utkwiał mi w pamięci przypadek sześćdziesięciolatka, który przypominał mojego tatę – dodaje pielęgniarka. – Trafił do szpitala z lekkimi objawami ARDS i oddychał z pomocą kaniuli nosowej. Na moich oczach jadł śniadanie, uśmiechał się. A potem jego stan nagle się pogorszył i konieczne było podłączenie do respiratora. Pół godziny później już nie żył.

Liz Adams nie ma już siły pracować z zakażonymi koronawirusem. Najchętniej wróciłaby do szpitala w rodzinnym Huntsville, 200-tysięcznym mieście w stanie Alabama, gdzie kilka lat temu była zatrudniona jako etatowa pielęgniarka.

Do połowy czerwca COVID-19 zabił 119 tys. Amerykanów.

To więcej niż liczba żołnierzy
USA poległych podczas
I wojny światowej.

Przeciążenie

Na to jednak Liz może długo poczekać, bo w Alabamie i co najmniej 18 innych stanach doszło ostatnio do dużego wzrostu liczby nowych zakażeń i hospitalizacji. Związane jest to nie tylko z odmrażaniem gospodarki, ale także z protestami po śmierci George'a Floyda [patrz „TP” nr 25 – red.]. Ekspert ostrzegają, że do października liczba zgonów z powodu COVID-19 może sięgnąć 200 tys. Do połowy czerwca zmarło już 119 tys. Amerykanów – to więcej niż liczba amerykańskich żołnierzy poległych podczas I wojny światowej.

Jak może skończyć się zbyt szybkie rozprzestrzenianie się wirusa, pokazuje przykład szpitali w 200-tysięcznym mieście Montgomery, stolicy Alabamy. Już pod koniec maja, czyli kilkanaście dni po zniesieniu stanowych restrykcji, na oddziałach intensywnej terapii brakowało łóżek i pacjenci przewożeni byli do oddlego o godzinę drogi Birmingham.

O przeciążenie systemu nietrudno zwłaszcza w wiejskich szpitalach, gdzie już przed epidemią brakowało personelu i sprzętu. Dziennik „Guardian” opisywał przypadek szpitala w 21-tysięcznym miasteczku Gallup w stanie Nowy Meksyk, którego władze zignorowały zagrożenie epidemią i pod koniec marca zwolniły 17 pielęgniarek. Miesiąc później w pobliskim rezerwacie Indian Nawaho zaczęła szybko rosnąć liczba zakażonych i szpital z dnia na dzień stał się lokalnym epicentrum COVID-19.

Mnie nie podłączajcie

Z danych Centrum Kontroli Chorób i Prewencji wynika, że do końca maja w całych Stanach koronawirusem zaraziło się 62 tys. pracowników służby zdrowia; 291 z nich zmarło. Wśród nich był

James Mahoney, 62-letni pulmonolog z Downstate Medical Center na Brooklynie. Choć mógł przejść na wcześniejszą emeryturę, zdecydował się leczyć w najgorszym okresie epidemii. „New York Times” pisze, że w połowie kwietnia Mahoney zaczął mieć objawy COVID-19, a niecałe dwa tygodnie później trafił na ostry dyżur w szpitalu, w którym pracował przez ostatnie 40 lat. Zmarł 27 kwietnia.

Nowojorskiego lekarza wspomina Sikander Zulqarnain, pulmonolog z brooklyńskiego szpitala Kings County Medical Center. W czasie epidemii Mahoney brał tam dodatkowe dyżury. – Widzieliśmy się regularnie, bo James przychodził trzy razy w tygodniu na nocną zmianę. Kończyłem akurat mój dyżur i przekazywaaliśmy sobie informacje na temat pacjentów. Znałem go od dziesięciu lat, nieraz dzieliliśmy dyżurkę. Teraz bez niego jest tutaj pusto – mówi.

Śmierć kolegi sprawiła, że Sikander bardziej niż wcześniej zaczął się obawiać zakażenia koronawirusem. – Od wielu lat pracuję na oddziale intensywnej terapii i jestem przyzwyczajony do ciągłego widoku śmierci – opowiada. – Ale nigdy moja praca nie wiązała się z tak dużym zagrożeniem. Kilka tygodni temu miałem przypadek 30-latką. Był podłączony do respiratora i musieliśmy położyć go na brzuchu, żeby zwiększyć ilość tlenu dopływającego do płuc. Choć miałem przyłbicę i dwie maski, to i tak przy obracaniu pacjenta poczułem zapach jego potu. To nie pierwszy raz, kiedy mogłem się zarazić...

Podobnie jak jego koledy, Sikander spisał na wszelki wypadek testament i przygotował wytyczne, jak postępować, gdyby się zaraził: – Powiedziałem kolegom, że nie chcę być podłączony do respiratora. Jeśli okaże się, że nie mam szansy na przeżycie, mają mi podać leki usmięrzające ból. Żeby nie było wątpliwości, spisałem nawet konkretne dawki. Czasem jedyne, co można zrobić, to pozwolić komuś odejść z godnością. O to prosili mnie też starsi pacjenci, którzy oprócz COVID-19 mieli za sobą długą walkę z rakiem lub inną chorobą.

Niedawno Sikander Zulqarnain przeszedł test na obecność przeciwciał SARS-CoV-2. Z lekkim rozczarowaniem w głosie mówi, że test dał wynik negatywny. Czasem myśli, że chciałby mieć to już za sobą.

© MARTA ZDZIEBORSKA



OMAR AL-HALABI,
34-letni
syryjski
dziennikarz,

od dziewięciu lat dokumentuje wojnę w ojczyźnie. Omar (imię to pseudonim, nazwisko jest prawdziwe – nosi je wielu mieszkańców Aleppo, oznacza „pochodzący z Aleppo”) przed wojną pracował w centrum szkoleniowym dla dziennikarzy Freedom Institute, w kanale telewizyjnym Shada Satellite TV i dla agencji Syrian Press, dla której pracowała także jego żona Assma.

W 2017 r. małżeństwo straciło 7-letnią córkę Souad podczas bombardowania szkoły w Aleppo. Chwilę później bomby sięgnęły ich domu. Wraz synem Ahmedem (młodszym o rok od Souad) uciekli wtedy do Atarib, oddalonego od ich rodzinnego miasta o 25 km. Już w Atarib, dokładnie rok temu w czerwcu, urodził się ich drugi syn Abdel Qadir.

W bombardowaniu domu zniszczone zostały nie tylko ich paszporty, ale też drogi sprzęt fotograficzny, którym Omar dokumentował to, co się w Syrii działo. Twarde dyski jednak przetrwały, jego archiwum jest więc bardzo bogate.

Omar był więziony za relacjonowanie protestów przeciwko prezydentowi Baszarowi Al-Asadowi. Został także ranny podczas bombardowania.

Na bazie jego historii i jego nagrań filmowych w telewizji TVN24 powstał reportaż Piotra Czabana, w programie „Czarno na białym”, emitowany w 2018 r.

Pod koniec 2018 r. Omar napisał komentarz na YouTube pod teledyskiem do piosenki „Aleppo umiera” zespołu Roki, w którym Czaban jest basistą. Podziękował za pamięć o tragedii Syryjczyków. Od tamtego czasu Piotr Czaban oraz autorka tego tekstu prowadzą akcję #UwolnićOmara, która ma na celu sprowadzenie małżeństwa syryjskich dziennikarzy wraz z ich dziećmi do Polski.

© KAROLINA BACA-POGORZELSKA



Tamtego dnia w Aleppo

OMAR AL-HALABI

Tutaj, na ulicach starego miasta, kamienie kryją setki lat wspomnień. Być może, gdy położysz na nich dłoń, przeniosą cię wstecz i opowiedzą swoje historie. Także te najnowsze.

NIE PAMIĘTAM DOBRZE, CO TEGO DNIA działo się w pracy. Ale dobrze pamiętam widok bawiących się dzieci, kobiet wymieniających się półmiskami tradycyjnych potraw i wezwania do modlitwy, rozchodzące się z meczetów. Widzę na horyzoncie wysoki krzyż obejmujący niebo i żelazną bramę na środku ulicy. Widzę gwiazdę Dawida, która kusi, by się zbliżyć i poczuć jej historię.

Jest rok 2013. Aleppo, Syria. Idę. Zapach jaśminu wypełnia otoczenie. Słyszę śmiechy i ten niezrozumiały gwizd, a po chwili moim

oczom ukazuje się obraz, którego sam mistrz Picasso nie byłby w stanie oddać. Może to podmuch powietrza, może dźwięk samolotu, a może... Sekundę później widzę blade twarze. Słyszę śmiech, który zamarł na ustach. Cisza, jakby armia duchów opanowała nagle całą przestrzeń. Dźwięk staje się na tyle wyraźny, że zagłusza nawet wezwanie do modłów. Kolejna sekunda – i cała teoria względności Alberta Einsteina, mówiąca o sile grawitacji wynikającej z lokalnej geometrii czasoprzestrzeni, przestaje obowiązywać, a nowe dziury mają kolor czerwony i nie pojawiają się na Drodze Mlecznej.

Wszyscy zamierają ze strachu. Widzę kobiety padające na ziemię, płaczące dzieci, a na drugim końcu ulicy krzyczących mężczyzn. Widzę ludzi biegających chaotycznie. Nikt nie wie, co się dzieje. W ciągu jednej sekundy niebo zamienia się w piekło. Aby przeżyć, biegnę wraz z tłumem, zupełnie nie wiedząc dokąd.

Zbliżające się gwizdy i eksplozje były pociskami wystrzeliwanymi przez armię Baszara Al-Asada. Nikt nie znał powodu, dla którego zaatakowano to miejsce, które przecież nie było winne całej tej wojnie. Miejsce, które świat powinien chronić. Gdyby te pociski wiedziały, że najmniejsze kamienie tutaj liczą sobie więcej lat niż historia Stanów Zjednoczonych, wstydziłyby się. Nie upadłyby i nie wybuchły.



OMAR AL-HALABI

Zanim spadły pociski: dzielnica żydowska w Aleppo w 2013 r.

historię tego niezwykłego kraju. Syria stanowiąca wtedy jedną z najważniejszych prowincji Imperium. Tam też Rzym zmobilizował swoje trzy legiony, które przyczyniły się do zwycięstwa nad Partami. W Rzymie ogromne znaczenie miało objęcie władzy przez dynastię pochodzenia syryjskiego – Sewerów [dynastia panująca w latach 193-235 n.e. – red.]. Dzięki niej mamy przepiękne zabytki, na które można się natknąć, idąc wzdłuż ulic starożytnego miasta w Aleppo.

Blisko synagogi i kościoła, w dzielnicy tej stanął także meczet – jakby zaprzeczający oskarżeniom, posądzającym wyznawców islamu o terroryzm, i odrzucający retorykę nawołującą do nienawiści. Jego ściany są świadectwem braterstwa, miłości i wzajemnego szacunku, które w Syrii były obecne przez setki lat.

■■■

Czytelniku, przedstawiłem krótką historię tego miejsca, abyś wiedział, jak ogromny jest ból, gdy spada pocisk i niszczy tutaj choćby ułomek kamienia.

Tamtego dnia nieustające wybuchy ostatecznie wybudziły mnie z marzeń. Stwierdziłem, że stoję na dziedzińcu, tuż przy namalowanym na ścianie obrazie Jezusa oraz tuż obok gwiazdy Dawida zdołającej drzwi. Gdzieś obok kobiety głos recytował wersy Koranu, nieopodal mężczyzna wykonywał znak krzyża, trochę dalej Żyd kiwał głową. Wszyscy wzywali swojego Pana, aby trzymał pociski z dala od nich.

Po kilku chwilach dźwięk eksplozji ucił. Ludzie uspokoili oddechy. Słysząc

było westchnienia ulgi. Kobiety zaczęły coś mówić, dzieci wróciły do zabawy. Mężczyźni zebrali się i próbowali zrozumieć, dlaczego reżim Baszara Al-Asada bombarduje bezbronnych cywilów.

Tej sceny nie da się zapomnieć.

Stworzyłem obraz namalowany świętymi olejkami, przedstawiający równość wszystkich boskich religii, bez dyskryminacji, gdzie wszyscy szukają schronienia pod jednym dachem przed nadlatującym pociskiem.

Chwilę potem kolejny spadł na dach. Znowu wybuchły krzyki, znowu ludzie próbowali nawzajem się ratować...

■■■

Bomby nie rozróżniają chrześcijanina, Żyda czy muzułmanina. Al-Asad jest gotów zniszczyć całą Syrię wraz ze wszystkimi jej religiami, byle nie oddać władzy. Jak dotąd, udaje mu się to z pomocą Władimira Putina. W Syrii zniszczono 73 proc. domów, zabito ponad milion ludzi, kolejnych kilkanaście milionów wygnano.

Chciałbym, abyście uświadomili sobie, że na całym świecie trwają gry polityczne, które celowo próbują przedstawić religie jako źródło zła. Nie chcą, by społeczeństwo traktowało ich wyznawców jak ludzi, którzy cieszą się wszelkimi prawami, obowiązkami i wolnością. Musimy dobrze przemyśleć, zanim kogoś ocenimy na podstawie jego religii, koloru skóry czy rasy. Musimy zadać sobie pytanie o powody takiego myślenia. Tylko od nas zależy, czy damy przyzwolenie, by media i politycy kreowali nam zniekształcony obraz człowieka. To twoja decyzja. Musisz zacząć od siebie. Zanim użyjesz języka, kieruj się rozumem. ©

Z arabskiego przetoczyła NINA JASEK

■■■

Znam dobrze tę okolicę. To stara dzielnica żydowska, której centralnym punktem jest synagoga. Historia Żydów w Aleppo jest bardzo długa. Kiedyś w Syrii było prawie ćwierć miliona Żydów. Zamieszkiwali Damaszek, Aleppo, Dajr az-Zaur oraz obszary przy granicy z Turcją i Irakiem.

Kiedyś wszyscy żyli tu ze sobą w harmonii i pokoju. Do roku 1964. To wtedy agresywna polityka zaczęła szerzyć trującą wśród społeczności muzułmańsko-żydowsko-chrześcijańskiej. Było to zaledwie dwa lata po powstaniu Arabskiej Socjalistycznej Partii Baas, z której wywodził się pierwszy dyktator syryjski: Hafez Al-Asad. Przejął władzę w wyniku przewrotu wojskowego, a jego rodzina do dziś włada krajem. Jego rządy doprowadziły do konfliktów między religiami, co w konsekwencji zmusiło Żydów do ucieczki w kierunku Izraela, Palestyny, Ameryki czy Egiptu. Dziś zostało ich w kraju zaledwie około 3 tysięcy.

Po przeciwnej stronie tej samej dzielnicy stał kościół chrześcijański, którego wyznawcy stanowią ponad 10 proc. populacji Syrii. To właśnie oni za panowania Imperium Rzymskiego i Cesarstwa Bizantyjskiego w Syrii (islam pojawił się na tych ziemiach dopiero w 637 r.) pisali

POŻEGNANIE

Z wielkim smutkiem żegnamy

Adama Wodnickiego

naszego wuja, opiekuna, mądrego i szlachetnego człowieka

Adamie, do końca nie opuszczały Cię marzenia i troska o każdy piękny szczegół tego świata. Teraz, kiedy już biegiesz jako mały chłopiec w kierunku Turii albo idziesz uliczką w Arles do Rodanu, niech towarzyszy Ci nasza miłość.

MONIKA, ANDRZEJ I JULIUSZ LEWANDOWSCY

Jakbyś z nami był, Jánie

DARIUSZ KAŁAN Z BRATYSŁAWY

Zabójstwo dziennikarza śledczego i jego narzeczonej wstrząsnęło nie tylko słowacką polityką, ale również muzykami. Niektóre ich songi mówią o utopijnym świecie, inne to pokoleniowy manifest gniewu.

KAMERA PODAJĄ ZA STARSZYM PANEM przez korytarz aż do jasnego okna. Młody męski głos zagłusza jego kroki. Przy każdej kolejnej zwrotce dochodzą kolejne głosy, tworząc chór kilku pokoleń. Tak zaczyna się teledysk „Predstavujem si krajinu” (Wyobrażam sobie kraj) – piosenki, która od lutego tego roku zebrała ponad 300 tys. wyświetleń na YouTube. Ze słowami o utopijnym świecie, w którym każdy jest wolny i równy, wpisała się w wyzwanie na wielką zmianę, od lat panujące na Słowacji.

– To niemal przerażające, jak aktualna jest dziś ta piosenka – mówi mi Marek Kučera, producent i autor projektu. – Tyle że to nie jest protest song. Zależało nam na uczczeniu pamięci dwojga młodych ludzi, którzy zginęli za prawdę i sprawiedliwość.

Chodzi o dziennikarza śledczego Jána Kuciaka i jego narzeczoną Martinę Kušnírovą, zamordowanych w lutym 2018 r. Mord wstrząsnął Słowacją i rozpoczął jeden z najbardziej niespokojnych okresów w jej historii. Minione dwa lata, pełne protestów ulicznych, które wymusiły ujawnianie gigantycznej skali korupcji i związków polityków z szemranymi biznesmenami, zrujnowały też wizerunek socjalno-konserwatywnej partii Smer – Sociálna Demokracia. Utrzymywała się ona u władzy łącznie przez 12 lat. Straciła ją po wyborach parlamentarnych w lutym tego roku.

W ciągu tych dwóch lat podjęto wiele prób upamiętnienia Jána i Marty w muzyce: od poezji śpiewanej przez hip-hop i rock po muzykę klasyczną. Niektóre piosenki, jak „Predstavujem si krajinu”, cechuje wyciszona refleksja. Inne to manifesty pokolenia rozczarowanego elitami, ich chciwością, kłamstwami i niewiścią, której podsycanie służyło utrzymaniu władzy.

30 lat minęło

Wydane w drugą rocznicę morderstwa, „Predstavujem si krajinu” nie jest piosenką oryginalną. Po pierwsze, to tłumaczenie ikonicznego „Imagine” Johna Lenona. A po drugie, miała ona premierę ponad 30 lat temu: było lato 1989 r. i w powietrzu czuło się nadchodzącą zmianę, gdy legendarny rockman Dežo Ursiny zaśpiewał „Imagine” na festiwalu w czeskich Valašskich Meziříčích. Zaraz potem zaprezentował jej słowacką wersję, napisaną przez poetę Ivana Štrpkę.

Štrpka wzbogacił poetyckie tony Lenona o bezpośredni przekaz polityczny: „Wyobrażam sobie kraj / Bez idiotów, bez czołgów / Nikt nie leży tam w trawie / Z kulka na końcu słów”. W tamtym czasie dla każdego było oczywiste, że chodzi o uwolnienie kraju od wpływów sowieckich. To marzenie, marzenie pokoleń, miało się ziścić kilka miesięcy później wraz z Aksamitną Rewolucją.

Marek Kučera nie musiał namawiać muzyków do udziału w projekcie. – Różni nas wiek, a często także poglądy polityczne. Ale okazało się, że chcemy i umiemy współpracować – mówi producent. – W piosence, która była uśpiona przez trzy dekady, doskonale przegląda się współczesne słowackie społeczeństwo. Mam nawet wrażenie, że jej tekst odpowiada naszym chaotycznym, egocentrycznym czasom bardziej niż w 1989 r.

A jednak, bez zmiany choćby jednego słowa, „Predstavujem si krajinu” staje się też intymną medytacją; niemal listem miłosnym do Jána Kuciaka. „I ciągle nam się wydaje / Jakbyś tu z nami był, Janie / A uśmiech na twojej twarzy / Spokojnie płynie do nas” – recytuje w poruszającym finale Milan Lasica, 80-letni aktor i właściciel jednego z najbardziej rozpoznawalnych głosów w kraju. W pierwszej wersji „Jan” nawiązywał do Jana Palacha, cze-

skiego studenta, który w styczniu 1969 r. podpalił się, protestując przeciw inwazji wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację.

Gniew i oskarżenie

Od morderstwa Kuciaka i Kušnírovej scena polityczna Słowacji wywróciła się do góry nogami: w 2019 r. prezydentem została liberalna prawniczka Zuzana Čaputová, a rząd tworzy dziś antykorupcyjny ruch OĽaNO z trojgiem koalicyjantów. Biznesmen skazany za zlecenie zabójstwa siedzi w więzieniu razem ze współnikami.

Nostalgiczne „Predstavujem si krajinu” dobrze oddaje ducha pogodzenia się z żałobą. Taka piosenka na pewno nie powstałaby tuż po mordzie. Wtedy dominującą emocją był gniew. Moment, w którym Słowacy nagle zobaczyli, że ich kraj trafił w ręce bezwzględnych i skorumpowanych elit, kapitałnie uchwycili hiphopowcy. Przykładami wściekłych protest songów pisanych niedługo po zabójstwie są „Chceme pravdu” (Chcemy prawdy) oraz „Krv na rukách” (Krew na rękach).

W tym pierwszym raper Majk Spirit (urodzony w 1984 r. jako Michal Dušička) o śmierć Kuciaka i Kušnírovej oskarża niemal wszystkich: od włoskiej mafii (Kuciak pisał o jej interesach na Słowacji) przez polityków po samolubnych milenialsów, „ze słuchawkami na uszach”, którzy „zabezpieczeni materialnie trzymają buzię na kłódkę”. Trudno o prostszy przekaz. Jednak to właśnie prostota sprawia, że „Chceme pravdu” stał się protest songiem w pełnym tego słowa znaczeniu. I wzruszającym hołdem dla nonkonformistów, jak Kuciak.

Drugi utwór, „Krv na rukách”, podąża tą samą ścieżką. Ale gniew rapera Veca (Branislav Kovač, rocznik 1976) wymierzony jest w jeden konkretny cel: rządzący establishment. W piosence znajdziemy wiele odniesień do sloganów i reform wprowadzonych przez Smer–SD, choć nazwa partii nie pada. „Wy! Wszyscy macie na rękach krew / Wy, wszyscy, co do jednego, macie na rękach krew” – obarcza winą polityków Vec.

– Wiadomość o śmierci Jána i Marty wstrząsnęła mną. Zamordowanie dziennikarza jest nie do pomyślenia w rozwiniętym kraju, w którym podobno żyjemy – mówi mi Vec. – Dla mnie ten mord jest smutnym kamieniem milowym w hi-



Antyrządowy protest po śmierci Jána Kuciaka i Marty Kušnírovej.
Bratysława, 9 marca 2018 r.



Milan Lasica na planie teledysku „Predstavujem si krajinu”

storii Słowacji. Napisałem tę piosenkę z obrzydzenia. I żeby ostrzec wszystkich drani, którzy myślą, że prawdę można uciszyć siłą.

Przeżycie pokoleniowe

Tak wyrażany protest nie jest czymś nowym. Symbolem oporu Czechów i Słowaków przeciw interwencji z 1968 r. stała się ballada Marty Kubišovej „Modlitba pro Martu” (Modlitwa za Martę). Władze komunistyczne ukarały ją za to zakazem nagrywania. Jesienią 1989 r. podczas demonstracji na praskim placu Wacława Kubišová zaśpiewała swoją modlitwę *a cappella* tłumowi, który w milczeniu wznosił palce w geście wiktorii. Zresztą Aksamitna Rewolucja też doczekała się swoich hymnów, jak „Sľúbili sme si lásku” (Obiecaliśmy sobie miłość) Ivana Hoffmana i „Pravda víťazí” (Prawda zwycięży) zespołu Tublatanka.

– Za komunizmu wróg był znany, teraz trudniej odróżnić dobro od zła – twierdzi Roman Oravec, lider zespołu The Smalltown Boy. – Mówi się, że Słowacy to naród gołębi. Ale po śmierci Jána i Marty okazało się, że jeśli ktoś złamie demokratyczne zasady gry, umiemy się zjednoczyć, jak nasi rodzice i dziadkowie w 1989 r. Może każde pokolenie musi przejść taką walkę, żeby zasłużyć sobie na wolność.

Tydzień po morderstwie Oravec napisał „Piesň pre Jána a Martinu” (Piosenka dla Jána i Marty). Następnego dnia z pomocą współlokatora, studenta inżynierii dźwięku, nagrał ją w swoim pokoju. Niespokojna, nawiązuje do wczesnych folkowych utworów Boba Dylana i pokazuje, że gitara akustyczna zawsze będzie najlepszym instrumentem dla protest songów. Słowa „Zabili nadzieję / Zabili spokój / Chcemy oko

za oko / I ząb za ząb” oddają i szok, i pragnienie sprawiedliwości, które wielu Słowaków odczuwa do dziś.

Z kolei „Millión EUR” (Milion euro), wykonane przez duet Edo Kleny i Kataríny Knechtovej, udowadnia coś innego: że piosenka polityczna może być subtelna. Tu napięcie czuć między podmiotem lirycznym a dwojgiem zabitych, nie rządem. Przepełniona smutkiem, wyrzutami sumienia i chwilami patosu („Są w każdym stuleciu męczennicy / Którzy to za nas na siebie wezmą”), tytułem nawiązuje do konferencji prasowej ówczesnego premiera Róberta Fico, który zaoferował milion euro w gotówce za informacje o zabójcach Kuciaka.

Czasem słowa są zbędne. „Čierna labut” (Czarny łabędź), skomponowany przez Martina Burlasa i wykonany przez wiolonczelistę Jozefa Luptáka, uwodzi nerwowym trelem i skondensowanymi emocjami. – Dla mnie to najoryginalniejszy kawałek powstały z myślą o Jánie i Martinie – mówi mi Oliver Reháč, szef działu kultury dziennika „Denník N”. – Jest jak memento naszych czasów.

Reháč uważa, że ten utwór spodobałby się Kuciakowi, który był fanem muzyki klasycznej.

Pamięć, która jednoczy

Czy piosenki pozwolą zachować pamięć o Kuciaku i Kušnírovej? O tym śpiewa zespół Peter Bič Project w delikatnej balladzie „Tichá piesň” (Cicha piosenka), wydanej na początku roku. „Coś da się zapomnieć / A coś wcale nie / W ustach czuję słony smak / W skrzydłach cicha piosenka brzmi” – śpiewa anioł w wersji otwierającym, przekonując, że rana w końcu się zagoi. Ta piosenka odzwierciedla, jak gniew dwóch ostatnich lat zamienił się w coś bardziej spirytualnego; ciszę, która mówi tysiącem słów.

Pytanie o pamięć zadałem Michalowi Kaščákowi, szefowi Pohody, największego festiwalu muzycznego na Słowacji, który w marcu 2018 r. zorganizował w Bratysławie koncert wspominający Jána i Martinę. – Co roku gramy dla nich w dzień, na który mieli zaplanowany ślub – odparł Kaščák. – Wierzę, że w takim samym stopniu, w jakim ten ślub miał zjednoczyć dwie rodziny, ich śmierć na zawsze zjednoczy ludzi, którym zależy na wolności, prawdzie i losach ojczyzny, w której żyją. ©

WILCZĘTA

75 lat temu po Prusach Wschodnich,
które teraz miały stać się częścią Związku Sowieckiego,
krążyły zagubione niemieckie dzieci.
Niektóre odnalazły bliskich dopiero po pół wieku.

ZBIGNIEW ROKITA

DO KRÓLEWCA WOJNA DOCIERA NA dobre wiosną 1945 r., wraz z nadejściem Armii Czerwonej – choć już wcześniej krwawe żniwo zbierały tu brytyjskie naloty. Rozmiar cierpień, który spadnie wkrótce na niemieckich cywilów, byłby może mniejszy, lecz Adolf Hitler wydaje rozkaz, by stolicy Prus Wschodnich bronić do końca. Ogłoszony twierdzą, Festung Königsberg, Królewiec broni się aż do początku kwietnia 1945 r. Podczas oblężenia sowieckie bomby i pociski zabijają co czwartego ze 100 tysięcy cywilów, którzy pozostali w mieście. To dopiero początek ich gehenny.

Wkrótce Sowietci zamieniają przypadającą im część Prus Wschodnich – z Königsbergiem, który od czerwca 1946 r. ma nazywać się Kaliningradem (na cześć zmarłego wtedy Michaiła Kalinina, jednego z weteranów partii bolszewickiej) – w zamknięty obwód wojskowy.

Nadbałtycka kraina wraz z jej niemieckimi mieszkańcami – innych tu prawie nie ma – staje się, za zgodą zachodnich aliantów, łupem Stalina. Jego decyzją Prusy Wschodnie zostają podzielone między Związek Sowiecki i pojałtańską Polskę. Zmienić ma się wszystko. Jak napisze potem niemiecki badacz Christopher Spatz: „tylko niebo pozostało takie samo”.

Wolfskinder

Królewiec i jego okolice to latem 1945 r. ziemia, na której niemiecki cywil jest po-

zbawiony wszelkich praw. Ludzie giną tu dziesiątkami tysięcy – padają ofiarami morderstw, gwałtów, a głównie głodu i chorób. Litewski pisarz Alvydas Šlepikas (rocznik 1966) tak portretował to miejsce po wkroczeniu Armii Czerwonej w książce „Mam na imię Marytė”, opierając się na relacjach: „bezgłowy trup kobiety przykutej do muru”; „tłum wygłodniałych ludzi, którzy rozszarpują ścierwo konia woziwody”; „matki, które idą razem z dziećmi prosto w stronę niosącego lodowe kry Niemna i wchodzą wraz z nimi do wody bez żadnego słowa, bez żadnej myśli, jakby utopienie się było czymś zwyczajnym”; „dzieci bawiące się niewybuchami”; „zbezczeszczone groby”; „ruiny wysadzonych kościołów”. I jeszcze ten fragment o wielkim kuku: „Tłuste powojenne ptaszysko, prawie człowiek – pełen ludzkiego mięsa”.

Miejscowi Niemcy trafiają na koniec kolejki zaspokajania potrzeb – najpierw należy nakarmić Armię Czerwoną i napływających sowieckich osadników. Przyjezdni zajmują domy, wyrzucają Niemców na bruk, w najlepszym razie pozwalają im wegetować w zabudowaniach gospodarczych.

Po Prusach Wschodnich wałęsają się gromady głodnych dzieci, często zdanych na siebie. Ojcowie potracili się gdzieś na wojnie, matki się pogubiły albo nie żyją (nieraz odejmowały sobie od ust, by głodowe porcje oddać dzieciom i pierwsze umierały) lub zostały deportowane



w głąb Związku Sowieckiego jako żywy kontyngent reparacyjny.

Nazwano je *Wolfskinder*: wilczęta, wilcze dzieci, sunące watahami.

Uwe alias Bronius

Gdy rozchodzi się plotka, że chleb ma sąsiednia Litwa, ponownie będąca republiką sowiecką (wcześniej Sowietci okupowali ją w latach 1940-41, i znowu od 1944 r.) – pchane głodem dzieci ciągną na Litwę.

– Aż do 1949 r. litewskie gospodarstwa wciąż nie zostały skolektywizowane, tam-



Rodzina Willkath z Gumbinnen (dziś Gusiewo w obwodzie kaliningradzkim). Gdy latem 1945 r. matka zmarła, pięcioro osamotnionych dzieci – ojciec był w obozie jenieckim – trafiło na Litwę i zostało tam przyjętych przez litewskie rodziny. W 1951 r. jednemu z synów udało się opuścić Związek Sowiecki i przedostać do NRD.

potkanych kryjówek. Oni również usłyszeli, że na Litwie jest dużo jedzenia, i ruszyli, bo w domu nie mieli już czego szukać. Uciekli z niego, gdy zbliżał się front, a gdy wrócili, zastali Sowieców, od których usłyszeli, że są „małymi nazistami” i mają się wynosić. Oni, ofiary wojny.

Z czasem Uwe staje się dla brata i siostry zbyt dużym obciążeniem. Gdy kryją się w jakiejś chatce, rodzeństwo obiecuje, że wróci po niego, i odchodzi. Nigdy nie wróci. „Mojemu bratu, mojej siostrze i moim rodzicom udało się dotrzeć do Niemiec i tam się odnaleźli. Siostra powiedziała, że umarłem” – mówił Uwe we wspomnieniach, wysłuchanych kilkanaście lat temu w ramach „The Wolfskinder Project” (projektu naukowego, podczas którego zbierano relacje ówczesnych dzieci).

Chłopiec wałęsał się sam, ostatkiem sił. Zostaje przygarnięty przez rolnika w litewskich Taurogach, otrzymuje nową tożsamość (Bronius Dapkus), dorasta. Dopiero w 1985 r. dzięki Czerwonemu Krzyżowi udaje mu się nawiązać kontakt z matką. Pojedzie do niej do Niemiec na krótko przed jej śmiercią. Jednak ta nie uwierzy mu, że jest jej zagubionym synem.

Styk prusko-litewski

Litewscy chłopcy przygarniają wiele wilczych dzieci: jedni z dobrego serca, inni traktują je jak parobków pańszczyźnianych. Wtedy ich życie pozostaje piekłem. Nieraz odmawia się im prawa pójścia do szkoły. Słyszą, że „parobek uczyć się nie musi”.

– Niemiecki chłopak był dobrą inwestycją dla litewskich rolników – tłumaczy Leiserowitz. – Z czasem mógł znaleźć sobie dobrą litewską żonę. Natomiast z dziewczynami było odwrotnie. Dziewczyny często padały ofiarą gwałtów, miały wśród Litwinów złą opinię. Nikt nie chciał, żeby ich synowie się z nimi zenili. Mówiono: „Skąd mamy wiedzieć, jaka jest ich przeszłość?”. Były też wykorzystywane przez rolników, którzy ich

tejsi rolnicy mieli dość żywności. Kursowali w pobliże pruskiej granicy, a nawet do Królewca i handlowali – opowiada mi prof. Ruth Leiserowitz, niemiecka historyczka specjalizująca się w dziejach Prus Wschodnich. – Niektórzy zabierali ze sobą niemieckie dzieci, bo potrzebowali rąk do pracy. Czasem krewni sprzedawali im swoich podopiecznych za jedzenie. Musiano podejmować decyzję o sprzedaży jednego dziecka, żeby mogło jeszcze chwilę dłużej przeżyć kilka pozostałych.

Wiele głodnych dzieci rusza też samodzielną, aby na Litwie kraść, żebrac,

pracować, jeść. Choć wokół roi się o niebezpieczeństwach: wszędzie Sowietci, a ponadto w lasach wciąż trzymają się litewscy partyzanci, „leśni bracia”. Niemcom nie ufają ani jedni, ani drudzy. Do polskiej części Prus Wschodnich nie można się już przedostać – region podzielono granicą.

Sześćcioletni Uwe Tritz idzie na Litwę ze starszym bratem i siostrą. Są sami, matka ich zgubiła. Choć „idzie” to za dużo powiedziane: jest tak osłabiony, że siostra taszczy go na plecach. Zima jest wyjątkowo ciężka, ciepła szukają w na-

→ przygarniali. Wiele zawierało nieszczęśliwe związki, rozwodziły się, ukrywały przed mężami swoje pochodzenie.

Leiserowitz mówi mi, że gdy potem pojawiła się możliwość poszukiwania bliskich, starzejący się ojcowie tych dziewczyn – teraz już kobiety – często nie mogli się pogodzić z tym, że ich córeczki są teraz dojrzałymi kobietami. Gdy jedna z nich odnalazła po latach ojca, ten w pierwszej paczce wysłał jej lalkę.

Wolfskinder były wtedy częścią większego zjawiska: po całej Europie Środkowej i Wschodniej włóczyły się pogubione lub osierocone dzieci. Ale właśnie tu, na styku prusko-litewskim, zaistniało kilka szczególnych okoliczności, które stworzyły fenomen *Wolfskinder*.

– Dla potrzebujących rąk do pracy Litwinów dziecko pruskie miało przewagę nad rosyjskim czy ukraińskim. Przygarnięcie go było też symbolem sprzeciwu wobec Moskwy. Poza tym uwierzyli, że pruskie dziecko to „coś lepszego” – mówi Leiserowitz.

Litwini nie mogą oficjalnie adoptować niemieckich dzieci. Przyjmując je, dużo ryzykują. Zabraniają więc im mówić po niemiecku, dają nowe imiona, tuszują ich tożsamość. Henrik staje się Henrikasem, Franz – Franasem. W tym czasie tożsamości zmienia się przymusowo w wielu miejscach i okolicznościach, ale tu wyrwa się ją z korzeniami. Dlatego gdy później rodziny z Niemiec będą szukać zguby, ich wysiłki okażą się nadaremne – pod starymi imionami i nazwiskami niczego nie da się znaleźć.

Bywa, że nowi opiekunowie często ani słowem nie zająkną się o niemieckim pochodzeniu swoich podopiecznych również przed nimi samymi. A ci, których przygarnięto w wieku kilku lat, z czasem nabierają przekonania, że dawne życie im się przysniło. Pisał Ślepikas: „To, co wydarzyło się w ostatnich miesiącach wojny i tuż po jej zakończeniu, tak przyniosło ludzi, że wszystko, co pamięć wyrwała przeszłości, zdawało się nieprawdą. Wydawało się, że nigdy nie było pokoju, bezpiecznych i ciepłych domów, sytych i smacznych posiłków”.

Amnezja Luise Quietsch

Takie właśnie wrażenie miała mała Luischen. Luischen (to zdrobnienie od Luise) ma pięć lat, gdy musi uciekać. Ciężko chora matka każe jej powtarzać w pamięci: „Nazywam się Luise Quietsch,

Przyjmując niemieckie dzieci,

Litwini ryzykują.

Zabraniają więc im

mówić po niemiecku,

dają nowe imiona,

tuszują tożsamość.

nazywam się Luise Quietsch”. Wspomnienia dziewczynki z tego czasu to jedynie pojedyncze miejsca i obrazy: stacja kolejowa, martwy koń, walizka z rozsypanymi zabawkami, które zabroniono jej podnieść. Płonące lasy, drzewa wyglądające jak wielkie świece. Głód.

Luise nie pamięta, jak zgubiła matkę i siostrę. Gdy zostaje sama, idzie i idzie, aż dociera w okolice Kowna (stolicy międzywojennej Litwy). Tam trafia do sowieckiego obozu wojskowego, gdzie wypatrzy ją żołnierz. W domu opowie o ślicznej dziewczynce, przygarną ją jego teściowie, którzy swoje dzieci zdążyli odchowować. Potem ciąg przypadków sprawi, że mała Niemka trafi do dobrej litewskiej rodziny. Idzie do szkoły, zna już litewski. Później, jako dorosła, pracuje w sowieckim ministerstwie, ma spokojne życie.

W 1985 r. – 40 lat po tym, jak przygarnęli ją państwo Pipireite – wraca z pracy. Przechodzi obok sklepu z zabawkami, na wystawie zauważa pajacyka i w myślach automatycznie nazywa go z niemiecka *Hampelmann*. Dziwi ją to. Skąd zna to słowo? Przecież nigdy nie uczyła się niemieckiego...

Z czasem dojdzie do wniosku, że może te obrazy z poprzedniego życia, które czasem ją prześladowały, są jednak prawdziwe. Zaczyna uczyć się niemieckiego i po kilku miesiącach posługuje się nim płynnie. Język wskakuje w stare zawiąsy. Okazuje się, że to nie był sen.

Amnezja Luise to los wielu *Wolfskinder*. Najmłodsze często zapominają o przeszłości. Niektóre dowiadują się prawdy przypadkiem, inne od umierających przybranych rodziców. Inne umierają w przeświadczeniu, że urodziły się Litwinami i Litwinkami.

Luise odnajduje w końcu swoich braci. Podczas pierwszego spotkania, po 52 latach, najstarszy wita ją słowami: „Ach, Luischen, aleś ty urosła”.

Powroty po latach

Luise Quietsch zakłada organizację, która pomaga wielu *Wolfskindern* ustalić swoje pochodzenie, a chętnym wyjechać do Niemiec. Szuka też tych, które o swojej przeszłości nie mają pojęcia.

– Było dużo przypadków zapomnianych i później odzyskanych tożsamości. Znałam wiele takich ludzi – mówi prof. Ruth Leiserowitz. – Ponad sto osób wyjechało z Litwy do Niemiec. Jednak wielu nie chciało jechać. Mówili, że większość życia spędzili na Litwie i tu jest ich dom. Większość nie pamiętała niemieckiego, niektórzy próbowali się go nauczyć. Gdy jeden pan, rocznik 1938, opanował znów język, nie wiedzieć czemu wrócił mu twardy pruski akcent.

Bywało, że krewni w Niemczech mieli żal, iż zagubione dzieci nie wróciły wcześniej. Nie znając realiów życia w Związku Sowieckim, sądzili, że nie wracały z własnej woli, że porzuciły rodzinę. Nie zawsze też brat czy stara matka chcieli brać sobie na głowę kogoś jakby obcego, człowieka z dalekiego Wschodu.

Na przykład Genrich Tschupailis – tak nazywał się do końca życia. Miał siedem lat, gdy w poszukiwaniu jedzenia jechał pociągiem z Prus na Litwę. Zasnął w wagonie, złapał go sowiecki żołnierz, zabrał na rynek pobliskiego miasta i sprzedał za butelkę wódki. Chłopiec zapadł na tyfus, który może skutkować pogorszeniem pamięci. Zapominał, jak się nazywa – i gdy bliscy z Niemiec szukali go pod starym nazwiskiem, nie mogli odnaleźć.

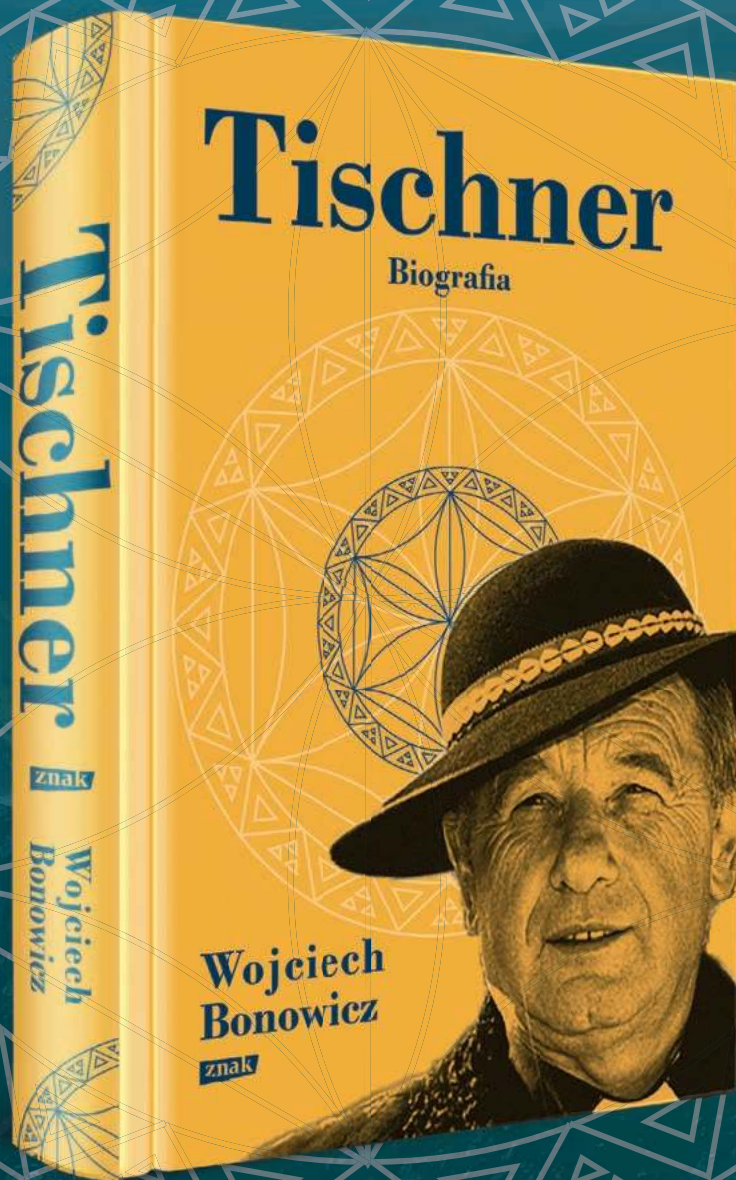
W 2002 r. niemiecka telewizja pokazała film dokumentalny o jego losach: „Der lange Weg der Wolfskinder” (Długa droga wilczych dzieci). Film obejrzeli krewni Genricha. Nawiązali kontakt i utrzymywali go przez lata. Przyznali jednak, że zdecydowali się na to, bo zobaczyli w filmie, iż Genrich jest porządnym człowiekiem. Gdyby otrzymali od niego np. list, być może by go zignorowali.

Dziś ostatni żyjący *Wolfskinder* przekroczył osiemdziesiątkę. Być może wielu nadal nie ma pojęcia o swoich korzeniach. Nigdy też nie dowiemy się, ilu ich było – na pewno wiele tysięcy.

© ZBIGNIEW ROKITA

Prócz źródeł wymienionych w tekście, korzystałem także z książki Karla-Markusa Gausa „Niemcy na peryferiach Europy”.

Spotkanie z człowiekiem, który przywraca ludziom nadzieję



Ktoś mi kiedyś powiedział, że jak Tischner wchodził do pokoju, to jakby się drzwi otwierały w człowieku. Drzwi się otwierały – i żyć się chciało. Każdy z nas nosi w sobie pragnienie, żeby przyszedł taki ktoś, kto mu powie: „Słuchaj, cała ta twoja szamotanina ma sens”. Każdy chce to usłyszeć.

Tischner. Biografia to nowa książka. Choć można też powiedzieć – zmieniona i znacznie poszerzona wersja książki *Tischner* opublikowanej w 2001 roku. Dodałem wiele wątków, bo przez ostatnich dwadzieścia lat zebrałem mnóstwo nowych informacji, dotarłem do kolejnych dokumentów, wysłuchałem nowych opowieści.

Wojciech Bonowicz

JUŻ W SPRZEDAŻY

kod rabatowy w księgarni **znak.com.pl**
37tischner KSIĄŻKI Z DOBRĄ STRONĄ

znak

PARTNER
TYGODNIK
POWSZECHNY

SAMIEC Z SAMCEM

Zachowania homoseksualne są u zwierząt często spotykane.
Dlaczego dobór naturalny toleruje
tak na pozór nierozsądne marnowanie zasobów?

ŁUKASZ KWIATEK

KONRAD LORENZ, JEDEN Z TWÓRCÓW nowoczesnej etologii, hodował niegdyś stadko gęsi gegaw. Zwierzęta łączyły się w pary, które nie tylko płodziły i wychowywały dzieci, ale też rywalizowały z innymi parami o pozycję w grupie. Jednym z najważniejszych zachowań cementujących związek jest u tych gęsi tzw. rytuał krzyku triumfalnego – sekwencja ruchów symulująca atak na wyimaginowanego wroga, zakończona głośnym okrzykiem. Partnerzy synchronicznie odgrywali swoje rytuały, zarówno po to, by dodać sobie wzajemnie animuszu, jak i dla onieśmienia pozostałych członków kolonii. Gęsie małżeństwo zaczyna się zresztą od wspólnego wykonania takiego rytuału.

Nie wszystkie pary w stadku Lorenza były jednak złożone z samca i samicy. „Wspólnotę triumfalnego krzyku” stworzyły także dwa samce, Max i Kopfschlitz. Ponieważ u gegawy występuje dymorfizm płciowy – nawet mizernej budowy samiec jest większy i silniejszy niż rosla samica – homoseksualna para wzbudzała respekt w stadzie i trafiła na szczyt drabiny społecznej. Podobnie jak heteroseksualne pary, Max i Kopfschlitz próbowali z sobą spółkować, ale szło im marnie. Oba naraz chciały pokryć drugiego i żaden nie potrafił – lub nie chciał – przyjąć pozycji właściwej dla samicy. Szybko się więc frustrowały i traciły zapał. Jednak korzyści społeczne, które przynosił im nietypowy związek, sprawiały, że trwały przy sobie równie wiernie jak pary złożone z osobników przeciwnej płci.

Po jakimś czasie Lorenz rozdzielił Maksa i Kopfschlitz. Oba samce znalazły sobie partnerki i spłodziły z nimi dzieci – choć nie doszło do tego od razu, tylko po całorocznej żałobie po stracie mężów. Jednak gdy później do miejsca, w którym przebywał Kopfschlitz ze swoją nową rodziną, przeniesiono z powrotem Maksa (bez partnerki i dzieci), Kopfschlitz natychmiast porzucił rodzinę i na nowo stworzył z Maksem „wspólnotę triumfalnego krzyku”. Oba samce spędzały z sobą tyle czasu co kiedyś i urządziły wspólnie demonstrację, a „opuszczona małżonka Kopfschlitz – jak pisze Lorenz w książce „Tak zwane zło” – w umiarkowanej odległości wlokła się smutno za nimi”.

Pojemne pojęcie

Jedna z nowszych publikacji naukowych mówi o przeszło 1500 gatunkach zwierząt, u których zaobserwowano zachowania homoseksualne. Są wśród nich m.in. muszki owocowe, chrząszcze, ślimaki morskie, rybki tropikalne, zaskrońce, albatrosy, pingwiny, zeberki, lwy, owce, małpy i delfiny. To zwierzęta porozrzucane po całym drzewie życia – które miały wspólnych przodków setki milionów lat temu. Mają różną budowę ciała, różną wielkość mózgu, żyją w różnych środowiskach.

Trudno więc traktować zachowania homoseksualne zwierząt jako jedno zjawisko, posiadające wspólny rodowód ewolucyjny. To, co będzie prawdą w odniesieniu do muszek owocowych, nie musi w ogóle pasować do chrząszczy, nie

mówiąc już o ptakach, małpach czy delfinach. U różnych gatunków mogą występować nieco inne tradycje zachowań homoseksualnych, posiadające osobne historie ewolucyjne i kształtowane przez inne presje ekologiczne i społeczne. Mogą za nie także odpowiadać bardzo różne mechanizmy neuronalne.

Samo pojęcie „zachowań homoseksualnych” jest zresztą bardzo pojemne. Współcześnie wyróżnia się kilka aspektów takich zachowań.

Po pierwsze: zaloty. U wielu gatunków wyewoluowały rytuały uwodzenia partnerów. Zdarza się, że zaloty skierowane zostają do osobnika tej samej płci – który może je przyjąć lub odrzucić. Gąsiory z opowieści Lorenza przeszły ten etap – gdy jeden z samców odegrał rytuał triumfalnego krzyku, drugi do niego dołączył, przyjmując w ten sposób te swoje oświadczenia.

Po drugie: kontakt seksualny. Dwa osobniki tej samej płci (zarówno samce, jak i samice) mogą próbować się pokryć – tak jak Max i Kopfschlitz. Osobniki tej samej płci mogą też inicjować inne interakcje cielesne obejmujące genitalia.

Trzecia rzecz to preferencja seksualna. W warunkach laboratoryjnych łatwo zaaranżować odpowiedni eksperyment: wybieramy pojedynczego przedstawiciela danego gatunku (samca lub samice) i dajemy mu możliwość podejścia →

Para lwów sfotografowana w rezerwacie Masai Mara, Kenia, sierpień 2017 r.



→ do jednego z dwóch osobników – tej samej lub innej płci. Czasami dochodzi do wyboru partnera tej samej płci. Max i Kopfschlit z opowieści Lorenza też mieli wybór – i wiemy, czym się to skończyło.

Czwarta kwestia to powstawanie długotrwałych związków – takich jak ten stworzony przez dwa wspomniane gąsiory. Długotrwałe homoseksualne pary są w przyrodzie nieporównywalnie rzadsze niż takie zjawiska, jak wybór doraźnego partnera tej samej płci, homoseksualne zaloty czy kontakt seksualny dwóch samców lub samic.

Czyśś jeszcze innym jest orientacja seksualna, rozumiana jako stabilna preferencja wyboru partnera tej samej lub różnej płci. Biolodzy rezerwują jednak to pojęcie wyłącznie dla ludzi, ponieważ tylko ludzie potrafią opisać czy zidentyfikować swoją orientację.

Z ewolucyjnego punktu widzenia wszystkie zachowania homoseksualne – od zalotów, przez kontakty seksualne, po tworzenie długotrwałego związku – stanowią pewną zagadkę. Tak jak każde inne zachowanie wiążą się przecież z kosztami. Wymagają poniesienia wydatku czasowego i energetycznego na znalezienie partnera tej samej płci. Jednocześnie nie mogą dać korzyści oczywistych dla typowych zachowań seksualnych – czyli rozmnażania się. Dlaczego więc dobór naturalny przymyka oko na taki, wydawałoby się, irracjonalny wydatek? A może zachowania homoseksualne przynoszą jakieś inne, choć mało oczywiste korzyści?

Dwie przyczyny

Każde zachowanie można opisać na dwóch niezależnych poziomach – biolodzy mówią o przyczynach bliższych i ostatecznych (lub ewolucyjnych). Przyczyny bliższe dotyczą mechanizmu zachowania, jego fizjologicznego i neuronalnego podłoża, a także ontogenezy – czyli tego, jak zachowanie wyłania się w trakcie rozwoju osobniczego. Przyczyny ewolucyjne dotyczą funkcji zachowania (jakie korzyści zachowanie przynosi) i jego filogenezy (w jakiej pojawiło się linii ewolucyjnej).

Jeśli zachowania homoseksualne nie spełniają żadnej funkcji adaptacyjnej – czyli nie przynoszą jakichkolwiek korzyści – to ich wyjaśnienie musimy szukać wśród przyczyn bliższych (jak np. wada genetyczna czy rozwojowa). Być może



DENISE APPLEWHITE / PRINCETON UNIVERSITY

Koszty pomyłek u chrząszcza

Tribolium castaneum

są obniżone.

**Samce poprzez kontakty
homoseksualne**

mogą pośrednio
zapładniać samice.

jednak taka funkcja istnieje – tylko po prostu nie jest oczywista.

Możemy się na przykład zastanawiać, czy jakieś istotne doświadczenia życiowe nie wpływają na to, że osobnik zaczyna wykazywać zachowania homoseksualne, a nie heteroseksualne. Być może tak właśnie można wyjaśnić przynajmniej niektóre przypadki zachowań homoseksualnych obserwowanych u zwierząt trzymanyh w niewoli – takich jak słynne pingwiny antarktyczne z nowojorskiego zoo, samce Roy i Silo, które stworzyły długotrwały związek. Nie dochodziło między nimi do kontaktów seksualnych – ograniczały się do zalotów oraz wspólnego wysiadkiwania podrzuconego im jaja, a potem opieki nad przybraną córką. Sprawa nie jest jednak oczywista, ponieważ także u należących do różnych gatunków pingwinów żyjących na wolności zaobserwowano zachowania homoseksualne.

U muszek owocowych dochodzi czasem do homoseksualnych zalotów, a także pokrywania się dwóch samców. Naukowcom udało się powiązać dużą część tych zachowań z mutacjami w kilku genach istotnych dla rozwoju receptorów feromonów. Feromony to ślady zapachowe, pozostawiane przez każdego osobnika, sygnalizujące potencjalnym

partnerom jego obecność lub gotowość do kojarzenia się. Jedną z przyczyn (bliższych) zachowań homoseksualnych samców muszek owocowych jest więc prosta wada genetyczna, pojawiająca się przypadkowo u różnych osobników i skutkująca nieprawidłową identyfikacją płci partnera. Czasami za to „nieporozumienie” może odpowiadać osobnik pasywny – ponieważ w wyniku innej mutacji uwalnia niewłaściwe dla swojej płci feromony, albo bardzo powodzi mu się w miłości – i nosi na sobie jeszcze zapach swoich poprzednich partnerek.

Czasami takie mutacje po prostu obniżają dostosowanie – są kosztem, który poniosą obciążone nimi osobniki (będzie im się trudniej rozmnażać). Można sobie jednak wyobrazić, że nawet takie „pomyłki” mają jakąś wartość adaptacyjną. Na przykład samiec, który (omyłkowo) próbuje pokryć innego samca, nie marnuje całkowicie swojego czasu i zasobów, ponieważ zdobywa doświadczenie. Zaprocentuje ono, gdy wreszcie skojarzy się z samicą. Prawdopodobnie właśnie tak jest u muszek owocowych.

Hodowla pod presją

Identyfikacja płci drugiego osobnika nie jest łatwym zadaniem. Może wymagać rozwiniętych zdolności poznawczych – a to oznacza koszty. Możliwe więc, że dobór nie przejmując się okazjonalnymi pomyłkami (nawet jeśli nie przynoszą one żadnej korzyści), bo osobniki, które czasem się mylą, i tak w końcu trafią szczęśliwie i spłodzą potomstwo. Nie warto więc inwestować w kosztowny system niezawodnej identyfikacji płci. Może się jednak zdarzyć, że taki system zacznie być potrzebny, bo koszty pomyłek gwałtownie wzrosną. Wykazali to w 2018 r. Kris Sales i współpracownicy w eksperymencie ewolucyjnym opisanym w „Animal Behaviour”.

Badacze prowadzili hodowlę dwóch populacji chrząszczy z gatunku *Tribolium castaneum* przez sto pokoleń w dwóch reżimach: ze stałą, znaczną przewagą samców lub samic, w stosunku 9:1. Te proporcje były utrzymywane w każdym pokoleniu.

W pierwszej z tych populacji – tej z przewagą samców – występowała między nimi ogromna konkurencja. Pojawiała się też presja selekcyjna na właściwą identyfikację płci partnera, ponieważ gdyby samce wybierały zupełnie przypadkowo,

najczęściej kończyłoby się to kontaktami homoseksualnymi. W drugiej populacji samice miały olbrzymią przewagę liczebną, więc nawet przypadkowe wybory partnera przez samców najczęściej prowadziły do kontaktów z samicami. W tej grupie konkurencja między samcami była minimalna.

Po stu pokoleniach sprawdzono, jak często pochodzące z obu populacji samce wybierać będą partnera tej samej płci – dawano im po prostu możliwość podejścia do innego samca lub innej samicy. Samce z pierwszej populacji najczęściej wybierały samice. Osobniki z drugiej populacji wybierały niemal losowo.

Gdyby zachowania homoseksualne przynosiły samcom jakieś istotne korzyści, to silna konkurencja między nimi doprowadziłaby do tego, że samce z pierwszej populacji po stu pokoleniach wybierałyby znacznie częściej innych samców, a nie samice. Wyniki eksperymentu sugerują więc, że w normalnych warunkach – czyli w populacji zbalansowanej płciowo – u tego chrząszcza zachowania homoseksualne biorą się z pomyłki w identyfikacji płci partnera. Lepszy system identyfikacji stanie się konieczny (da wysoką stopę zwrotu w postaci spłodzonego potomstwa) dopiero wtedy, gdy sztucznie podkreślimy koszty pomyłek (utrzymując w grupie wielu samców i niewiele samic).

Koszty pomyłek u tego chrząszcza w naturalnych warunkach obniżane są dzięki jeszcze jednemu ciekawemu zjawisku. Otóż samce poprzez kontakty homoseksualne mogą pośrednio przekazywać swoje nasienie samicom. Jeśli samiec pokryje innego samca, to złoży w nim lub na nim swoje nasienie. Gdy tak „obdarowany” samiec spółkować będzie potem już z samicą, to razem ze swoimi plemnikami może jej także przekazać plemniki samca, który go wcześniej pokrył. Badania wskazują, że niewielki odsetek potomstwa samicy może zostać spłodzony właśnie w ten sposób.

Szarańcza i bizony

Konkurencja między samcami może odpowiadać za występowanie zachowań homoseksualnych u innych gatunków. Istnieją dowody na to, że u pewnego gatunku muchy (*Hydromyza livens*) samiec, który pokrywa innego samca – robiąc to zresztą wyraźnie wbrew jego woli – po prostu działa na niekorzyść kon-

kurencji, ponieważ pokryty samiec ma mniejsze szanse na znalezienie partnerki. Podobne zjawisko występuje u szarańczy pustynnej.

Istnieją sprzeczne doniesienia na temat funkcji zachowań homoseksualnych u bizonów amerykańskich. Niektórzy badacze dawniej sugerowali, że samiec, który pokrywa innego samca, wyraża w ten sposób swoją dominującą pozycję w stadzie. Nowsze obserwacje, opisane przez Hilde Vervaecke i współpracowników w 2006 r., nie potwierdziły takiej hipotezy. Zgromadzone dane sugerowały za to, że zachowania homoseksualne u bizonów mogą prowadzić do zacieśniania więzi między samcami – co przekłada się na ich lepszą ochronę przed drapieżnikami. W dodatku angażowały się w nie głównie osobniki młode – być może zdobywały w ten sposób doświadczenie.

U zwierząt żyjących w stadach zachowania seksualne nie służą wyłącznie reprodukcji. Podobnie więź, która połączyła Maksa i Kopfschlitza, przypominała raczej sojusz niż małżeństwo, ponieważ wspólnie rywalizowali oni z innymi parami o terytorium i zasoby. Współcześnie podkreśla się więc, że interakcje homoseksualne są przejawem zachowań społeczno-seksualnych – a nie wyłącznie seksualnych. Ten społeczny aspekt wyjaśnia, dlaczego dobór naturalny nie eliminuje takich zachowań.

Oczywiście, trwały monogamiczny homoseksualny związek nie jest dobrą strategią z ewolucyjnego punktu widzenia – ponieważ osobnikom wreszcie przyjdzie ponieść koszt związany z brakiem reprodukcji. Strategia ta nie może więc zdominować w populacjach strategii łączenia się w heteroseksualne pary. Ale jeśli jakieś zachowania homoseksualne sprzyjają formowaniu się sojuszy między osobnikami tej samej płci – którzy także mają partnerów płci przeciwnej i płodzą dzieci – to dobór naturalny może takie zachowania promować.

Gangi delfinów

Wszystko wskazuje na to, że jest tak u delfinów butlonosów, żyjących w grupach o złożonej strukturze społecznej. U samców nawet połowa wszystkich interakcji seksualnych obejmuje partnerów tej samej płci. Do repertuaru tych zachowań należą m.in. pokrywanie się, pocieranie się genitaliami czy tzw. *goosing*, czyli swoista inspekcja stanu genita-

liów drugiego osobnika (dokonywana pyskiem).

Częściowo za zachowania te odpowiada czynnik znany nam już z innych gatunków, czyli zdobywanie doświadczenia. Zachowania homoseksualne mogą też rozładowywać napięcia panujące w grupach złożonych wyłącznie z samców. Jednak kluczową rolę wydaje się odgrywać formowanie koalicji, będących podstawą rozmaitych form kooperacji u samców – ukierunkowanych zarówno na zdobywanie żywności, jak i na zdobywanie partnerek. Zdarza się na przykład, że grupa kilku samców współpracuje, by odizolować, osaczyć i zmusić do spółkowania z nimi płodną samicę. Ze społecznego punktu widzenia kontakty homoseksualne pełnią u butlonosów podobną rolę jak iskanie się u małp – które także służy rozładowaniu napięć i formowaniu koalicji.

Zawierane przez samców butlonosów sojusze mogą trwać nawet przez całe życie. U samic zachowania homoseksualne są znacznie rzadsze. Żyją one raczej w rodzinnych grupach, z natury bardziej spójnych i kooperatywnych. Samce częściej przebywają w towarzystwie przyjaciół, a nie krewnych.

Niewykluczone również, że zachowania homoseksualne u delfinów odgrywają jakąś rolę w godzeniu się po walce. Podobnie jest zresztą u bonobo – które, jak wiadomo, także angażują się w wiele czynności o charakterze społeczno-seksualnym, w tym w jednopłciowych konfiguracjach. Spełniają one wiele funkcji: rozładowują napięcia, podtrzymują więzi i ułatwiają pojednanie. Jedną z ważniejszych konsekwencji, jaka wiąże się z takim właśnie sposobem życia tych rozerotyzowanych małp, jest brak przypadków dzieciobójstwa. Nie wiemy, co jest tutaj przyczyną, a co skutkiem z ewolucyjnego punktu widzenia, ale sam fakt jest znaczący. U szympanсів zwyczajnych, u których zachowania homoseksualne są znacznie rzadsze, dzieciobójstwo jest częstym zjawiskiem i stanowi wysoki koszt dla matek.

Zwierzęta w swoich niszach ekologicznych i stadach stają więc przed rozmaitymi wyzwaniami i problemami. Natura jest pomysłowa: niektóre z nich rozwiązuje przy pomocy zachowań homoseksualnych. Ale część tych zachowań to po prostu mało kosztowne pomyłki.

© © ŁUKASZ KWIATEK

REKA, KTÓRA RYSUJE

MARTA FREJ, MALARKA, ILUSTRATORKA:

Patriarchat dzieli kobiety
na dwa rodzaje: świętą i dziwkę.
Sprowadza do ról, które są absolutnie rozłączne.

MAŁGORZATA NOCŮN: „Jestem silna, bo...”. Poprosiła Pani kobiety, żeby dokończyły to zdanie. Odpisały, że są silne, bo opuściły przemocowego partnera albo odeszły z toksycznej pracy.

MARTA FREJ: Dzięki temu projektowi dowiedziałam się, że przeżycie traumy może dać nam poczucie siły. Jeśli mamy łatwe i przyjemne życie, to raczej nie uświadamiamy sobie naszej siły. Nie znamy swoich możliwości, zasobów i ograniczeń. Przeżywanie trudności nas uświadamia, łatwiej dokończyć to zdanie.

Powiedzenie codziennie, do samej siebie: „Jestem silna/silny, bo...” nic nie kosztuje i nie jest trudne. To rodzaj treningu, podobny do tego na siłowni, gdzie ćwiczymy mięśnie i stawy; tutaj trenujemy umysł, uczymy się myślenia o sobie w kategoriach osoby sprawczej, silnej, radzącej sobie. Ważne jest szukanie powodu do zadowolenia z siebie, dawanie sobie codziennie szansy. Nie ma ludzi, którzy są silni bezustannie. Dlatego można szukać tej siły wszędzie, nawet w słabości. Zauważyłam, że kobiety często nie potrafią mówić o sobie dobrze. Nawet w sferze werbalnej czują się lepiej w pozycji ofiary.

Z tak trudnych przeżyć jak te, którymi podzielili się bohaterki Pani memów, trudno się podnieść.

Ogłosiłam ten projekt i po tygodniu na mojej skrzynce mailowej znalazło się około tysiąca wiadomości. I wciąż przychodzą. Moje bohaterki chcą opowiedzieć o sobie, być wysłuchane, podzielić się swoją historią, pokazać innym, że zmiana jest możliwa. Skala nieszczęść, przemocy domowej, przemocy ze względu na płeć jest w naszym kraju przerażająca. Zgłoszenie gwałtu policji można często porównać z powtórnym gwałtem; policja i polskie prawo traktują kobiety w sposób przemocowy: brak procedur, przeszkolenia. Kobiety nie mają przestrzeni i miejsca, żeby o tych doświadczeniach opowiadać, żeby się nimi dzielić. W głowach wielu ludzi przemoc domowa wciąż wiąże się z patologią, a pierwszą reakcją na gwałt jest: „pewnie sama się prosiła”. ➔

MARTA FREJ jest malarką i ilustratorką, prezeską fundacji Kulturoholizm. Laureatka nagrody Okulary Równości 2015, przyznawanej przez Fundację im. Izabeli Jarugi-Nowackiej, w kategorii prawa kobiet i przeciwdziałanie dyskryminacji z powodu płci. Opublikowała „Memy i grafy” (z Agnieszką Graff), zilustrowała książkę „Brakująca połowa dziejów” Anny Kowalczyk.





→ To dla mnie trudny projekt, robię sobie od niego przerwy. Nie mam możliwości udzielenia tym kobietom pomocy, mogę jedynie je narysować. Częściej wybieram historie mocne, traumatyczne. Uważam, że tym bohaterkom wyjątkowo potrzebny jest mój rysunek. One się z tego cieszą, są dumne. Siłę, sprawczość czerpią ze zmiany. Zaczęły nowe życie. Gdyby tkwiły w tamtych strasznych emocjach, nie wysyłałyby do mnie wiadomości, nie miałyby do tego przestrzeni.

Piszą do mnie kobiety, które zdecydowały się powiedzieć „dość” po wielu, czasem kilkudziesięciu latach toksycznej re-

lacji, i młode dziewczyny, które wyciągnęły mamę z takiej relacji. Dostają wiadomości od kobiet, które doświadczyły przemocy seksualnej w dzieciństwie. Piszą też ofiary przemocy fizycznej, psychicznej i ekonomicznej, niektóre z nich musiały uciec przed dręczycielami za granicę. Piszą kobiety molestowane przez szefów czy kolegów z pracy.

Zanim ten projekt wymyśliłam, sama byłam swoją główną bohaterką. W końcu zdecydowałam się przekazać głos innym kobietom, dowiedzieć się, jak wygląda świat z ich perspektywy, bo chciałam odnaleźć wspólne doświadczanie bycia ko-

bietą. Udało się i wbrew pozorom to bardzo krzepiące.

Na Pani rysunkach znajdują się kobiety, które wystawiły swoje zdjęcie i jego opis.

Sprowadziłam się do roli przekaźnika, ręki, która rysuje. Przytaczam słowa przysłane przez daną bohaterkę. Nie koryguję błędów, choć czasem te zdania są kanciate, nie brzmią zbyt literacko. Uważam, że pisane są z emocją i ta emocja powinna w nich pozostać. Dlatego pewnie ten projekt budzi dużo kontrowersji. Nie spodziewałam się jednak, że spowoduje tak

żywiłowe komentarze w mediach społecznościowych.

Gdzie tu miejsce na kontrowersje?

Przez te rysunki przemawiają wyłączenie pozytywne emocje, jest w nich siła kobiet, które miały odwagę coś w swoim życiu zmienić.

Ja także zakładałam, że moje memy nie mogą nikogo urazić, ale okazało się inaczej. Po pierwsze, mężczyźni – nigdy pretensji nie formułowały kobiety – zarzucają tym rysunkom kult siły. Może nawet trochę to przewidziałam, ponieważ od początku podskórnie towarzyszyło mi pytanie, czy w Polsce kobieta może w ogóle zaczynać zdanie od: „Jestem silna, bo...”. Do niedawna siła w kulturze męskiej była utożsamiana wyłącznie z mężczyznami i miała konkretny obraz: facet superbohater albo typ Hemingwaya ze strzelbą. Byłam ciekawa, czy zdanie: „Jestem silna, bo...”, wypowiedziane przez kobietę, wzbudzi społeczną aprobatę. I okazało się, że nie wszyscy uważają, że kobieta może uważać się za silną. Nie wszyscy sobie z tym radzą.

A kobiety?

Niektóre odczytały te memy jednostronnie. Jeśli któraś z bohaterek mówi: „Jestem silna, bo jestem singielką”, znaczy to dla nich: „Ty jesteś słaba, ponieważ jesteś mężatką”. Wiele kobiet odebrało te rysunki jak atak skierowany w ich stronę, są bowiem inne niż pani z obrazka. Smuci mnie, bo to przewrażliwienie świadczy o braku pewności siebie i niskiej samoocenie.

Chcę pokazać, że siła jest naszym indywidualnym wyborem. Jej źródłem może być wszystko. Kiedy mówię, że jestem silna, ponieważ wychowałam samotnie dziecko, to nie znaczy, że ci, którzy wychowali je w parze, są moim zdaniem słabi. Kontrowersje budziły także memy odnoszące się do konkretnych tematów. Na jednym z nich była kobieta karmiąca dzieci dwiema piersiami. W mojej opinii był to taki sielski, piękny obrazek, w stylu Wyspiańskiego, ale wzbudził gigantyczną dyskusję i oburzenie. Jego bohaterkę oskarżono nawet o pedofilię. Nie wiem, co mogło tu wydać się kontrowersyjne. Naprawdę nie wiem...

Niekiedy o odbiorze decydują szczegóły. Na przykład postawa. Jeśli kobieta jest wyprostowana, patrzy w oczy, stoi mocno, w pozycji zdobywczyni, to już bu-

Polityczki i politycy
chętnie udostępniają
moje prace, kiedy im
z nimi po drodze.

Duchowni jak dotąd nie.

dzi niepokój. Taka kobieta nie jest dobrze odbierana w Polsce, nie budzi sympatii.

A jaka budzi sympatię?

Patriarchat dzieli kobiety na dwa rodzaje: świętą i dziwkę. Sprowadza kobiety do dwóch ról, które są absolutnie rozłączne. Albo jest się opiekuńczą żoną i matką – wtedy nie można otwarcie mówić o wielu swoich potrzebach, „wyzwając” się ubierać i zachowywać, stawiać na rozwój zawodowy, domagać się równego podziału obowiązków domowych, wiążących się z wychowaniem dzieci. Nie można po prostu być samodzielną, bo otrzymuje się etykietę dziwki, roszczeniowej egoistki. Kobiety pewne siebie, pracujące, feministki są zawsze „podejrzane”. Dotyczy to oczywiście kobiet młodych, bo kobiety dojrzałe stają się dla patriarchy niewidzialne.

Nie obawia się Pani, że niektóre kobiety nie są w stanie podjąć wyzwań, do których nakłaniają Pani rysunki? Albo takiej decyzji pożałują?

W życiu i twórczości opieram się tylko na własnych doświadczeniach. Nigdy nie żałowałam tego, że podejmowałam wyzwania, nawet jeśli nie osiągnęłam zamierzonych celów. Do dziś za to pamiętam każdą rezygnację, każde zaniechanie, którego powodem był lęk i niewiara w to, że sobie poradzę.

Ten projekt nie nakłania do jakichś konkretnych postaw, tylko pokazuje, że każda z nich może być źródłem siły, jeśli jesteśmy jej świadome. „Jestem silna, bo znam swoje ograniczenia”, „Jestem silna, bo ukochołam słabości” – to słowa moich bohaterek. Po roku trwania projektu dochodzę do wniosku, że chodzi w nim o szczerość w byciu z sobą i świadomość siebie, które – owszem – mogą być trudne i bolesne, ale są tego warte. Wierzę w to.

Czy tę siłę pierwotnie znalazła Pani w sobie? Pani historia też nie jest

łatwa: rozpad związku, decyzja o samodzielnym wychowywaniu dziecka.

Tak. Poczułam się silna, kiedy trudne doświadczenia stały się moim udziałem. Dzięki tym przeżyciom zobaczyłam pewne mechanizmy rządzące światem, bo okazało się, że takich kobiet jak ja są tysiące... Poznałam patriarchalny porządek, podwójne standardy i seksizm zarówno w rodzinie, jak i w pracy. Nie zgodziłam się na to. Nie dałam sobie wmówić, że to ze mną jest coś nie tak, nie przysięgałam do wiadomości, że powinnam się dostosować i grać w tę niesprawiedliwą grę. Ta świadomość daje siłę. Teraz mam wsparcie od dwóch wspaniałych facetów – mojego partnera Tomka i syna Maćka, oraz pracę, którą stworzyłam sobie sama i w której jestem swoim jedynym szefem.

Jest w Pani dużo autoironii i śmiechu, ale jest i miejsce na ponure myśli.

Miewam emocjonalną huśtawkę. Bliższe są mi dwa stany: silne przygnębienie albo bycie pełną energii i optymizmu. Rzadko coś pośrodku. Próbuje oddzielić to, co wydaje mi się na mój temat, od tego, kim naprawdę jestem, czego naprawdę chcę – i nie jest to proste.

Nie ujawniam wszystkiego. Jest jakaś duża część mnie, która pozostaje ciemna, jest tam dużo smutku, bólu i lęków. Ironię, humorem próbuję sobie z tym radzić. Nie mam innego pomysłu, jak walczyć z tym swoim „cieniem”, mogę go tylko obśmiać. Gdy coś mnie uwiera, gdy się czegoś boję, wstydę, mam z czymś problem, próbuję to „oświecić”, podzielić się tym. Nie lubię sentymentalizmu ani dramatyzowania, więc po prostu ubieram to w żart. Tę taktykę wyniosłam z rodzinnego domu, moja mama w ten właśnie sposób mówiła o sobie, posługiwała się żartem i ironią.

Czy dostaje Pani sygnały od osób, których dotyczą Pani memy, na przykład kogoś ze świata polityki, duchowieństwa?

Polityczki i politycy chętnie udostępniają moje prace, kiedy im z nimi po drodze. Duchowni jak dotąd nie... Czasem zdarza się hejt, ale dosłownie na palcach jednej ręki mogę policzyć ten naprawdę ostry. Być może jest to spowodowane tym, że hejterom nie daję paliwa. Nie pozwałam się sprowokować. Koncentruję się na tym, żeby poglądy wyrażać w formie →

→ rysunkowej, ale nie dyskutuję z hejterami, bo z nimi dyskutować się nie da.

Dostaje Pani na pewno dużo podziękowań.

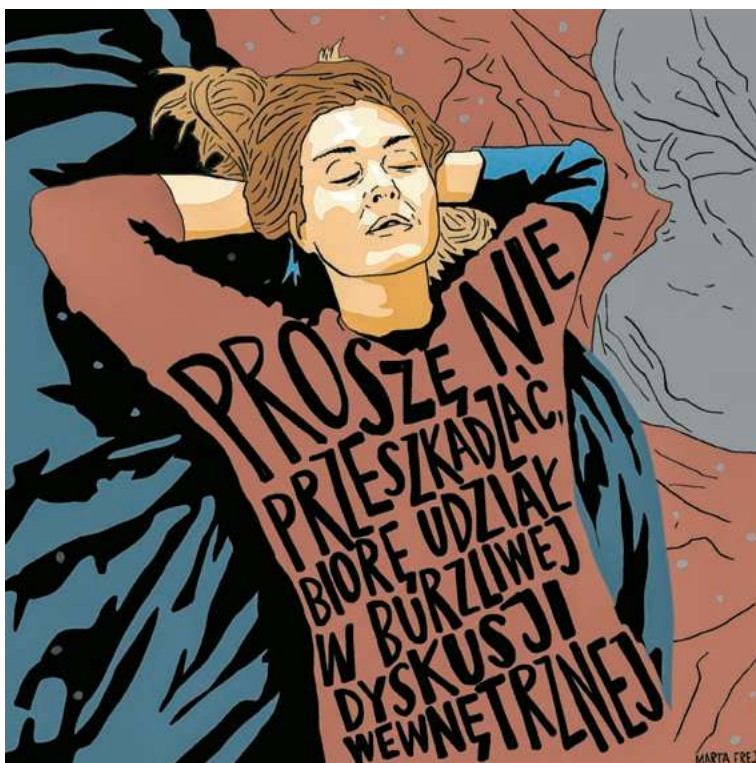
Tak. Otrzymałam dużo ciepłych słów, świadectw, że moje rysowanie działa i daje kobietom siłę. W jakiś sposób je jednoczy, pozwala im poczuć, że są sprawcze i że nie są same. To jest fantastyczne. Bardzo często mówią, że dzięki mojemu rysunkowi coś zrobiły, rysunek dał im energię, pomógł podjąć decyzję. Pewnie dzięki tym wiadomościom wciąż robię to, co robię. Określiłam się już na początku swojej pracy rysowniczką. Podejmowałam społeczne tematy. Teraz koncentruję się przede wszystkim na sytuacji kobiet i na walce o nasze prawa.

Czy mężczyznom zdarzało się za coś Pani podziękować?

Na moim fanpejdżu coraz więcej mężczyzn zabiera głos jako feminiści. Nawet jeśli tak się nie definiują, choć wielu z nich pisze o sobie wprost: – „Jestem feministą”. To zmiana, bo dawniej w roli komentatorek występowały praktycznie wyłącznie kobiety. Mężczyźni przywykli do świata, w którym problemy kobiet zamiatane pod dywan i wyciąga tylko w sytuacjach politycznie dogodnych. Widzę, że to się zmienia.

Ma Pani lewicowe poglądy, ale nie zaangażowała się Pani w życie polityczne. Bardzo lubię ten mem, na którym matka podaje córce na tyżeczce witaminy i mówi: „Pij witaminy, byś miała siłę obalać rządy, kiedy dorośniesz”.

Szczerze? Chciałabym się opowiedzieć jednoznacznie po jakiejś stronie sporu politycznego. Znaleźć jakąś reprezentację polityczną, której zaufam i która mnie uwiedzie. Mam lewicowe poglądy i sprzyjam lewicy, natomiast trudno mi znaleźć lidera czy liderkę, któremu, której bym



Marta Frej, autoportret

zaufała. Niestety ideowość w polityce nie przekłada się na skuteczność.

W różnym czasie z różnych ugrupowań politycznych otrzymałam propozycje zaangażowania się. Jestem przekonana, że gdybym uległa, to straciłabym właśnie ideowość i bezkompromisowość, one się po prostu nie sprawdzają w polityce. Może to się kiedyś zmieni...

Czy długo jeszcze kobieta w Polsce będzie niepełnowartościową obywatelką?

Lubię patrzeć w przeszłość, w historię. Kiedy jej się przyglądamy, zdajemy sobie sprawę, że raptem od stu lat kobiety w Polsce mają prawa wyborcze. Od stu pięćdziesięciu mogą studiować. Od niecałych dwustu mogą pracować bez zgody męża. W skali historii dwieście lat to nie jest długi okres. Przez tysiące lat byłyśmy podłudźmi, dojście do sytuacji absolutnej równości szans musi trochę potrwać. Muszą też zaistnieć sprzyjające okoliczności, a populistyczne partie, które doszły do głosu w Polsce i na świecie, temu nie sprzyjają.

Staram się mówić sobie: trzeba być cierpliwą, idziemy do przodu. Wykorzystujemy swoje szanse – kobiety są świetnie wykształcone, zdobywają świat. Coraz więcej z nas wybiera życie w pojedynkę i poświęcenie kariery, bo może, ma taką szansę i coraz większe przyzwolenie spo-

łeczne. Mamy wybór, przynajmniej niektóre z nas. Staram się być optymistką. Z drugiej strony oczywiście dostrzegam nierówność i niesprawiedliwość. To pozwala mi nie ustawać w walce.

Kiedy wspomina Pani syna, partnera, rodziców, to widać, że więzi rodzinne są dla Pani ważne, ale jednocześnie opowiada się Pani przeciwko patriachatowi.

Rodzina zawsze była dla mnie ważna, przez cztery lata wychowywałam syna nie pracując zawodowo. Teraz już nie wiem, czy do końca była to moja decyzja, ale jako młoda mama chętnie zostawałam z synem w domu. Uważałam, że to jest priorytet, bo mój syn jest najważniejszy. To był bardzo piękny okres w moim życiu, nie przejmowałam się, jak potoczy się moja kariera zawodowa, ale teraz, kiedy otwieram list z ZUS-u z prognozą mojej emerytury, mogę tylko się śmiać. Moje wybory doprowadziły do tego, że wiele zawodowo straciłam.

Wspaniale jest wychowywać dzieci i poświęcać im czas. Kobieta często poświęca swoją pracę zawodową z własnej woli, chce tego, odnajduje się w tym. Ale ważne jest, by kobieta, która postanawia dokonać takiego wyboru, była świadoma konsekwencji, bo rynek pracy jest bezlitosny, a rozwiązania systemowe nie chro-

**RADIO
KRAKÓW**

Co wtorek o godz. 14.30
na antenie Radia

Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika
Powszechnego”.

Słuchaj nas w Małopolsce:

Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM

Krynica Zdrój – 102,1 FM

Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM

Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM

Gorlice – 97,4 FM | www.radiokrakow.pl

nią Matek Polek, że o Babkach Polkach już nie wspomnę.

Kobiety po sześćdziesiątym roku życia są w naszym kraju grupą najbardziej narażoną na ubóstwo. Kobiety po pięćdziesiątce są „niewidzialne” na rynku pracy.

Z drugiej strony jesteśmy wciąż wychowywane według wzorca, który mówi, że kobieta jest stworzona do tego, by się poświęcać i opiekować innymi. Przecież to nie jest przypadek, że najczęściej opiekunkami dzieci niepełnosprawnych są ich matki, a nie ojcowie. Mało o tym rozmawiamy, bo to nie pasuje do opowieści o polskiej rodzinie. A tych rodzin z patriarchalnej narracji jest w Polsce coraz mniej. Czas na przededefiniowanie tego słowa. Rodzina to przede wszystkim ludzie, którzy się kochają, ale też ciągła praca na rzecz uważności względem drugiej osoby. O byciu rodziną nie decydują więzy krwi czy płeć, tylko relacje.

Ma Pani syna; myślała Pani kiedyś, jak wychowywałaby córkę?

Zawsze chciałam mieć córkę, zastanawiałam się nad tym niejednokrotnie. I doszłam do wniosku, że wychowywałabym ją dokładnie tak samo jak syna. Uważam, że kobiety i mężczyźni są do siebie podobni, poza kilkoma różnicami fizycznymi. Kształtuje nas socjalizacja i płeć kulturowa. Nigdy nie miałam poczucia, że Maćka muszę w jakiś specjalny sposób wychować, ponieważ jest chłopcem. Nigdy nie czułam, że on jest inny ode mnie, ponieważ ja jestem kobietą. Nigdy nie używałam zwrotów, że chłopiec „coś musi, bo jest chłopcem”, „że tak robi dziewczynka, a chłopiec tak robić nie powinien”.

Kiedy Maciek się urodził, dostałam od koleżanki malutkie ubranka, noszone wcześniej przez trójkę jej dzieci. Pierwsze z nich było dziewczynką. Te śpioszki były we wszystkich kolorach i wzorach: różowe w stokrotki, żółte w kaczuszki. Podczas spaceru Maćka w różowych śpiórkach ze stokrotkami brano za dziewczynkę. Później jako chłopczyk miał długie włosy i też mówiono: „O, jaka ładna dziewczynka”. I też nigdy mi to nie przeszkadzało. Kiedy jemu zaczęło przeszkadzać, obciąłam mu włosy. Dziś Maciek zwraca mi uwagę, kiedy zdarza mi się palić jakąś seksistowską uwagę, na przykład: „A bo ci faceci...”. Od razu krzyczy: „Ja, ale seksizm mam!”.

© Rozmawiała MAŁGORZATA NOCUN

Prorok z Czarnej Mekki

JAN BŁASZCZAK

Z taką samą serdecznością i empatią rozmawia z członkami gangów, jak z białymi mieszkankami domu spokojnej starości.

Z WYKŁE JEGO GŁOS JEST PEWNY I UDE-
rza z siłą huraganu. Kiedy jednak nakłaniał mieszkańców Atlanty, by zamiast palić swój dom, organizowali się i próbowali wypalić rasistowski system, głos łamał mu się od nadmiaru emocji. Spontaniczna przemowa rapera i aktywisty Killer Mike’a została przyjęta równie gorąco, jak nowa płyta jego zespołu Run The Jewels. „RTJ4” okrzyknięto już prawdziwą, choć niezamierzoną ścieżką dźwiękową trwających w USA rozruchów.

Nie podpalaj swojego domu

Początkowo Killer Mike nie planował zabierać głosu podczas konferencji zorganizowanej przez burmistrz Atlanty Keishę Lance Bottoms w obliczu masowych protestów, które wybuchły w całym kraju w odpowiedzi na śmierć czarnoskórego George’a Floyda z rąk policjanta. Jak twierdzi muzyk, znalazł się tam tylko dlatego, że zaproszenie od lokalnej polityczki przyjął jego przyjaciel raper T.I., z którym spędzał akurat dzień.

Zaniepokojona możliwością przekształcenia się protestów w krwawe zamieszki Keisha Bottoms poprosiła związanych z miastem afroamerykańskich muzyków o pomoc w złagodzeniu napięcia. Zadzwoiła do raperów, którzy nie tylko cieszą się dużą popularnością, ale także wchodzą w skład powołanego przez burmistrz ciała doradczego, w którym zasiadają obok m.in. dyrektorów generalnych Delta Airlines i UPS.

Zdruzgotany Killer Mike przemawiał łamiącym się głosem, ale jego przekaz był jasny i błyskawicznie oblał amerykańskie media. – Jestem zobowiązany, by powiedzieć jedynie, że waszym obowiązkiem jest nie podpalać swojego domu pod wpływem gniewu na waszego wroga – przekonywał. – Waszym obowiązkiem jest

umacniać ten dom, by mógł służyć jako schronienie w czasach, kiedy będziemy się organizować.

W dalszej części przemowy zwracał uwagę na to, jak wiele udało się osiągnąć Afroamerykanom w Atlantcie i jak góruje ona pod tym względem nad innymi metropoliami USA. A przecież ten sukces nie był oczywisty. Z Atlanty pochodził nie tylko Martin Luther King, ale i przywódca Konfederatów, w tym wiceprezydent Alexander Stephens, który głosił, że podległość czarnej rasy stanowi podstawę porządku, na którym opiera się amerykańskie Państwo.

– Nie chcemy patrzeć, jak płoną kolejne sklepy sieci Target – kontynuował raper. – Chcemy, aby do gruntu spłonął system, który ustanawia zinstytucjonalizowany rasizm.

Dziś wiemy, że jego przemowa pomogła jedynie odsunąć zamieszki w czasie. Dwa tygodnie później pod lokalną restauracją policjant zastrzelił młodego Afroamerykanina Raysharda Brooksa. Protestujący sięgnęli po ogień.

Czarna Mekka

Od lat 70. minionego wieku Atlanta nazywana jest Czarną Mekką – miastem, które daje Afroamerykanom największe szanse na dostatnie życie. Wynika to z wielu czynników: liczby prowadzonych przez czarnych mieszkańców szkół i instytucji, ich odsetka wśród przedsiębiorców i przedstawicieli klasy średniej czy skali ich wpływów na lokalną politykę. Czarnoskóra burmistrz Bottoms nikogo tu nie ekscytuje – Atlanta jest zarządzana przez afroamerykańskich polityków od niemal pół wieku. Wyrasta również na stolicę czarnej popkultury. Tu rozgrywał się nagrodzony Oscarem „Moonlight” Barry’ego Jenkinsa, a także – jak nietrudno zgadnąć – serial „Atlanta”. Z Georgią związanych jest wielu →



Raper Killer Mike podczas konferencji prasowej zorganizowanej przez burmistrz Atlanty, 29 maja 2020 r.

→ raperów i twórców trapu, którzy popularnością biją dziś największe gwiazdy popu. Z Atlanty lub jej okolic pochodzą Gucci Mane, Future, Young Thug czy zespół Migos.

Urodzony w 1975 r. w Atlancie Killer Mike, czyli Michael Santiago Render, należy do starszego pokolenia raperów, którzy stworzyli brzmienie *dirty South* i wprowadzili je na światowe sceny. Najśłynniejszym jego reprezentantem był duet OutKast, którego przeboje gościły nawet w imprezowanych na hip-hop polskich rozgłośniach i telewizyjnych kanałach muzycznych. Na płycie tego zespołu „Stankonia” (2000) świat po raz pierwszy usłyszał Killer Mike’a.

Jego solowe dokonania nie spotykały się już z takim odbiorem. Długo był po prostu kolejnym reprezentantem stylu *dirty South*, który utwory o dziewczynach, używkach i dobrej zabawie równoważył tymi o ciemnej stronie ulicznego życia. I choć z płyty na płytę coraz poważniej traktował wątki polityczno-społeczne, nie bez przyczyny dla większości odbiorców pozostawał tym gościem, który rapował na „Stankonii”.

Cola od gangstera

Wydane w 2012 r. „R.A.P. Music” stanowiło nie tylko kulminację politycznych zainteresowań Killer Mike’a, ale też prze-

łom w jego karierze. Krytycy wychwalali płytę za świetną produkcję autorstwa El-P, ale przede wszystkim za odważne i przenikliwe sądy zawarte w tekstach. Najmniej zaskoczyły one zapewne mieszkańców Atlanty, którzy widzieli na co dzień, jak raper odkrywa w sobie aktywność i lokalnego przedsiębiorcę. Atakował nie tylko polityków w Białym Domu, ale także społeczność afroamerykańską, która nierozsądnie inwestuje swoje pieniądze. Raper przyznawał, że winą leży m.in. po stronie czarnych muzyków, którzy promują konsumpcyjny styl życia lub – co gorsza – mitologizują działalność gangów.

Render postanowił dać dobry przykład, inwestując w lokalną gastronomię i sieć zakładów fryzjerskich. Znaczenie tych ostatnich jako miejsc spotkań i wymiany poglądów dla biedniejszych dzielnic jest jego zdaniem trudne do przecenienia. Killer Mike prowadzi obecnie dwa takie miejsca w Atlancie. Do podobnych inicjatyw zachęca widzów mini-seriału dokumentalnego „Killer Mike: Prawda prosto w twarz”.

Wyprodukowany przez Netfliksa program swoją siłę czerpie z dwóch źródeł. Po pierwsze z osobowości prowadzącego: potężny Killer Mike z taką samą serdecznością i empatią rozmawia z członkami gangów, jak z białymi mieszkań-

kami domu spokojnej starości. Po drugie – z błyskotliwości, która objawia się w niecodziennym spojrzeniu na amerykańską codzienność.

Już w pierwszym odcinku Killer Mike twórczo interpretuje wers poetki Nikki Giovanni („Czarna miłość to czarne bogactwo”) i próbuje przez trzy dni kupować jedynie produkty wyprodukowane przez firmy, których właścicielami są czarni Amerykanie. W innym zastanawia się, dlaczego motocyklowy gang Hell’s Angels zarabia na swoim wizerunku, a czarne grupy Crips czy Bloods nie dyskontują w oficjalny sposób swojej popularności. Namawia więc ich członków do legalnej działalności poprzez wprowadzenie na rynek napojów gazowanych Crip-a-Cola i Blood Pop.

W ten sposób pokazuje istniejące w USA nierówności w nieszablony, czasem zwariowany sposób. Nie zawsze mu się to udaje – w niektórych odcinkach interesujący na papierze pomysł w praktyce okazuje się żartem bez puenty.

Komiksowi prorocy

Operatorzy programu „Killer Mike: Prawda prosto w twarz” nie byli pierwszymi, którzy weszli do jego zakładu fryzjerskiego z kamerami. W 2015 r. jego gościem był startujący w wyborach prezydenckich Bernie Sanders. Raper i senator

poruszyli temat darmowej służby zdrowia, sprawiedliwości społecznej czy niskiej frekwencji wśród afroamerykańskich wyborców. Blisko godzinna rozmowa, którą obejrzało niemal milion internautów, mimo różnicy wieku i pochodzenia uczestników okazała się bardziej merytoryczna niż większość telewizyjnych wywiadów z kandydatami. Od tego czasu senatora z Vermontu i rapera z Georgii łączy przyjaźń. Killer Mike agitował na rzecz Sandersa w tegorocznych wyborach, a polityk zapowiadał zespół Run The Jewels podczas festiwalu Coachella w 2016 r.

No właśnie – to nie serial na Netfliksie, znajomości z politykami czy progresywnymi demokratami dają Killer Mike'owi największą platformę do głoszenia swoich poglądów. Od 2013 r. zapewnia mu ją zespół Run The Jewels, który założył z weteranem nowojorskiej sceny, producentem, a także raperem i wydawcą El-P. Międzynarodowy sukces, który błyskawicznie stał się ich udziałem, bierze się z nieszablonowych, a przy tym wypełnionych punkową energią produkcji El-P, jak i odpowiadającego im języka.

W zależności od medium, które wykorzystuje, Render brzmi niczym organizator-strateg z zarządu NAACP (Krajowego Stowarzyszenia na rzecz Popierania Ludności Kolorowej), przepełniony empatią pastor-pacyfista czy – jak w przypadku Run The Jewels – pewny swego radykał w stylu Hueya Newtona czy Amiri Baraki. W zamykającym tegoroczną płytę utworze „A Few Words for the Firing Squad (Radiation)” raper cytuję zresztą

Raper atakował nie tylko polityków w Białym Domu,
ale także społeczność afroamerykańską, która nierozsądnie rozporządza swoimi pieniędzmi.
Sam zainwestował w lokalną gastronomię i sieć zakładów fryzjerskich.

przyjaciół, którzy raz widzą w nim Martina Luthera Kinga, raz – Malcolma X.

Run The Jewels czerpie przy tym nie tylko z afroamerykańskiej tradycji walki o równość praw, ale także z popkultury. W przekazie słychać równie mocno dorebek Public Enemy, post-punku czy Rage Against The Machine. Zach de la Rocha, wokalista tego zespołu, jest stałym gościem na płytach zespołu. Jego głos słychać m.in. w „Close Your Eyes (And Count to Fuck)” z czarno-białym teledyskiem, w którym czarnoskóry chłopak i policjant okładają się zapamiętałe, choć obaj gonią już resztkami sił.

Na kolejnych płytach Run The Jewels śmiertelna powaga spotyka się z wisielczym humorem. Utwory o głębokim przesłaniu sąsiadują z takimi, którym nietrudno zarzucić naiwność. Bo rzeczywiście, podtrzymując wykluczonych na duchu, walcząc z hipokryzją i uprzedzeniami, Killer Mike'owi i El-P zdarza się

posługiwać zużytymi sloganami. Pamiętamy jednak, że mowa o zespole, który ma komiksowe okładki, nagrał klip, w którym Killer Mike wciela się w Ebeneza Scrooge'a, oraz specjalną wersję płyty z muzyką złożoną z kocich miauknięć. Naiwność nie jest więc ich problemem. Gorzej, że bywają poważniejsi niż decydenci w Waszyngtonie.

„Cieszę się, że Reagan nie żyje” – tymi słowami Killer Mike spuentował album „R.A.P. Music”. Trzeba przyznać, że zanim dotarł do tej pointy, mocno ją uargumentował. Kolejne wersy utworu „Reagan” uginają się bowiem pod ciężarem oskarżeń przeciwko Waszyngtonowi i polityce prowadzonej wobec afroamerykańskiej mniejszości przez ostatnie pół wieku. Kipiący gniewem tekst przypomina miejscami rozdział głośnej książki „The New Jim Crow” autorstwa Michelle Alexander. Zwłaszcza wtedy, gdy Killer Mike wypomina Reaganowi rozwijanie programu wojny z narkotykami i prywatyzację więzień. Zdaniem Alexander to właśnie te decyzje umożliwiły władzy utrzymanie systemu rasowej dyskryminacji i dalszą opresję czarnej społeczności.

W dniu śmierci 40. prezydenta USA Michael Render zorganizował barbecue, by uczcić to wydarzenie. Niesmaczne? Mniej niż słowa, które wypowiada Reagan na opublikowanych w 2019 r. nagraniach rozmów ówczesnego gubernatora Kalifornii z prezydentem Nixonem. Przyszły lokator Białego Domu porównywał w nich afrykańskich delegatów w ONZ do małp, które nie wiedzą, jak założyć buty.

© JAN BŁASZCZAK

TYGODNIK
POWSZECHNY

**Podkast
Powszechny**

Zapraszamy do słuchania autorskich cykli podkastów „Tygodnika Powszechnego”

Punkt zwrotny

Katarzyna Kubisiowska
i jej goście

#DOM

czyli rozmowy Krzysztofa Storego
o małej ojczyźnie

LEKtura

czyli Grzegorz Jankowicz o tym,
co i dlaczego warto dziś czytać

Sztuka powszechnie nieznana

Magdaleny Łanuszki, która odkrywa
dla nas na nowo średniowieczne dzieła

Miesiąc w nauce

z autorskim przeglądem newsów
naukowych Łukasza Lamży

Opowieści z Izraela

korespondencje Karoliny Przewrockiej-Aderet



Więcej na powszech.net/podkast

weź, słuchaj!

Autor ukryty

ANITA PIOTROWSKA

Oto film o stawianiu się artystą w czasie marnym. A ten czas jest dla prawdziwego artysty stanem permanentnym – czy rządzi hitlerizm, komunizm czy pieniądz.

FOTOREALIZM PAMIĘCI – TAK MOŻNA BY najkrócej opisać słynne obrazy Gerharda Richtera, biorąc pod uwagę nie tyle ich stronę techniczną, co wewnętrzny proces towarzyszący ich powstaniu. Jego płótna z lat 60. minionego wieku odtwarzały i równocześnie coś zmywały, odsłaniały i zasłaniały, w równej mierze podrzucając tropy psychoanalizy, co krytykom sztuki czy biografom.

Florian Henckel von Donnersmarck w filmie „Obrazy bez autora” musiał od klasycznej biografii odejść – nie miał zgody na wykorzystanie nazwiska malarza ani jego dzieł. Zarazem jednak pomieścił w scenariuszu wiele intymnych i bolesnych szczegółów z życia artysty, w dużej mierze przez niego samego reżyserowi opowiedzianych. Kiedy film został już ukończony, początkowe zaufanie Richtera gdzieś zniknęło. Nie chciał nawet zobaczyć gotowego dzieła, zarzucając twórcy, m.in. na podstawie doniesień prasowych, że za dużo w filmie „linków” do prywatnych wspomnień

malarza. Że powstała w gruncie rzeczy kryptobiografia, a jednocześnie zastosowane przez von Donnersmarcka narracyjne *sfumato* zbyt swobodnie pozacierowało granice między fikcją a faktem. Ów fascynujący skądinąd spór natury prawno-artystycznej przesłonił trochę to, co ostatecznie powstało, co konkurowało o statuetkę Oscara z naszą „Zimną wojną” i co wreszcie, z prawie dwuletnim opóźnieniem, dotarło na ekrany naszych kin.

Reżyser „Życia na podłuchu” nakręcił film o stawianiu się artystą w czasie marnym. A ten czas jest dla prawdziwego artysty właściwie stanem permanentnym – czy rządzi hitlerizm, komunizm czy pieniądz, i niezależnie od tego, po której stronie muru się żyje. Inspirowany postacią Richtera filmowy Kurt Barnert na przestrzeni 30 lat niemieckiej historii przechodzi więc inicjację zwielokrotnioną. W 1937 r. jako zaledwie kilkunastoletni chłopiec poznaje „zdegenerowaną” sztukę współczesną dzięki niezwykle nastoletniej cioci; dostaje od niej drogowskaz,



by „nigdy nie odwracał wzroku” i w jednym dźwięku potrafił usłyszeć cały wszechświat. Dopiero po latach to przesłanie dotrze do niego w pełni.

Wszystko, czego doświadcza: utrata najbliższej mu osoby w ramach hitlerowskiego planu sterylizacji i eutanazji, bombardowanie rodzinnego Drezna, samobójstwo ojca, szczęśliwy, acz pełen napięć związek z Ellie (Paula Beer), nie wspominając o walcu totalitarnych ideologii – cierpliwie oczekuje na swoją sublimację. Zupełnie jak ten film i tłuszczyk z wojennej historii profesora düsseldorfskiej ASP, wzorowanego na Josephie Beuysie. Trzeba

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK
POWSZECHNY

#łaka powszechna



**Zasiałście Łakę Powszechną?
Pochwalcie się nam!**

Stwórzmy razem mapę naszej wspólnej łąki – pokażcie nam, gdzie wysialiście swoje nasiona, zróbcie zdjęcie rosnących kwiatów i oznaczcie się na FB lub Instagramie hasztagiem **#lakapowszechna** wraz z nazwą miejscowości lub adresem GPS.

My zaznaczymy łakę na mapie i pokażemy, jak kwitnie nasz kraj!

Mieszankę nasion Łąki Powszechnej stworzyła Pani Łaka / panilaka.pl – profesjonalny sklep z autorskimi mieszankami nasion łąg kwietnych



pani łaka



AURORA FILMS

Cai Cohrs i Saskia Rosendahl
w filmie „Obrazy bez autora”

buje się odgórnie zadekretować sztukę. I nie chodzi tu o jakiś rewolucyjny bunt przeciwko władzy, ile o znaną nam skądinąd kwestię smaku. Von Donnersmarck chwilami bywa w tych zderzeniach starego z nowym (albo konformistycznego ze zbuntowanym) iście „surrealistyczny”. Podbija je na dodatek silnymi emocjami, a nawet nutką sensacji, w czym sekunduje mu ekspresyjno-repetycyjna muzyka Maksa Richtera – przypadkowa, acz zabawna zbieżność nazwisk z pierwowzorem głównego bohatera.

Czystość i niewinność Kurta wydaje się w filmie trochę podejrzana, lecz wyraźniej nie o portret z krwi i kości tutaj chodzi, ale o uniwersalizowany obraz twórcy, który pośród zgłętku rozmaitych klaksonów szuka swojego tonu. Freudyści dojrzeliby w tym także emancypację mężczyzny symbolicznie wykastrowanego przez ojca swej ukochanej – nazistowskiego lekarza zasłużonego w walce o czystość aryjskiej krwi (w tej roli Sebastian Koch).

I byłyby to tylko atrakcyjne didaskalia, gdyby nie ekstatyczny, wielopoziomowy finał. Na pierwszy rzut oka przywołuje on proces „przepisywania” klisz fotograficznych i klisz pamięci – tej indywidualnej i tej zbiorowej – na rozpoznawalne obrazy, nie odwzorowując jednak w skali jeden do jednego dzieł Richtera. Pokazuje narodziny i rozkwit pewnego etapu w jego sztuce, a następnie jej przestoczenie.

To spotkanie fotografii i malarstwa niechcący nabiera w filmie dodatkowego sensu. Reżyser, który karmi się faktami, ale nie może ich nazwać po imieniu, przypomina trochę artystę, który pędzlem odwzorowuje zdjęcia, nakłada je na siebie, po czym skrętnie rozmazuje na nich kontury. Różnica jest taka, że u Richtera był to artystyczny wybór, który pozostawiał sporą przestrzeń niedopowiedzeniu i w konsekwencji dawał silny artystyczny efekt. Dla von Donnersmarcka to pewnego rodzaju konieczność, choć przyznać trzeba, że realizuje ją solidnie i z sercem. ©

OBRAZY BEZ AUTORA (*Werk ohne Autor*)
– reż. Florian Henckel von Donnersmarck.
Prod. Niemcy 2018. Dystryb. Aurora Films.

WARTO ZOBACZYĆ

1. Pięciu braci



Dramat wojenny, reż. Spike Lee, USA 2020, Netflix

Nie da się tak łatwo zapomnieć o Wietnamie. Najstynniejszy afroame-

rykański reżyser tym razem z pasją opowiada o swoich współbraciach, walczących w szeregach armii. Grupa weteranów przybywa po latach do wrogiego niegdyś kraju, by pozatławić dawne sprawy, a przy okazji zmierzyć się z traumą, nie tylko czysto wojenną. Wątek rasowy nabiera dziś szczególnej aktualności.

2. Lalka



Dramat, reż. Mounia Meddour, Francja/Algieria/Belgia/Katar 2019, nc+ go

Lata 90. XX wieku. Podczas wojny domowej

w Algierii nasila się islamski fundamentalizm. Na tym tle rozgrywa się historia dziewcząt, które wbrew panującemu terrorowi postanawiają zaważać o swoje marzenia. Jest wśród nich Papicha studiująca projektowanie ubioru, co staje się narzędziem zarówno artystycznej ekspresji, jak i kobiecego buntu.

3. Symfonia fabryki Ursus



Dokumentalny, reż. Jaśmina Wójcik, Polska 2018, dafilms.pl
Na pograniczu dokumentu, musicalu i eksperymentu społecznego

powstał film wskrzeszający pamięć o legendarnych zakładach przemysłowych i przede wszystkim o pracujących tam ludziach. Z udziałem byłych pracowników i pracowników różnego szczebla artystka wizualna tworzy roztańczoną fantazję na temat Ursusa.

4. Gdzie jesteś, Bernadette?



Komediodramat, reż. Richard Linklater, USA 2019, HBO GO

Kolejne tour de force w wykonaniu Cate Blanchett. Twórcza „Przed

wschodem słońca” i „Boyhood” obsadził ją w roli niespełnionej i mocno zaburzonej architektki, która z dnia na dzień postanawia radykalnie zmienić swoje życie. Mimo scenariuszowych mielizn i naiwnego psychologizowania fani australijskiej „aktorzycy” będą zadowoleni.

jeszcze przedrzeć się przez gąszcz fałszywych prorocstw i sezonowych mód, a czasem, nie tylko z powodów zarobkowych, zając się po prostu szorowaniem szpitalnych schodów. I nie bać się konfrontacji z pustym podobrazem.

To film o poszukiwaniu autora, który ukrył się w swych dziełach. Tom Schilling, grający Barnerta/Richtera, ma w sobie chłopackowatą nieporadność kogoś, kto mocuje się z własnymi traumami, z cieniem autorytarnego teścia i z losem czasami bezlitośnie ironicznym, ale kto w końcu nie musi już rozpruwać płótna, ażeby przebić się na drugą stronę.

Prostolinijność bohatera przekłada się na sam film. Gdyby von Donnersmarck działał w sztukach plastycznych, nazwalibyśmy go pewnie akademikiem – w dobrym tego słowa znaczeniu. W przeciwieństwie do Kurta, który po ucieczce do Niemiec Zachodnich ze zdumieniem dowiaduje się, że „malarstwo jest martwe”, nowym zaś tworzywem stały się gwoździe, ziemniaki albo ludzkie ciało, aż sam wreszcie odnajdzie własny budulec, reżyser przez bite trzy godziny kładzie na ekran kolejne warstwy farby, tradycyjnie kadruje, oświetla, montuje i zdecydowanie woli coś odtwarzać, niż tworzyć.

Efekt okazuje się aż nadto czytelny. Jakże znajomo brzmi dziś starcie awangardy ze sztuką narodową hitlerowskich Niemczech czy z prąskim socrealizmem. Rymuje się nie tylko z filmami w rodzaju „Powidoków” Andrzeja Wajdy, ale z każdą epoką, w której pró-

JAN

Klata:

Białe kłykcie



PANOWIE STALI, TRZYMALI SIĘ ZA PULPITY. Panów killkunastu. Jeden z nich podobno zadawał „pytania”, pozostali nawet nie udawali, że odpowiadają. Zaprawdę, trudno im się dziwić, gdyż jakość pytań wskazywała na specyficzne poczucie hu-

moru wóldarza gmachu TVP przy ulicy biskupa Jana Pawła Woronicza – autora wielu mów sejmowych. Nie było co zbierać, stąd wolna amerykanka (nie, nie chodzi o panią ambasadorkę Mosbacher). Więc z redaktorem szkoda gadać, nie ma sobie co strzępić.

Panowie stali, trzymali się za pulpity – żeby nie upaść w sondażach – szczególnie jeden z nich trzymał się dość desperacko. Białe kłykcie, po prostu. Nie zapomnieć o oddychaniu, nie zapomnieć o oddychaniu, prezydencki wdech,

prezydencki wydech, już bliżej niż dalej. Kondycja nie ta, ale zaraz meta. Jeszcze kilka sapnięć i będzie repeta, jak się sapnięciem dobrze odkurzy stare hity poprzednich kampanii. Troszkę zdziwiony tym, że „było kradzione” za zaprzeczonych poprzedników etc.

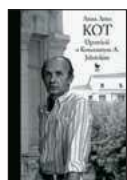
Im mniejszy słupek, tym ostrzej można przygrzmoczyć, natomiast pierwsza piątka ostrożnie, zachowawczo, ładnie i nijako, bładawo wręcz. Mowa ciała wątpliwa, igranie rekwizytami, ale bez ekstazy. Wszyscy z wyjątkiem zasapanego prezydenta Dudy grali na boisku przeciwnika, starali się nie debatować (nie ten format, z władzą się nie debatuje!), ale przedstawić swe poglądy 60 sekund przed gongiem. Cóż, Cycero to to nie był, nie był to „House of Cards”, nie był to nawet z kart domek, karty były rozmemlane i znaczone, nie było co miętolić, choć stawka najwyższa. Chciałoby się *katharsis*, a wyszło jak zwykle.

Panowie stali, trzymali się za pulpity, „debatę” odbyli, emocje jak na grzybach, rozrywka jak w tyle wizji *à la* TVP. Nic dziwnego, że dwaj kandydaci na najwyższych słupkach nie chcą się spotykać przed drugą rundą, po prostu zachowują substancję czekając, aż się przeluźni. Czy wtedy będzie ciekawiej? Przypuszczam, że wątpię.

Panowie stali, coś tam mówili, a i tak najlepsza była pani. Tłumaczka języka migowego. Rządziła. ©

Lektor:

„Nie wiesz, co jesteś wart”



■ Anna Arno
**KOT. OPOWIEŚĆ
O KONSTANTYM A. JELEŃSKIM**

Wydawnictwo Iskry,
Warszawa 2020, ss. 416

90-LETNI JÓZEF CZAPSKI pisał do niego: „Nie tylko jesteś fenomenem dobroci serca, ilu z nas tak czy inaczej pomogłeś, zupełnie jakby niechcący, ale też tak wyjątkowej inteligencji”. I kończył, że jego list „wynił wyłącznie z mojej czułości do Ciebie, który jesteś prawie głupi, że nie wiesz, co jesteś wart”. Kim był adresat, Konstanty Aleksander Jeleński, urodzony 2 stycznia 1922 r. w Warszawie

w małżeństwie Reny ze Skarżyńskich i Konstantego seniora, syn naturalny Carla Sforzy, zmarły 4 maja 1987 r.? Kosmopolita i Polak, żołnierz I Dywizji Pancerniej, władający biegle kilkoma językami urzędnik międzynarodowych instytucji, krytyk, współpracownik „Kultury”, architekt sukcesu Witolda Gombrowicza („Nie zdarzyła mi się afirmacja tak zdecydowana i zarazem

bezinteresowna tego, czym jestem, tego, co piszę” – zdumiewał się autor „Słubu”). I obdarzony wielkim talentem „artysta bez Damoklesowego miecza ambicji”, jak o nim mówił Wojciech Karpiński. Planowana przez Jeleńskiego w młodości powieść nigdy nie powstała; w latach 80. cieszył się z książkowego wydania swoich esejów w Instytucie Literackim i w krajowym „drugim obiegu”, ale nie przyłożył do tego ręki – edycję opracowali jego młodzi przyjaciele... Anna Arno zaczyna przytoczeniem zdania powtarzanego przez przyjaciół Jeleńskiego: „Kot był pięknym mężczyzną”. I właśnie fotografie albo obrazy zatrzymane w czyjejś pamięci stają się punktem wyjścia opowieści o człowieku, dla którego dar zachwyty był istotniejszy niż potrzeba samorealizacji, a który innych przyciągał jak magnes, choć wymykał się

łatwym charakterystykom. Fascynująca, oparta na wielu źródłach książka daje przegląd dokonania Jeleńskiego jako krytyka i jako działacza Kongresu Wolności Kultury, ale przede wszystkim przynosi próbę jego portretu psychologicznego. Autorka pisze o bliskich i niekiedy burzliwych relacjach Jeleńskiego z matką, o jego pierwszych partnerach, którymi byli pisarz Bernard Minoret i malarz Bernard Perlin, o wieloletnim związku z Leonor Fini i osobliwym dworze despotycznej artystki, do którego należeli też malarz Stanisław Lepri i przez kilka lat pisarz Héctor Bianciotti, a przez cały czas – liczne koty. Jest też galeria przyjaciół – Czapski, Miłosz, Mary McCarthy, Iwaszkiewicz, Herling, Herbert, Karpiński, jest historia konfliktu z Jerzym Giedroyciem. Wrażliwie opisany kawał minionego niestety świata. ©®

PAWEŁ

Bravo:

Wielki klasyczny błękit



JEDEN DZIEWIĘĆ KRESKA CZTERY ZERO PIĘĆ dwa. Wklepcie do wyszukiwarki tę sekwencję znaków, a dowiecie się, w jakim roku życie. Rok pod znakiem *classic blue*, klasycznego błękitu: tak się nazywa po ludzku kolor zakodowany cyframi

19–4052 w skali firmy Pantone. To monopolista klasyfikacji barw, król palety, władca naszych zieleni, brązów, żółcieni, fioletów, czerwieni. Jedyne, czego nie zdołał zamknąć w komnacie swoich patentów, to tęcza. Biedaczka zmyka płochliwie po deszczu z obawy, żeby nie dopadli jej prawnicy z pozwem o nieuprawnione korzystanie z własności intelektualnej.

Jak na króla przystało, Pantone co roku oznajmia poddanym, jaki będzie kolor danego roku. „Nasze czasy wymagają zaufania i wiary. Tego rodzaju stałość i pewność wyraża klasyczny błękit, solidny i niezawodny odcień, na którym zawsze możemy polegać. Motywuje nas, by sięgać wzrokiem poza to, co oczywiste, by poszerzać nasze myślenie. (...) To odcień, który uspokaja, daje pewność i poczucie więzi, jakich ludzie szukają w pełnym niewiadomych środowisku globalnym” – oznajmiała w komunikacie wysoka ranga menedżerka firmy. „To kolor nieba tuż przed nastaniem wieczoru. Każe się zastanowić: co nam przyniesie przyszłość” – komentowała inna wiceprezesa.

Było to w grudniu zeszłego roku. Dziś ten korporacyjny bełkot brzmi całkiem proroczo.

Autorzy komunikatów firmy Pantone nie mogli jednak przewidzieć, że w 2020 r. istotnie problemy „pełnego niewiadomych środowiska globalnego” stały się mocniej niż zwykle obecne w horyzoncie codzienności. Już dziewiątego marca, kiedy nikomu z nas nie przychodziło jeszcze do głowy, że brak maseczki stanie się rychło nietaktem, londyński „The Guardian” dywagował nad tym, jaka będzie „nowa normalność”. Fraza ta zresztą dzień później pojawiła się też na antenie BBC – by potem wracać z rosnącą częstotliwością, chociaż nie wygląda na to, żebyśmy byli wiele mądrzejsi co do tego, jak będą wyglądać np. pod koniec tego roku nasze prace i dnie. Badacze wiedzą o wirusie coraz więcej, ale za mało, żeby powiedzieć, czy i jak wróci; mniej ludzi umiera, ale społeczeństwo znów krąży, miesza się jak ciepła ludzka zupa, co i rusz kolejna banieczka środowiskowa ma pierwszych własnych „pozytywnych”.

Nauczyliśmy się żyć w cieniu gospodarki i pieniądza, traktując policzalne parametry jako pierwsze w porządku pozna-

nia. Ponieważ ekonomia karmi się modelami i prognozami, uczyniliśmy z tych skądinąd przydatnych narzędzi fetysz i łatwo schodzimy na manowce spekulacji. Męczy mnie to bardziej niż debaty, kto za dwa tygodnie zostanie prezydentem i na podstawie jakich kampanijnych sztuczek. Mówi się czasem o betonowych wyborcach, ale to tylko metafora, elektoratu nie miesza się i nie uklepuje jak zaprawy na budowie. W każdym razie mam taką nadzieję. Głosujemy zatem, nie grymasząc zanadto. Innej polityki nie mamy i im bardziej wydaje się nam nędzna, tym jaśniejszy jest imperatyw, by wspierać tych, którzy z tej nędzy trochę wystają. Głosujemy, a co z tego wyniknie – tego się dowiemy niebawem.

Jeśli jednak potrzeba wam nieco pewności jutra, siadźcie nad koszem czereśni. Skoro jest koniec czerwca, to są w najlepszej swojej fazie. Następstwo plonów w tym roku mamy bardzo regularne, sezon się rozwija podreźnikowo. Na świętego Jana odeszły ostatnie szparagi, ziemniaki przestają mieć tę młodzieńczą skórę schodzącą pod opuszkami palców. Żółta fasolka powoli schodzi w strefę sensownych cen, zaraz za nią spieszy bób, na razie po 20 zł za kilo, ale za tydzień będzie już normalnie. Widzę pierwszy agrest, za chwilę wiśnie. Potem papierówka, tak kwaśna, że normalnie by się ją wypluło. Równie z nią czarne porzeczki, już mi się śni po nocach szorowanie kuchni po ich smażeniu. Przy pomidorach mam wrażenie, że przespałem jakiś ważny skok hodowlany, bo już te czerwcowe smakują całkiem upalnie, ale dobre bawole serca kupię sobie dopiero po imieninach. Potem śliwki, te lipcowe, uleny, jerozolimki i pokrewne, biorę w nawias, bo żadne oprócz późnych węgielek mi nie smakują. I tak przez lukasówki aż po konferencje, od antonówek po renety, nic was nie uchroni przed tym, że we wrześniu ostatnie z sadu malinówki będą tak samo, jak co roku, smakować pożegnalnie. Tyle tylko pewnego. Nie bójmy się skoczyć na główkę w wielki (klasyczny) błękit reszty tego roku. ©P



GRAZYNA MAKARA

Po zachwycie pierwszym bobem, zjadany bez niczego, z poparzonymi palcami, możemy zająć się jego obróbką w bardziej wyszukaną postać. Rozgotowany bób dobrze nadaje się na różnego rodzaju pasty, ja zwykle przygotowuję je na włoski sposób miętą i lekko zakwaszam octem. Można też taką pastę wziąć jako bazę dla smakowitych kulek, do brych jako finger food na przyjęcie (oczywiście w ogrodzie, z zachowaniem dwóch metrów odstępu). Gotujemy tyle **bobu** (**soląc** wodę dopiero pod koniec), żeby po obraniu uzyskać go ok. 200 g. W misce studzimy i rozgniatamy go widelcem. Dodajemy trochę **posiekanej mięty** (albo np. **szczypioru**), dużą garść tartego **parmezanu** lub sera **pecorino**, 2 **żółtka**, mieszamy intensywnie pomagając sobie palcami, na koniec dajemy 250 g **ricotty** i dalej wyrabiamy jednolitą masę. To czynimy niewielkie kulki wielkości orzecha włoskiego. Możemy je obtoczyć w **białku** i **mące**, po czym obsmażyć na złoto na głębokim **tuszczu** albo, w wersji lżejszej, piec na blasze wyłożonej papierem do pieczenia w 180 st. C przez ok. 10 minut.

ZMYSŁY

*Christo
i Jeanne-Claude,
The Pont
Neuf Wrapped,
Paryż, 1975-85*

ROZMACH BAJKORZEŻBIARZA

Christo rzucał się w oczy. Budował nam jeziora,
po których można chodzić, i wyspy o różowych brzegach.
Szukał w nas dzieci.

MAREK BIEŃCZYK

NAJPIĘKNIEJSZY WIDOK PARYŻA – CHOCIAŻ NAJBARDZIEJ turystyczny – rozciąga się z Pont des Arts; kolejnego mostu za Pont-Neuf. Warto pojawić się o zmierzchu, gdy dobrze widać światła; iluminacja jest bajeczna. Niektórzy przychodzą z kocykiem i wiktualiami, miejsce, zamknięte dla ruchu, bywa piknikowe. Pont-Neuf, czyli Nowy Most, najstarszy (1607) zachowany most Paryża, ma za to mocne karty historyczne. Dzięki niemu Sekwana przestała być wewnętrzną granicą i stała się środkiem miasta. Ale jego historyczna fama na długi czas przycisnęła i nie przyciągała tak masowo turystycznych pielgrzymów.

Most znowu nowy

Z mostu, zanim dojdzie do lewego brzegu, skręca się na najciekawszy i najdziwniejszy, bo trójkątny plac Paryża, place Dauphine; zawsze pusty. Po drugiej stronie schodzi się na niesławny, również trójkątny skwerek; miejsce kloszardów, naromanów i różnych *hobo*. Dwóch z nich grało raz na banjo i śpiewało bluesa. *Give me some bread*, trzeba było podzielić się bagietką, gdy już odkiwało się bluesowy rytm.

Christo (ur. w 1935), który opakował Pont-Neuf w roku 1985, przywrócił go niejako sercu stolicy; zasłoniwszy, przypomniał, że obok Notre Dame nosi on najsłynniejszą historyczną nazwę należącą do starego Paryża. Teraz pojawia się natychmiast tam, gdzie mowa jest o zmarłym właśnie artyście. Ale już wtedy, po spowiciu go poliamidową tkaniną, most stał się na dłużej punktem centralnym. Wkrótce potem powstał głośny film autorstwa Leosa Caraksa „Kochankowie z Pont-Neuf”, który wzmocnił duchowy renesans miejsca.

To było najlepsze dzieło Christo. Wspomnienia się zacieśniają, ale pakunek widziany żywym okiem różnił się oczywiście od tego, który uchwycił na zawsze fotografie; im bardziej do niego się podchodziło, tym mniej wyglądał artystycznie i można było się domyślać żmudnej, trudnej technicznej pracy obwijania. Kiedy szło się środkiem mostu, odnosiło się wrażenie, że będzie właśnie remontowany. Jednak wystarczyło odejść na pewną odległość, albo dla zyskania perspektywy pospieszyć na Pont des Arts, by poczuć coś przyjemnego.

Jak po latach określić tę przyjemność? Chyba tak: most nie był tylko opakowany, otulony; on został przytulony. Górnołotnie mówiąc: jakby ktoś na sercu miasta położył miękko, zalotnie rękę. Założył w centrum rezerwat aksamitu. Gigantycznym dotykiem zagrał wdzięczną nutę zmysłowego drżenia.

Cały Paryż, wydawało się, nagle poluzował; zwiotczało mu napięcie, zrobił się łagodny, koci. Kilka miesięcy wcześniej Christo i jego żona Jeanne-Claude opakowali uroczy, lecz niewielki most w miejscowości Grez-sur-Loing. Była to próba generalna przed Paryżem; wszystko poszło świetnie, lecz widać, że tego rodzaju działanie w przestrzeni wymaga obszernego tła i nie może się rozgrywać w przyjemnych zakątkach przyrody ani w miejskich zakamarkach.

Ówczesne doznanie czułości pozostało, gdy patrzę na fotografie późniejszych dokonań artysty. Podobne wrażenie można odnieść, wpatrując się w mobile i stable Alexandra Caldera, o którym w „Tygodniku” była czas temu mowa. Tak jakby techniczna wyobraźnia i inżynierska, budowlana i instalacyjna sprawność, jaką obaj posiadli w nadzwyczajnym

stopniu, prowadziła ich sztukę romantycznie wprost do (dobrych) uczuć.

Fajna paczka

Calder musiał wyginać: druty, metale, wszystko. Christo musiał pakować. To jest oczywiste, kiedy spojrzysz na jego wczesne prace. Na samym początku kariery był portrecistą znanych ludzi (uwiecznił Brigitte Bardot), lecz akademickie malowanie wyuczone w rodzinnej Bułgarii szybko się skończyło. Można mieć pewność, albo dla zabawy warto ją mieć, że obwijał rzeczy od dziecka. Co by tu jeszcze obwinać?

Wyobrażam go sobie jako bohatera opowieści typu „Pachnidło” (minus kryminalne inklinacje), kogoś, kogo od dzieciństwa ożywiają i prześladowają opakowania, tak jak zapachy naznaczają żywot Jana Baptysty Grenouille’a. Albo jako brata w obsesji pewnego pobliskiego sklepikarza; handluje on wyłącznie wszelkiego typu szczotkami i może godzinami opowiadać o kolejnych niuansach czyszczenia i czesania takim, a nie innym włosiem: jakże kuszące jest pomyśleć o możliwych artystycznych realizacjach tego cudnego fiksum-dyr dum. No, nawet ta ucieczka za żelazną kurtynę z Czechosłowacji do Wiednia w roku 1957: Christo schował się wśród towarów w samochodzie dostawczym, niejako sam opakowany po to, by wydostać się na wolność.

Już w pierwszych próbach, w Paryżu od roku 1958, Christo zaczął obwijać ile wlezie. Jeszcze na małą skalę, puszek, butelki, pokrywane szarym płótnem i obwiązywane grubym sznurkiem. Niektóre są obwinięte tylko częściowo, fragmenty są pomalowane, niekiedy szare płótno też zostało zachlapanie albo wybarwione, tak będą wkrótce wyglądały modne dzinsy. To oczywiście podstawa nowoczesnej sztuki: wziąć istniejącą już przemysłową materię i ją porwać, przenieść z realu w krąg własnych wyobrażeń, dokonać nieznacznej transgresji, lekkiego przesunięcia. W tym przypadku przesunięcia-obwinięcia, szczęśliwie tak konsekwentnego, że doprowadzi artystę do jego największych dzieł.

I dalej, w tym samym czasie seria zwana „Powierzchnie opakunkowe”: grube malunki z gęstej farby, ale też piasku, kleju, lakieru. Te same tonacje i faktury, i znowu konopne sznurki na wierzchu. Podobnie jak w kolejnej serii opakowań, tym razem już nie kadrowanych jak obrazy, lecz najczęściej „rzeźbionych”; to już ostatnie lata paryskie i pierwsze, od roku 1963, nowojorskie. Do tego wstępne próby drapowania przestrzeni, witryn, wejść do sklepów, boksów.

W tym samym czasie Christo zaczyna opakowywać coraz większe przedmioty, telefon, konia na biegunach, krzesło, fotele, stertę kolorowych tygodników, autentyczne posagi, samochody, także drzewa (te tylko w projekcie). No i portret własnej żony obwinięty w przezroczystą folię. Sznurków dużo. Na pierwszy rzut oka dość groźnie to wygląda; nie wiadomo, czy bardziej chodzi o obwinięcie, czy o skrępowanie – dziennikarze przeprowadzający wywiady nie omieszkają zażartować: „Usiądę dalej, żeby pan mnie nie opakował”. W najgorszym razie zdarzało mi się pomyśleć o mumiach egipskich, o zdeformowanych ciałach żołnierzy obwiniętych brutalnie bandażami, o krępowanych wariatach albo o związowaniu się w celach sado-maso. Ale wielkie realizacje, które nadejdą później, rozpraszają lęki czy też odbierają ochotę na głębsze sondowanie kompleksów.



Nie trzeba być zresztą freudystą, by stwierdzić rzecz dla życia artystycznego (ale też psychicznego) podstawową: to mianowicie, że funkcją zasłaniania nie jest tłumienie czy wypieranie, lecz rozszerzanie, ujawnianie przez zasłonięcie skrytych pragnień. I że w ten sposób w przypadku Christo dokonuje się erotyzacja przestrzeni, w której żyjemy, przyrody i budowli. Można przeciągać go w stronę hipernowoczesności czy ultrasobności; sam lubię myśleć o jego drapowaniu Pont-Neuf jako geście niejako libertyńskim, wpisującym się w tradycję, jaką wyznaczają nazwiska Bouchera czy Fragonarda, mistrzów erotycznej fałdy.

Sztuka drapowania ma w dziejach osobne miejsce; któż nie podziwiał misternych fałd na starożytnych rzeźbach, na drzeworytach Dürera, rysunkach Michała Anioła, obrazach Degasa. Christo znalazłby się na końcu tej długiej sztafety. A też skojarzyć z wielką francuską szkołą drapowania zasłon. Dzisiaj gest obwijania dziwnie spowszechniał, schamiał, kiedy pomyślimy o reklamach-gigantach pokrywających budynki, kosztownie parodiujących, zdawałoby się, performanse Christo. Tak jakby zapożyczyły od niego wyłącznie ogrom, megalomanię i je skomercjalizowały.

Wyżej, dłużej, szerzej

Ogrom jest drugą materią jego działań. Z czasem chyba nawet ważniejszą niż samo opakowywanie. Wśród najbardziej znanych jego prac część wiąże się bezpośrednio z obwijaniem miejsc olbrzymich (obok Pont-Neuf m.in. Reichstag w Berlinie, kawałek falezy w Australii, wnętrza muzealne w Künzelsau i w Pensylwanii, Big Air Package, gigantyczny zbiornik gazowy w Oberhausen). Inne polegają raczej na pokrywaniu niepokrywalnego, jak ścieżki nałożone na jezioro Como we Włoszech czy kolorowe płachty narzucone na morze wokół wysp w Biscayne Bay, albo niezrealizowane pokrycie na 40 milach rzeki Arkansas.

Jeszcze inne, równie słynne, wiążą się z gestem wstawiania: rodzaju piramidy, tak zwanej Mastaby (typu budowli rozpowszechnionej w starożytnej Mezopotamii), rzuconej na Serpentine Lake w Londynie; szeregu potężnych kurtyn-bramek w nowojorskim Central Parku, przeogromnej przesłony wstawionej między dwa zbocza nad autostradą w Kolorado, tysięcy potężnych parasoli postawionych na wolnej przestrzeni w Japonii i Kalifornii czy miękkiego muru z tkaniny ciągnącego się przez kilkadziesiąt mil wzgórzami.

Musi być dużo i wielkie, Christo pracuje na rozmiarach. Długości, wysokości i szerokości są również jego tworzywem. Co wymaga rusztowań niczym do budowy stadionu, tysięcy robotników, dziesiątków inżynierów, setek tysięcy metrów sztucznych tkanin i setek tysięcy metalowych beczek po oleju (ważny dla niego materiał, dziś już artystycznie nadeksploatowany). Christo, rzec można żartem, stworzył sztukę cyfrową: nie sposób, myśląc o jego dziełach, nie myśleć o policzalnych, lecz porażających ilościach.

Ta gigantomania jest zarazem funkcją czasu: im ma być krócej, tym na większą skalę. Instalacje trwają przecież mgnienie oka. W Kolorado dosłownie: przesłonę między

Zasłona ma ujawnić obecność skrytych pragnień.

Dzięki niej Christo dokonywał
erotyzacji przestrzeni,
w której żyjemy,
przyrody i budowli.

wzgórzami zdjęto po kilkudziesięciu godzinach, w Paryżu skończyło się po paru tygodniach. Ani się człowiek obejrzy, dzieło znika, Pont-Neuf, rozpakowany podarek (widzowie mogą dostać w prezencie kawałek poliamidu), wraca do codzienności, jakby go nigdy nie spotkało, albo jakby był przez chwilę na tajemnej randce. Przeżył niezapomniany, ale tylko epizod.

Kto chce, może pytać w tym kontekście o granice sztuki albo o teorie efemeryczności; Christo nie daje żadnych interpretacji, wszystkie, mówi, będą dobre; przede wszystkim ma być przyjemnie. Czyli bez wyższego sensu, bezużytecznie, cudownie gratisowo i rach ciach. Christo i Jeanne-Claude stworzyli własny mit sztuki nomadzkiej, która wybucha, wręcz eksploduje chwilowymi dokonaniem, by zaraz zniknąć, przenieść dalej swój kolosalny tabor. Miejsce, które nawiedzili, wraca do „normalności”; przeżyło swoją epifanię, przekroczyło siebie, zostało inaczej wykadrowane – a nieznaczna zmiana kadru oznaczała zmianę całości, wszystkiego. Lecz teraz żyje dalej tak, jakby nikt nim nie wstrząsnął i niczego z nim nie zrobił. A mieszkańcy mieli sen, może nie tak bardzo senny.

Ta efemeryczność jest tym bardziej uderzająca, wręcz na swój sposób wybitna, że sama realizacja projektu, od chwili pierwszego pomysłu po przecięcie szarfy nożyczkami, zajmuje dziesiątki lat, z czego lwią część zabiera wymuszanie zgody. W przypadku Reichstagu trwało to ćwierćwiecze; ostatecznie oparło się na głosowaniu w samym Reichstagu; kanclerz Kohl, przeciwnik pomysłu, przegrał je głosami własnej partii. W Paryżu nomadzi musieli łączyć do Jacques’a Chiraca i Jacka Langa, w Nowym Jorku poczekać na zmianę burmistrza. Z ponad 40 projektów udało im się wychodzić zgodę na ledwie kilkanaście.

Skoro wielkie i tylko na chwilę, wszyscy pytają o pieniądze. Proszę bardzo, najdroższy projekt, ten niezrealizowany w Emiratach, był zakrojony na 300 milionów dolarów, inne kosztowały mniej, lecz i tak w grubych milionach; za wynajęcie kawałka rzeki Arkansas trzeba było płacić przez parę lat po kilkanaście milionów. Christo uparcie powtarzał: nie bierzemy ani grosza z obcych, państwowych czy prywatnych pieniędzy. Całość pokryta środkami własnymi ze sprzedaży graficznych projektów, fotografii, praw do uwiecznienia itd.; żadnych reklam i sponsoringu; to podstawowa duchowa zasada naszego działania. Aby mu uwierzyć, trzeba by policzyć. Nie zdołam, to niepojęte rewiry: dla mnie, dziecka PRL-u 10 dolarów to jest wciąż o wiele więcej niż 40 złotych.

Dotykamy tu jeszcze innej opowieści mitycznej o własnej sztuce, opowieści o imperatywie nieograniczonej wolności. Christo wywodzi go z doświadczeń życia w komunistycznej Bułgarii; polityczna ucieczka za żelazną kurtynę przemieniła się w ucieczkę przed wszelkimi formami zniewolenia. Ogołocenie (prawne: przez wiele lat był bez obywatelstwa, w Ameryce kilka pierwszych lat przebywał na nielegalu; materialnie: przez długi czas klepał biedę) stało się szkołą wolności artystycznej.

Jeszcze w roku 1962, gdy zagroził beczkami rue Visconti w Paryżu, wywołując interwencję policji, działanie było

wprost polityczne: miało być protestem przeciwko wzniesieniu muru w Berlinie i wyznaczeniu tym samym obszaru wolności i zniewolenia. Lecz później wszelkie dosłowne odniesienia polityczne utraciły rację bytu na rzecz konceptu uniwersalnego.

W ten sposób mozaika się układa: Christo i Jeanne-Claude, nomadzi wolni od wpływów przez zewnętrzne finansowanie, wolni od czasu, który nawarstwia się dla nich po to, by zagaścić go w paru chwilach trwania dzieła, przebiegają w – starannie przygotowanych – epifaniach, ich „prawdzie artystycznej”, całe życie.

Ostatni faraon

Christo pracuje również – to jego trzeci żywioł – na iluminacjach i na wyrazistych, jaskrawych nieraz barwach, które władczo wkraczają w przestrzeń. Mastaba na londyńskim jeziorze mieni się denkami 7506 beczek pokrytych mocnymi kolorami, zmieniającymi się zależnie od pory dnia; przesłona między górami aż bije w oczy wściekle pomarańczowym; kurtyny w Central Parku, ustawione w zimie, są też szafra-nowo-pomarańczowe. Aż trudno sobie wyobrazić Mastabę, która miała stanąć w Emiratach Arabskich po ustawieniu na pustyni 410 tysięcy beczek po oleju, powstałych w specjalnej fabryce założonej na tę okazję *in situ*, i wymalowanych w dziesięciu kolorach wyprodukowanych przez lakiernie Mercedesa. Dzieło miało przerastać fizycznie piramidę Cheopsa. W nekrologach prasa światowa pisała efektownie: „Christo, ostatni faraon”.

Christo rzuca się w oczy, na oczy. Łatwo ulec, gdyż bodźce są silne. Można odnieść wrażenie, że chce cokolwiek podrasować naturę, w której mieszkamy. W końcu, przynajmniej, nadmiar monotonnej zieleni i wypłukanego brązu bywa nudnawy; od każdej żywszej barwy, klonów na jesieni, skał czer-

wonych od zachodu słońca, robi się od razu piękniej i ciekawiej. Więc chce nadać naturze, obojętnej na nas, nieco „ludzkiego” wyglądu, uczynić z niej przyjaciela. Buduje z nią bajki o jeziorach, po których można chodzić, o wyspach, które mają – czyż nie tak jest w raj? – różowe brzegi. Być może dlatego świat cały zauważył i oplakuje we wszystkich mediach jego odejście. Z takim żalem żegna się bazarza, który szukał w nas dzieci, malował nam świat inaczej, bajkopisarza czy raczej bajkorzeźbiarza. Bajkorzeźbiarza, Andersena instalacji.

Taki mega-Christo, Christo megakolorowy i megarozmiarowy, megabajkowy – mówię „mega”, gdyż to gigantyzm przybliża go do dzisiejszej popkultury – ociera się o kicz, jeśli rozumieć przez niego usilne, na suto upiększanie otoczenia. Nie irytuje mnie to jak wielu krytyków, jednak bliższe mi są jego drapowania przestrzeni. Pont-Neuf tak, absolutnie, lecz także te na nieco mniejszą skalę, jak w przypadku holów muzealnych, gdzie schody, witryny i galerie oblepione tkaninami tworzą świat wewnętrzny o kształtach równie intrygujących co świat podwodny. Zależy, co kto woli lub wyżej ceni w sztuce (zatem i we własnym życiu): wartości wynikłe z przeobrażenia, podrasowania tego, co jest, czy wartości wynikłe z wstawiania w to, co jest, form nieznanych.

Od 1 lipca będzie można oglądać w paryskim Centrum Pompidou wystawę poświęconą twórczości artysty oraz jego żony; pierwotnie miała być otworzona w dniu, w którym ogłoszono we Francji powszechny lockdown. Projekt zapakowania Łuku Triumfalnego w Paryżu, poczęty kilkadziesiąt lat temu, ma zostać zrealizowany w roku 2021. Już bez autora, który 31 maja, w wigilię Dnia Dziecka, wziął i się zawinął.

© MAREK BIEŃCZYK

Christo i Jeanne-Claude, Wrapped Reichstag, Berlin, 1991-95



WOJCIECH

Bonowicz: Dyszel



NIE JEST WYKLUCZONE, ŻE WYBORY SIĘ NIE odbędą. A jak się odbędą, to ich wyniki zostaną unieważnione. A jak nawet nie zostaną oficjalnie unieważnione, to część z nas w duchu je „unieważni”. Nie zazdroszczę temu, kto te wybory wygra.

Nie zazdroszczę też tym spośród nas, którzy wierzą w demokrację. A wierzyć musimy, nic lepszego na obronę naszych praw nie mamy.

Od kilku tygodni obserwujemy coś w rodzaju tańca, w którym nieustannie zmienia się muzyka i figury. Dla demokracji ważne jest, żeby przynajmniej w kwestii muzyki panował jakoś taki porządek. Wiadomo – jedni chcą tańczyć solo, inni w parach, jedni do rytmu, inni trochę obok, jedni improwizując, inni trzymając się tego, czego się nauczyli na kursach tańca. Muzyka, jeśli jest stała, jakoś te różnice harmonizuje. Problem w tym, że obecnie muzykantom kazało grać kilka melodii naraz. Ci, którzy próbują tańczyć do jednego rytmu, wpadają na tych, którzy tańczą do innego. Nie wiadomo tak naprawdę, co jest grane, jakie zasady obowiązują, a jakie nie. Jest konstytucja, ale jest też „coś” ponad konstytucją: niektórzy mówią, że to „lud”, inni, że „wola jednego człowieka”. Gdybyż jeszcze ten lud czy ten człowiek jedną muzykę zamawiał! Ale nie, jest kakofonia, zgrzyt, chaos. A w chaosie, oczywista sprawa, tańczący zaczynają deptać sobie po palcach, zaczynają się popychać, a nawet jedni drugim podkładają nogi.

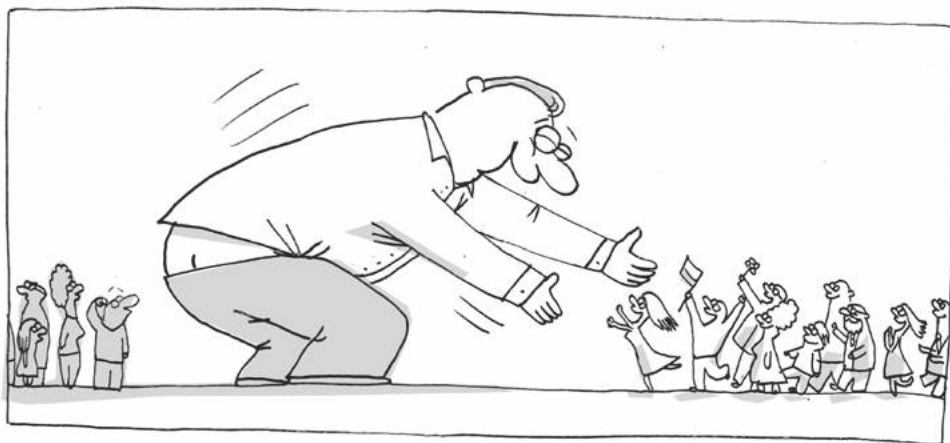
Żal na to patrzeć, ale problem w tym, że my nie jesteśmy tylko patrzącymi – my również tańczymy. Miło jest się oszu-

kiwać, że to tylko sprawa tego czy innego ministra, tej czy innej posłanki lub posła. Głupio powiedział, skandalicznie się zachował, ale zrobił to „tam”, nie „tu”. Miło się pośmiać z marionetek w politycznym teatrzyku, zwłaszcza gdy płaczą im się sznurki. Niestety, kakofonia dociera wszędzie, do najmniejszego zakątka kraju. Gdy muzyka jest chaotyczna, ludzie też stają się chaotyczni. Gdy jest agresywna, robią się agresywni. Gdy jest byle jaka, bylejałość – jak pisał poeta – zaczyna ogarniać masy i elity.

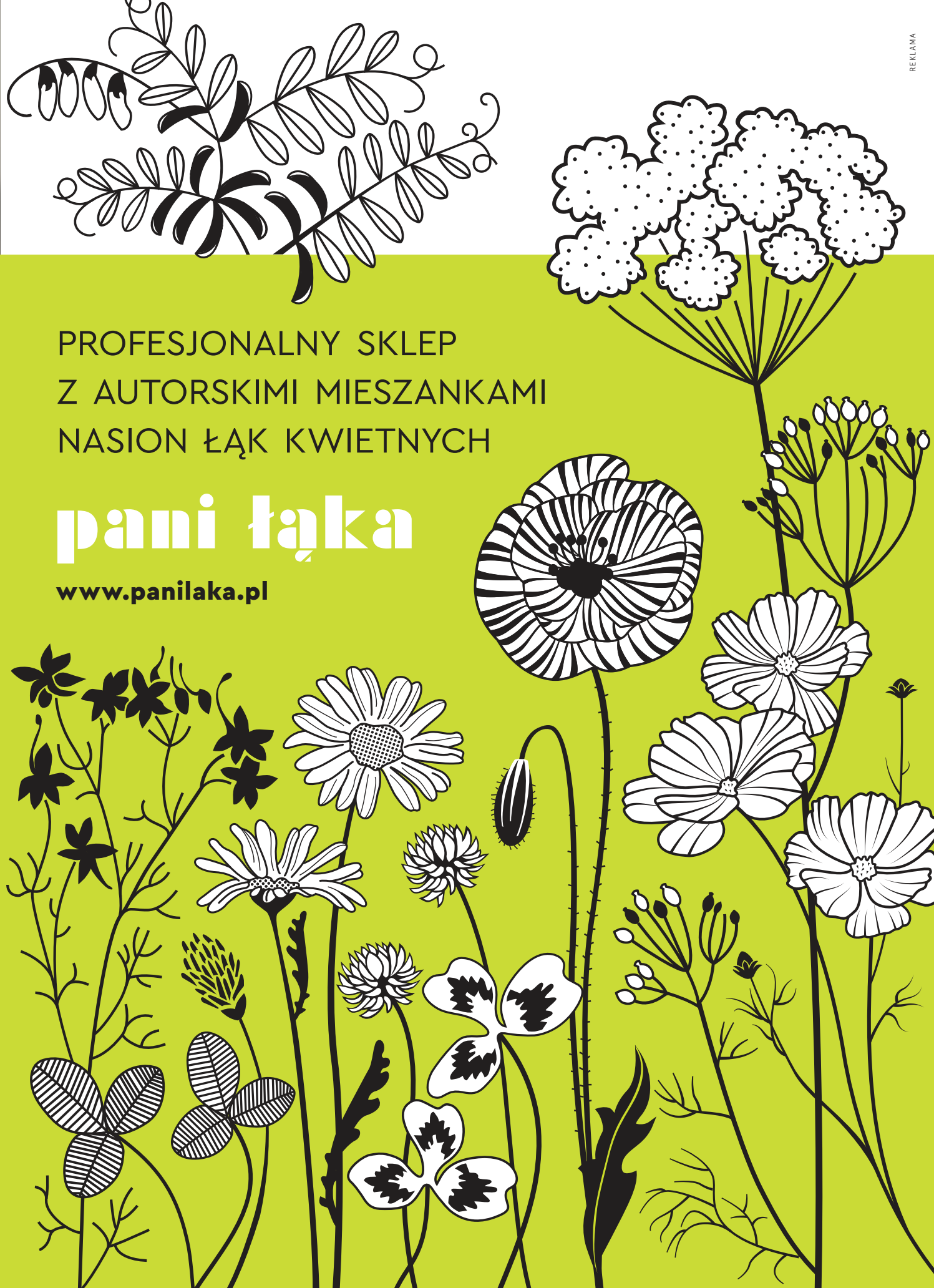
Przed wielu laty w jednej z podhalańskich wsi odbywało się wesele. Tańczącym przygrywała znakomita muzyka, prymistą był sławny Ludwik Łojas z Łopusznej. Kakofonii nie było, ale pojawił się inny problem. Oto w pewnym momencie tańczący wpadli w trans. Jak wiadomo, oryginalna muzyka ludowa była muzyką transową: opierała się na nieustannym powtarzaniu jednego motywu, przez co tańczących potrafiła doprowadzić do szaleństwa. I tak też się stało na tym weselu. W pewnym momencie muzykanci, widząc, co się dzieje, odłożyli instrumenty. Ale tańczący nie przestali tańczyć. Młodzi czy starzy, wszyscy wirowali jak dotychczas, słychać było tylko tupot, okrzyki i śmiechy. Co robić? Ludzie w transie potrafią tańczyć, aż padną. Wtedy ktoś wpadł na pomysł: ze stodoły obok przyciągnięto wóz, przez otwarte okno wsunięto do środka dyszel. Tańczący wpadali na ten dyszel i zatrzymywali się. Niektórzy porozbijali sobie głowy, poobijali żebra, ale w krótkim czasie wszystko się uspokoiło.

Ten obraz ostatnio często do mnie wraca. Co będzie naszym dyszlem? Co zatrzyma tych, którzy za muzykę odpowiadają? Jest wiele powodów do pesymizmu. Okazuje się, że tam, gdzie pragnienie władzy jest silniejsze niż wszystko, nawet pandemia nie powoduje otrzeźwienia. Czy będziemy tak tańczyć, aż zatańczymy się na śmierć? Z drugiej strony – chodzę, podsluchuję i mam wrażenie, że zmęczenie tym chaotycznym tańcem dopada nawet tych, którzy skądinąd sympatyzują z zamawiającymi muzykę. Może więc nie potrzeba jakichś nadzwyczajnych środków? Może wystarczy ten dyszel, który każdy z nas – no, powiedzmy ostrożnie: większość z nas – ma gdzieś tam w sobie? ©

BARTOSZ MINKIEWICZ



KANDYDAT WSZYSTKICH POLAKÓW



PROFESJONALNY SKLEP
Z AUTORSKIMI MIESZANKAMI
NASION ŁĄK KWIETNYCH

pani łąka

www.panilaka.pl

xABO KSIĄDZ BONIECKI

xABO

W KINACH

SCENARIUSZ I REŻYSERIA: ALEKSANDRA FETCZUK, PRODUKENT: ALEKSANDER KAROŃSKI, PRODUKENT WYKONAWCZY: ADRIENNA KAS,
ZDJEŃ: ADAM PALENTA, SZYMON SIOŃT, AUDIOWIZYJNO PRÓDUKOWA: LUBA BARANIEWICZ, MONTAŻ: MARCIN SUŁCHACKI, TĘPŁA: TOMASZ KUCHAN, MUZYKA: HANNA RAI

PRODUKCJA



WSPARCIE



SPONSOR GŁÓWNY:



SPONSORZY:



PARTNER:



DYSTRYBUCJA:



PATRONI MEDIALNE:



HISTORIA I NOWOCZESNOŚĆ WROCŁAW

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**DODATEK
SPECJALNY**

„TP” 26/2020

KASTA & SYNAPTINE

Wrocław miasto spotkań

 www.wroclaw.pl

BETHEL Flamenco TRIO

ZAWARTKO/
PIASECKI

WRODACHY CŁAWIA

ZESPÓŁ KAMERALNY SCENY POD REGAŁEM

FRANCIS TUAN

PUELLAE CANTANTES

MAM Głos JUSTYNA
SZAFRAN

electric SHOWER

7-28 CZERWCA

10 KONCERTÓW | 8 DACHÓW | JEDEN WROCŁAW

Wrocław: serce Europy

RZADKO KTÓRE MIASTO, nawet w naszej części Europy, może pochwalić się równie bogatą i skomplikowaną historią jak Wrocław. Gród położony na odrzańskim archipelagu istnieje od ponad tysiąca lat, o wiele dłużej, niż sięgają najstarsze zapiski na jego temat. Położony w malowniczym i dogodnym miejscu, na przecięciu szlaków handlowych

(ale i cywilizacyjnych), bywa nazywany sercem Europy. Nic dziwnego, że wydarzyło się tu wiele rzeczy pięknych, ale też okrutnych – jak zauważa profesor Norman Davies, to miejsce, w którym historia Środkowej Europy, ze wszystkimi swoimi blaskami i cieniami, uległa szczególnej kondensacji. 75 lat temu – w wyniku geopolitycznego trzęsienia ziemi na naszym kontynencie – Breslau, kolebka nowoczesnej niemieckiej tożsamości narodowej, stało się polskim

Wrocławiem. Przez dekady propaganda PRL-u uparcie powtarzała frazes o „powrocie do macierzy” – dziś na szczęście potrafimy patrzeć na historię szerzej, porzucając zawiść i ideologiczne zaślepienie. W ich miejsce pojawiło się za to zrozumienie dla skomplikowanych procesów historycznych, jak również empatia dla tragedii tysięcy niemieckich cywilów, wypędzonych lub zabitych w 1945 r. Ta zmiana to zasługa kolejnych pokoleń obywateli i władz Wrocławia

– ludzi o otwartych umysłach, pielęgnujących to, co łączy, a nie dzieli. Dzięki nim miasto wielu imion nie tylko z czułością pielęgnuje swoją przeszłość, ale również z odwagą wygląda w przyszłość. Dlatego zapraszamy Państwa do lektury naszego dodatku powstałego nie tylko z powodu 75 lat polskiego Wrocławia, ale też 40 lat Solidarności i 30 samorządności. Zapraszamy również do odwiedzenia przepięknej stolicy Dolnego Śląska.
©© MICHAŁ SOWIŃSKI



**TYGODNIK
POWSZECHNY**

DODATEK DO „TYGODNIKA Powszechnego” 26/2020

REDAKCJA: Michał Sowiński,
Przemysław Wilczyński, Marek Rabij
PROJ. GRAFICZNY: Marek Zalejski
SKŁAD: Marta Bogucka / TP TYPOGRAFIA

PARTNERZY:

Wrocław miasto spotkań



www.wroclaw.pl



centrum
historii
zajezdnia

Kamienie milowe w najnowszej historii Wrocławia

6 LUTEGO 1990

■ Rozpoczyna nadawanie PTV Echo – pierwsza niepaństwowa telewizja nie tylko w Polsce, ale i w pozostałych krajach bloku wschodniego.

MAJ 1990

■ Pierwsze wolne wybory samorządowe. Powstaje Rada Miejska, a jej przewodniczącym zostaje prof. Stanisław Mięksiz. Na prezydenta Rada wybiera Bogdana Zdrojewskiego. Jedną z pierwszych decyzji Rady jest przywrócenie historycznego herbu Wrocławia, który ma symbolizować niemiecką przeszłość miasta.

1995

■ Europejskie Spotkanie Młodych Chrześcijań z Taizé.

1995-97

■ Remont wrocławskiego Rynku.

1996

■ Renata Mauer-Różańska (Śląsk Wrocław), strzelczyni, zdobywa złoty i brązowy medal na igrzyskach w Atlancie. 4 lata później w Sydney dorzuca kolejne złoto.

1996

■ Początek działania Wrocławskiego Parku Technologicznego. Założyły go Urząd Miejski Wrocławia, Dolnośląska Izba Gospodarcza oraz Fundacja Rozwoju Politechniki Wrocławskiej. Wrocław jest dziś w czołówce miast z największą liczbą start-upów w Polsce.

1997

■ 46. Międzynarodowy Kongres Eucharystyczny. Do miasta przybywają delegaci z aż 86 państw, a w mszy z udziałem papieża bierze udział kilkaset tysięcy pielgrzymów.

Miasto wielu imion

NORMAN DAVIES, HISTORYK:

Archipelag wysp na Odrze był zawsze skomplikowaną mieszkanką różnych kultur. Dlatego zależało mi, aby pokazać, że nikt nie ma monopolu na prawdę.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Pamięta Pan swoją pierwszą wizytę we Wrocławiu?

NORMAN DAVIES: Oczywiście, choć było to już ponad pół wieku temu. W latach 60. często bywałem w Polsce – jeździłem wtedy przez NRD, więc Wrocław był naturalnym przystankiem na mojej drodze. Przy okazji odwiedzałem zawsze Adolfa Juzwenkę, mojego dobrego przyjaciela, obecnie dyrektora Biblioteki Ossolineum.

Jak Pan wspomina miasto z tamtego okresu?

Panowała raczej ponura atmosfera – było szaro, wiele budynków wciąż czekało na odbudowę po wojennych zniszczeniach, więc co chwila natykało się na ruiny albo ogromne wyrwy w linii zabudowań. Nie było też restauracji ani kawiarni, co najwyżej bary mleczne, do których ustawiały się długie kolejki.

A jasne strony?

Och, rzeczywiście, narzekam, ale przecież wcale nie było tak źle. Poznałem wtedy wielu wspaniałych ludzi, z którymi przyjaźnię się do dziś. Pamiętam też, że na ulicy wszędzie słyszałem przepiękny, śpiewny akcent kresowy. Było to dla mnie fascynujące, ale jednocześnie nieco egzotyczne, bo Lwów i inne wschodnie tereny II RP pozostawały dla mnie kompletnie niedostępne – o wizie do Związku Radzieckiego historyk z Zachodu mógł tylko pomarzyć. Szczególnie po tym, jak wydałem książkę o wojnie 1920 r., która z pewnością nie spodobała się Sowietom. Niemniej pisałem wtedy wiele o Wilnie i Lwowie – miastach, które znałem tylko z książek i dokumentów.

A tak na marginesie – wszystko po doświadczeniu NRD jawiło się w jasnych barwach. Wschodniemieckie służby bezpieczeństwa były wtedy nieporównywalne z niczym – potwornie brutalne i zawzięte w gnębieniu ludzi, szczególnie podejrzanych obokrajowców. Tylko dzięki żelaznemu uporowi, no i łapówkom, udawało się przejechać przez ten kraj. Wrocław jawił się jak powiew wolności.

Dziś jest Pan honorowym obywatelem miasta – różnica jest chyba ogromna.

Inne światy. Mogłem też dużo lepiej poznać Wrocław – i to od najróżniejszych stron. Żałuję, że jeszcze nie miałem okazji spotkać się z nowym prezydentem, ale bardzo ciepło wspominam kontakty z poprzednimi władzami. Honorowy czy nie – czuję się obywatelem tego miasta. Wrocław to mój dom.

W 2002 r. wraz z Rogerem Moorhouse'em wydał Pan książkę „Mikrokosmos. Portret miasta środkowoeuropejskiego”. Jak to się stało, że został Pan biografem tego miejsca?

To było jeszcze za prezydentury Bogdana Zdrojewskiego. Byłem wtedy profesorem na uniwersytecie w Londynie, gdzie szefowałem katedrze historii Polski. Jednak przez 10 lat pracowałem nad bardzo grubą książką o historii Europy i nie miałem czasu na pisanie o Polsce. Rektor uczelni zaczął delikatnie mi to wypominać, namawiając mnie coraz usilniej do napisania czegoś większego o dziejach Polski. Byłem akurat we Wrocławiu i prezydent Zdrojewski wyznał mi, że marzy o wielkiej panoramie historycznej miasta. Zamówił już nawet taki tom u kilku innych historyków, ale na moje szczęście mieli spore opóźnienia. Tak więc z wielką radością zgodziłem się taką książkę napisać. Szybko jednak odkryłem, że zadanie może nie być takie proste, jak sobie to początkowo wyobrażałem.

Historia miasta jest trudniejsza do napisania niż historia państwa czy narodu?

Mechanizmy i narzędzia pozostają te same – dla mnie historia zawsze jest ciągłą zmianą. Nic nigdy nie stoi w miejscu, a wieczne trwanie nie istnieje. Co więcej, zmiana ma podwójny charakter, bo ewoluuje również nasza optyka patrzenia na przeszłość. Na przykład w PRL-u obowiązywała narracja, że tzw. ziemie odzyskane są odwiecznym polskim dziedzictwem, tyle że przez wieki okupowanym przez germańskiego najeźdźcę, co jest oczywistym



GRZYNA MAKARA

PROF. NORMAN DAVIES (ur. 1939) zajmuje się dziejami Europy, szczególnie Wysp Brytyjskich i Polski. Pochodzi z Walii. W 2002 r. wydał (z Rogerem Moorhouse'em) „Mikrokosmos. Portret miasta środkowoeuropejskiego” i otrzymał honorowe obywatelstwo Wrocławia. Odznaczony Orderem Orła Białego.

nonsensem. Ale w opisywaniu przeszłości trzeba również uwzględniać zmieniające się języki i punkty widzenia.

W przypadku Wrocławia ta mozaika różnych opowieści jest szczególnie skomplikowana. Dobrze to widać choćby w ciągle zmieniających się nazwach miasta.

Dlatego miałem poważny problem z tytułem mojej książki. Nie mogłem użyć żadnej z historycznych nazw, bo zawęziłoby to perspektywę tylko do jednego z wielu okresów trwania tego miasta. Pierwsza nazwa, która pojawia się w źródłach, to łacińska Wratislavia – najprawdopodobniej na cześć władcy praskiego Wratysława I (panował do ok. 921 r.). Tak więc początki nie są polskie, ale też nie czeskie czy germańskie – od zarania ten archipelag na Odrze był skomplikowaną mieszkanką różnych kultur. W sumie odnotowano aż 50 różnych określeń wyopowego grodu.

Każdy kolejny okres zmieniał jednak oblicze miasta.

Po średniowiecznym epizodzie czesko-piastowskim zaczęła się epoka germańska, ale rażącym uproszczeniem byłoby traktowanie jej jako jednolitej. Habsbursko-austriackie Presslau (1526-1740) różni się znacząco od pruskiego Breslau. W połowie XVIII wieku z miasta katolickiego stało się niemalże całkowicie protestanckie. Z kolei po wojnach napoleońskich, które wzbudziły silnie antyfrancuską reakcję na Śląsku, okazało się kolebką niemieckiego nacjonalizmu. W latach 1871-1945 Breslau stało się drugim po Berlinie miastem Prus. Mocno rozwinął się przemysł, a także uniwersytecki charakter miasta, do którego przybyło wielu zgermanizowanych Żydów. Miasto rozkwitło wtedy wspaniale.

Aż do nastania hitleryzmu.

Breslau było jednym z niemieckich miast, które nie głosowały na nazistów, lecz i tak zostało poddane totalitarnej dyktaturze faszystowskiej. Do 1939 r. element polski prawie całkiem tu zanikł, a Żydów skazano na zagładę. II wojnę światową miasto przetrwało niemalże bez szwanku – aż do stycznia 1945 r., gdy Hitler uczynił z niego Festung Breslau, twierdzą skazaną na zagładę. Jej poświęcenie miało kupić więcej czasu obrońcom Berlina, co częściowo się udało. 6 maja 1945 r. Armia Czerwona zajęła stos pozbawionych życia ruin.

Nic dziwnego, że polsko-niemieckie napięcie utrzymywało się przez dekady. Jak jest teraz?

Mam wrażenie, że udało się przełamać ten dualistyczny sposób myślenia: albo niemieckie Breslau, albo polski Wrocław – przede wszystkim wśród byłych i obecnych mieszkańców miasta. Historia nigdy nie jest czarno-biała, musimy myśleć także w innych tonacjach. ➔

→ Wiele elementów „biografii Wrocławia” przypomina historie innych miast Europy Środkowej.

Stąd też podtytuł książki – „Portret miasta środkowoeuropejskiego”, gdyż właśnie tu historia całego regionu szczególnie się zagęszcza, pisząc swoje najjaśniejsze i najczarniejsze karty. Podobnie problem wielokulturowości, tak charakterystyczny dla tej części Europy, w tym mieście zyskał szczególne znaczenie. Pisząc o Wrocławiu, ale też o całym Śląsku, z możliwie wielu perspektyw, zależało mi, aby pokazać, że nikt nie ma monopolu na prawdę – że takie miejsca jak Wrocław nigdy nie mogą stać się czyjeś na wyłączność.

Europa Środkowa to od zawsze problematyczne pojęcie. Czy jest dziś jeszcze sens go używać – szczególnie w kontekście politycznym?

Historia tego regionu charakteryzuje się dużą dynamiką. A politycznie sytuacja była zawsze trudna, bo pojawiały się silne wpływy ze wszystkich stron. Niemiecka Mitteleuropa oznaczała przyzwolenie dla germańskiej kolonizacji. Potem, gdy świat podzielił się żelazną kurtyną, przestrzeni dla działań politycznych było jeszcze mniej. Upadek Związku Radzieckiego otworzył nowy rozdział, pojawiły się nowe relacje i sojusze, choć raczej na poziomie nieformalnym. Ale na przykład w brytyjskim ministerstwie spraw zagranicznych Polska jeszcze 40 lat temu należała do kategorii „Europa Wschodnia”, a teraz znajduje się już w „Europie Środkowej”. Tego typu pojęcia nigdy nie mają na zawsze ustalonego znaczenia.

Często nazywał Pan Wrocław symbolem wielokulturowości. W ostatnich latach nad tym pojęciem zebrały się ciemne chmury. Czy obserwujemy zmierzch epoki pokojowego współistnienia kultur?

Obawiam się, że to możliwe. Stężenie różnych, bardzo niebezpiecznych odmian populizmu jest coraz większe, szczególnie w krajach wyznaczających ramy dla liberalnej demokracji. W Polsce sytuacja jest specyficzna, bo za sprawą powojennej polityki Stalina PRL stał się krajem monoetnicznym, co jest niezwykle rzadkie na świecie, zwłaszcza w przypadku tak dużych państw. To bardzo dziwna sytuacja, w pewnym sensie wręcz nienormalna.

Rozmawiamy z okazji 75-lecia przyłączenia Wrocławia wraz z Dolnym

Śląskiem do Polski. Myśli Pan, że dziś byłoby możliwe takie arbitralne przesunięcie granic?

Dziś, chyba, byłoby to nie do pomyślenia – przynajmniej w tej Europie, w której teraz żyjemy. Ale kto wie? Przyszłość zawsze jest niepewna. Niemniej w innych częściach świata takie przesunięcia są jak najbardziej prawdopodobne. Na przykład wewnątrz tego gigantycznego uniwersum, jakim są Chiny, inżynieria geopolityczna i społeczna ma miejsce od dawna – w wielu olbrzymich regionach dochodzi do masowych przesiedleń, zmieniających radykalnie charakter danej prowincji. Zawsze gdy władza – nieważne: hitlerowska, stalinowska czy inna – zaczyna traktować ludzi jak towar, w dodatku bardzo tani, takie rzeczy są możliwe. Wtedy zarówno życie pojedynczego człowieka, jak i całych milionów znaczy tyle samo, czyli nic.

Trwa pandemia. Jak wygląda sytuacja w Wielkiej Brytanii?

Nie mam pojęcia, bo z racji wieku nie wolno mi wychodzić z domu. Czasem tylko w środku nocy przespaceruję się po pustej ulicy, przy której mieszkam. A poza tym oglądam wiadomości i czytam prasę w internecie – wiem tyle samo, co i pan.

Pojawiają się najróżniejsze spekulacje – niektórzy twierdzą, że ten kryzys może być pozytywnym impulsem dla świata.

Trudno cokolwiek przewidywać, choć z pewnością świat po pandemii będzie wyglądał inaczej niż jeszcze kilka miesięcy temu. Już teraz straty, przede wszystkim w ludziach, są ogromne i przerażające. To wpływa na wiele rzeczy – także na mentalność. Wydaje mi się, że z powodu wszechobecnego strachu ludzie stają się bardziej zamknięci i podejrzliwi.

Jest szansa, że świat wróci do normy?

Nigdy nie ma powrotu do tego, co było. Już teraz widać, jak bardzo rosną w siłę Chiny. Cały Zachód – w tym Wielka Brytania – prawie zrezygnował z produkcji i przemysłu, więc jak tylko zaczyna brakować maseczek albo respiratorów, chińska pomoc okazuje się niezbędna. Podobnie w przypadku większości rzeczy codziennego użytku. W obliczu coraz gorszej sytuacji w USA – a niezbyt mądra ekipa rządząca tylko ten kryzys pogłębia – konflikt polityczno-ekonomiczny, który trwa już od lat, najprawdopodobniej zakończy się zwycięstwem Chin.

© P Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

Kamienie milowe w najnowszej historii Wrocławia

LIPIEC-SIERPIEŃ 1997

■ Powódź tysiąclecia. Nakładają się na siebie dwie fale powodziowe – z Odry i Widawy. Pod wodą znajduje się 40 proc. powierzchni miasta. Ginie 56 osób, a szkody materialne wynoszą 3,5 mld dolarów.

LISTOPAD 2002

■ Rafał Dutkiewicz pierwszym prezydentem Wrocławia wybranym w wyborach powszechnych. Wcześniej, we wrześniu 2001 r., następcą Bogdana Zdrojewskiego zostaje Stanisław Huskowski.

2007-12

■ Budowa Sky Tower (51 kondygnacji, ponad 200 m wysokości).

2012

■ Piłkarskie mistrzostwa Europy. We Wrocławiu oprócz Polaków grają Czesi, Grecy i Rosjanie. Przed zawodami powstają w mieście nowy stadion, lotnisko oraz autostradowa obwodnica. Zmodernizowany zostaje także dworzec kolejowy.

2012

■ Piłkarze Śląska po raz drugi w historii (wcześniej w 1977 r.) zostają mistrzami Polski.

2014

■ Miasto współorganizuje mistrzostwa świata w siatkówce.

2016

■ Wrocław Europejską Stolicą Kultury. Dwa tysiące wydarzeń i 5,2 mln uczestników. Pod szyldem ESK wydano siedemdziesiąt publikacji. W projekty angażuje się ponad 170 tys. osób.

2017

■ The World Games. Światowe Igrzyska Sportowe z udziałem ponad 3 tys. uczestników.

GRUDZIEŃ 2019

■ Nagroda Nobla dla Olgi Tokarczuk.

© P MS



STANISŁAW KLIMEK / MUZEUM MIEJSKIE WROCŁAWIA

Wrocław, Rynek od pierzei południowej – dziś i 75 lat temu

Historie domowe

MACIEJ ŁAGIEWSKI

**Przeszłość może nie być toksyczna
dla współczesności,
o ile tylko jest autentyczna.**



KRYSZYNA GORAZDOWSKA / MUZEUM MIEJSKIE WROCŁAWIA

ostatnio coraz częściej słyszymy: „To było w Breslau, a to już we Wrocławiu”. Kryje się w tym stereotyp, któremu ulegaliśmy przez lata. Wratislavia, Breslaw, Breslau i Wrocław to tylko różnie brzmiące nazwy tego samego organizmu w kolejnych stadiach rozwoju. Jako badacz dziejów patrzę na Wrocław z perspektywy historii europejskiej. Wtedy łatwiej zrozumieć i docenić wkład innych narodów w budowę i rozwój tego miasta, z którym również polskie losy zostały tak silnie związane. Najlepiej ujął to niemiecki literat i polityk Heinz Winfried Sabais w liście pisanym do swojego polskiego przyjaciela, wrocławskiego poety: „Drogi Tadeuszu Różewiczu, mieszka Pan we Wrocławiu, ja urodziłem się w Breslau (...). Jesteśmy Cives Wratislavienses. Bóg tak chciał. Miasto włączyło nas obu do swojej historii”.

ŻYCIE OD POCZĄTKU Przełomowym wydarzeniem, które sprawiło, że losy dwóch narodów na zawsze złączyły się w obrębie tej metropolii, był oczywiście ostatni akord drugiej wojny światowej – oblężenie Wrocławia. Żadna z katastrof ani epidemii w dziejach miasta nie przyniosła tak wielkich strat jak te 80 dni 1945 roku. W trakcie oblężenia stolica Dolnego Śląska zmieniła się w gruzowisko, a blisko 100 tysięcy mieszkańców poniosło śmierć. Była to apokalipsa miasta w każdym wymiarze jego funkcjonowania. Potem, na przestrzeni zaledwie kilku lat, całkowicie wysiedlono niemieckich mieszkańców, a ich →

→ miejsce zajęli Polacy, którzy często przyjeżdżali z regionów bardzo od Śląska odległych. Taka wymiana ludności była w Europie zdarzeniem bez precedensu – rozpoczął się nowy rozdział w historii Wrocławia.

Moi rodzice należeli do tych, którzy przybyli tu jako pierwsi i dosłownie zajęli się odbudową miasta. Pochodzili z pogranicza kujawsko-wielkopolskiego, ale poznali się na robotach przymusowych. Wojna odebrała im wszystko, a we Wrocławiu, jak większość tu osiadłych, musieli zaczynać od początku. Tato pochodził z domu o bardzo bogatych tradycjach narodowych i patriotycznych. Podczas wojny stracił nie tylko najbliższych, lecz także cały majątek i jak większość Wielkopolan nie krył uprzedzenia do Niemców, a nawet przekazał mi ku przestrodze niemiecką ulotkę o treści „Polak zostanie Polakiem. Polak nigdy nie będzie twoim kamratem”, którą nakleiono mu kiedyś na drzwiach mieszkania. Ten druk był przede wszystkim świadectwem dramatycznych polskich losów.

JESTEM WROCŁAWIANINEM! We Wrocławiu, gdzie mieszkamy od 75 lat, co dla historyka jest okresem niedługim, urodziły się nowe pokolenia, dla których miasto jest domem, ukochaną małą ojczyzną. Nawet więcej: my i pokolenie naszych dzieci wykazujemy wręcz pewne cechy *campanilismo*, swoistej zaściankowości wyrosłej z przekonania o wyjątkowości Wrocławia. To właśnie im, generacji młodych wrocławian, dedykuję swoją pracę. Dla nas lokalna świadomość, przywiązanie do własnego miasta i tradycji, jest już czymś oczywistym. A przecież jeszcze nie tak dawno Wrocław dla wielu ciągle był miejscem obcym i tajemniczym, a jego historia opowiadana była właściwie tylko z jednej perspektywy.

Jestem wrocławianinem! Bardzo mocno związanym ze swoim miastem, zarówno z jego teraźniejszością, jak i historią. Wrocław to dla mnie miejsce szczególne, tu się urodziłem i dorastałem. Z tym miastem związane jest także całe moje zawodowe życie. To przecież stolica prastarej krainy, leżąca na granicy dwóch obszarów kulturowych, zamieszkiwanej niegdyś przez różne plemiona, a następnie narody. Należy do tych regionów kontynentu, które nieustannie były obiektem sporów i walk o wpływy. Ale równie istotna jest ta historia najbliż-

sza, osobista, związana z miejscami i wydarzeniami przechowywanymi w naszej pamięci i sercu. W niej najważniejsze są zawsze dom rodzinny z ogrodem, szkoła, miejsce kultu religijnego, a także cmentarz z grobami przodków. W naszym regionie pozostały z odległych czasów jedynie nieliczne nekropolie, czasem pojedyncze groby, które nie zawsze są wystarczającym źródłem kompletnej wiedzy o tej ziemi. Dla historyka mają one jednak wielkie znaczenie, tak jak np. Stary Cmentarz Żydowski we Wrocławiu – jedyna na terenie miasta zachowana dziewiętnastowieczna nekropolia. Zarośnięta dziką roślinnością, z oryginalnymi nagrobkami, fascynowała mnie od młodości. Wiedziony chęcią poznania przeszłości Wrocławia i regionu zacząłem ją odkrywać, a przede wszystkim historie pochowanych tam ludzi, pantheonu wrocławskich Żydów, jak zwykle się nazywać ten cmentarz.

TYSIĄC LAT HISTORII

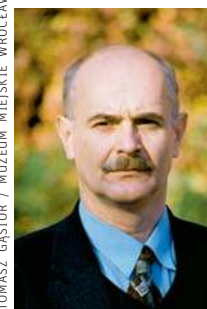
Bardzo ważnym dla mnie obiektem we Wrocławiu jest także odrestaurowany Pałac Królewski, w którego wnętrzach oglądamy dziś wybrane świadectwa z dziejów miasta. Powstała w nim wystawa wolna od politycznych emocji i stronnictwa komentarla, tworzona z przekonaniem, że przeszłość może nie być toksyczna dla współczesności, o ile jest autentyczna.

Tamtejsze „1000 lat Wrocławia” jest przede wszystkim wspólnym dziełem mieszkańców regionu, którzy odpowiedzieli na apel muzealników poszukujących eksponatów. Niemal z całego świata trafiały do nas wrocławskie pamiątki, a wraz z nimi bezcenne wspomnienia żyjących tu niegdyś i obecnie ludzi. Ten historyczny portret wrocławian obejmuje ludzi różnej przynależności narodowej i religijnej, ale zawsze czujących się obywatelami jednego miasta, członkami wyjątkowej społeczności. Ekspozycja stała się więc pomostem między dawnym i współczesnym Wrocławiem. Często młodzi wrocławianie oprowadzają po niej urodzonych w tym mieście przed 1945 rokiem. To jeden z przykładów, gdy poprzez odkrywanie historii miejsca udało się stworzyć nić przywiązania do małej ojczyzny i zbudować pokoleniowe poczucie tożsamości lokalnej.

Do takich miejsc należy również „Galeria popiersi wielkich wrocławian” w Starym Ratuszu, hołd krajanom poważanym

i szanowanym przez cały świat. Fundatorami większości popiersi są współcześni wrocławianie, którzy identyfikują się z arcybogatą spuścizną kulturową Śląska. Jedna z postaci prezentowanych w galerii zasługuje na szczególną uwagę. To dziewiętnastowieczny poeta, dramaturg, pieśniarz i aktor Karl von Holtei. Fascynował go Śląsk, był uosobieniem rodzimego patriotyzmu, a co dla nas, Polaków, najistotniejsze – Holtei był też entuzjastą polskiej kultury i historii. To jeden z największych polonofilów w dziejach Wrocławia. Pisał o Tadeuszu Kościuszcze, Stanisławie Augustie Poniatowskim, Karolu Lipińskim i innych. Na jego nagrobku, który niestety uległ likwidacji, umieszczona była inskrypcja w śląskim dialekcie „Nie ma jak w domu”, powtarzająca starą mądrość, głoszącą pochwałę pielęgnowania tego, co człowiekowi najbliższe, kultury małej ojczyzny: własnej ulicy, dzielnicy, miasta, bez względu na różnice religijne, społeczne czy narodowościowe. Po śmierci Holteia jedno ze wzniesień nad brzegiem Odry nazwano jego imieniem i ustawiono tam poświęcony mu pomnik. Dziś to samo wzgórze, nazwane Polskim, od dzielnicy zamieszkałej niegdyś przeważnie przez Polaków, sąsiaduje z budynkiem Panoramy Racławickiej. Czyż to nie fantastyczny zbieg okoliczności, że pomnik śląskiego polonofila, opiewającego Tadeusza Kościuszkę, bohaterskiego zwycięzcę spod Racławic, stał opodal?

Historia Wrocławia, choć w wielu momentach bardzo dramatyczna, jest też wspaniałą lekcją tolerancji. Przykład miasta, w którym na przestrzeni dziejów żyli reprezentanci różnych narodowości, wydaje się szczególnie ważny, biorąc pod uwagę wielokulturowe pochodzenie jego obecnych mieszkańców. W naszej podświadomości powstaje uczucie osobliwej kontynuacji życia lokalnej wspólnoty. Na tym zapewne polega prawdziwa ciągłość dziejów i kultury Wrocławia. ©



MACIEJ ŁAGIEWSKI
jest dyrektorem
Muzeum Miejskiego
Wrocławia,
historykiem i prawnikiem. W tym roku
otrzymał tytuł
honorowego
obywatela miasta.

TOMASZ GĄSIOR / MUZEUM MIEJSKIE WROCŁAWIA



Katedra demokracji

KATARZYNA WIENCONEK

Czy architektura może być demokratyczna? Tak uważał Max Berg, projektant Hali Stulecia.

W tym roku przypada 150. rocznica jego urodzin. Berg – socjaldemokratyczny idealista, który fascynował się gotykami i inspirował ekspresjonizmem – dziś jest najbardziej znany ze swoich modernistycznych projektów, a perłą w jego dorobku pozostaje Hala Stulecia. Jako architekt miejski i urbanista proponował dzielenie miasta na strefy ze względu na ich funkcję – bo to ona, a nie forma, była dla niego najważniejsza.

Według tych właśnie założeń w 1913 r., w ciągu zaledwie 13 miesięcy, powstała Hala Stulecia. Miasto otrzymało nowe, funkcjonalne, a jednocześnie spektakularne miejsce dla spotkań i dyskusji. Berg chciał nadać przestrzeni wspólnej właściwą oprawę. Mimo dziejowej zawieruchy, wielokrotnych zmian ustrojów i nazw samego obiektu, Hala nadal, zgodnie z zamysłem swojego projektanta, służy mieszkańcom i gościom stolicy Dolnego Śląska.

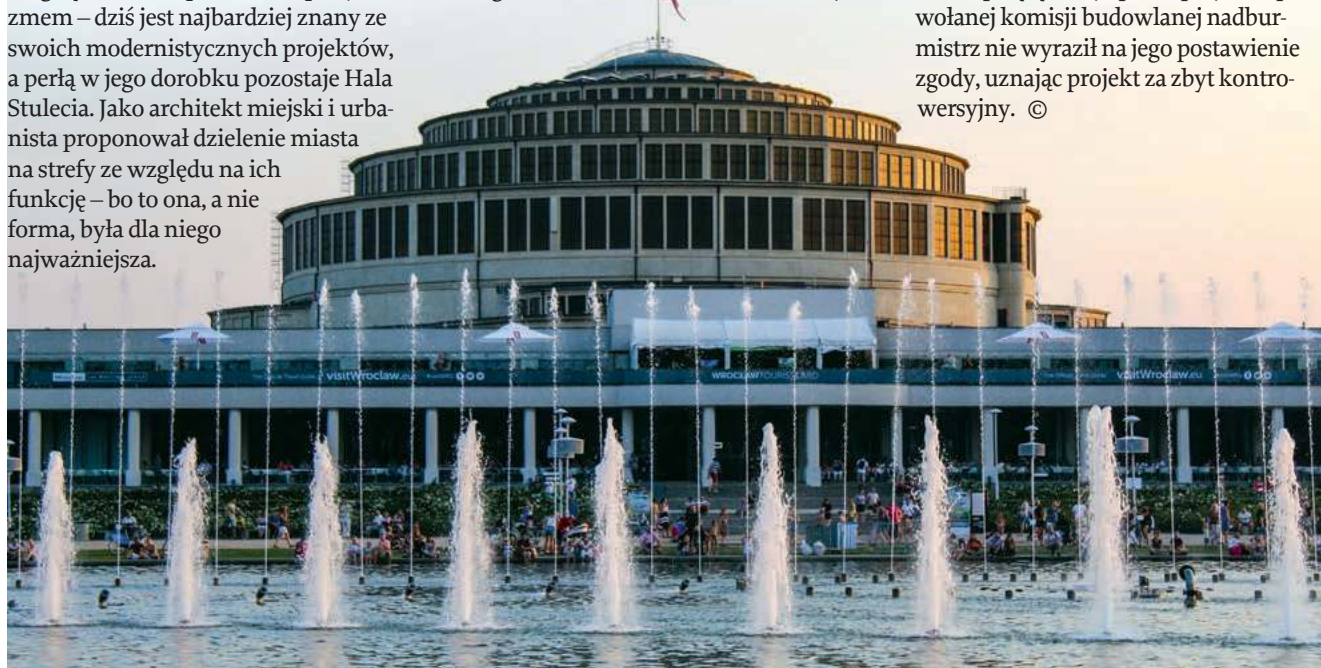
Największe wrażenie robi tu gra światła w katedralnej, żebrowej kopule. Nowatorska, jak na czasy jej powstania, żelbetowa konstrukcja jest głównym powodem wpisania kompleksu Hali Stulecia na prestiżową Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO, na której

znajduje się obecnie jedynie 16 polskich miejsc i obiektów.



Bergowi nie udało się zrealizować we Wrocławiu wszystkich wizjonerskich pomysłów. A miał ich całkiem sporo, z modernistycznymi, strzelistymi wieżowcami na czele. Drapacze

chmur miały stanąć w specjalnie wyznaczonych punktach, aby jednocześnie nie zaciemniać zabudowy mieszkaniowej. Jeden z nich (93-metrowy!) Berg widział w samym sercu wrocławskiego Rynku. Mimo pozytywnej opinii specjalnie powołanej komisji budowlanej nadburmistrz nie wyraził na jego postawienie zgody, uznając projekt za zbyt kontrowersyjny. ©



Polska Dolina Krzemowa

Dynamicznie rozwijające się zaplecze ekonomiczne, akademickie i technologiczne – bez nich rozwój stolicy Dolnego Śląska nie byłby zapewne możliwy.

Wrocławski Park Technologiczny – największa tego typu instytucja w Polsce – to jeden z tych obszarów, dzięki którym świat staje się dla wszystkich lepszym miejscem do życia. Działa tu choćby biotechnologiczna spółka Amplicon, która rozpoczęła produkcję testów diagnostycznych wykrywających COVID-19. Wykorzystuje ona precyzyjną metodę genetyczną, pozwalającą uzyskać wynik już po paru godzinach. Ale to niejedyna broń przeciwko pandemii, która powstała we Wrocławu

skim Parku Technologicznym. Spółka infraSpectra stworzyła FevIR, termometr na podczerwień do bezkontaktowego mierzenia temperatury ciała z odległości czterech metrów. Jak zapewnia dr inż. Jędrzej Szela, prezes i główny inżynier w dziale termografii podczerwieni infraSpectra, urządzenie umożliwia wykrywanie gorączkujących osób z dokładnością 0,3 st. C i w czasie krótszym niż 0,3 s. Automatyczny system termograficzny skanuje temperaturę okolicy kciaków oczu i jest w stanie dokonać jednoczesnego pomiaru u trzech osób.

Z kolei spółka Ekolabos prowadzi badania nad tak niezbędnymi dziś środkami do dezynfekcji dłoni i powierzchni, a także preparatami do chirurgicznej dezynfekcji dla szpitali oraz branży weterynaryjnej i spożywczej.

Wrocław to także prężnie rozwijający się rynek start-upów. Świetnie się tu odnajdują technologie związane

z branżą life science czy IT. W Parku działa ponad dwieście firm. Miejscowi przedsiębiorcy znajdują tu wsparcie merytoryczne w zakresie rozwoju biznesu (projekty R&D, optymalizacja procesów biznesowych, pozyskiwanie dofinansowań i rozszerzanie sieci klientów), ale i przestrzeń potrzebną do rozwoju innowacji, w tym infrastrukturę biurową, światowej klasy laboratoria i nowoczesną halę produkcyjną.

Wrocław wierzy w talent, w pomysły i wspiera je również w trakcie kryzysu. W ramach akcji #WROinspirowuje, projektu Agencji Rozwoju Aglomeracji Wrocławskiej, tutejsze firmy dzielą się swoją wiedzą online. Chętnych nie brakuje. A w czasie pandemii firmy wspierają się też nawzajem, ratując miejsca pracy i wypożyczając sobie pracowników.

Wykorzystanie lokalnych zasobów w walce z pandemią jest sposobem na zminimalizowanie skutków kry-



zysu. Wrocław swój rozwój opiera na tej właśnie polityce i jest to metoda skuteczna.

Pomysły wywodzące się z Wrocławskiego Parku Technologicznego, przekuwane w konkretne działania oraz produkty, rezonują daleko poza granicami kraju. Co z pewnością jeszcze nie raz będzie dla miasta powodem do dumy. © P MS



MACIEJ LULKO / UM WROCŁAWIA

Nowe Żerniki, architektura prospołeczna

Na początku 2020 r. Towarzystwo Budownictwa Społecznego Wrocław przekazało miastu 57 mieszkań dla seniorów na Nowych Żernikach. Ich lokatorzy w najbliższym sąsiedztwie znajdą m.in. opiekę medyczną, stołówkę i punkt opieki dziennej. Budynek łączy trzy funkcje i trzy pokolenia: mieszkania z serwisem opiekuńczym dla osób starszych i niepełnosprawnych, mieszkania pod wynajem oraz przedszkole. Obok wewnętrzne patio budynku. © P MS



Podstawą działania Wrocławskiego Parku Technologicznego (panorama na zdjęciu) jest inwestowanie w przyszłość innowacyjnych firm, którym oferuje się tu nie tylko powierzchnie biurowe, ale też usługi i pracownie umożliwiające prowadzenie biznesu. Na 66 tysiącach metrów kwadratowych dostępnych w dziewięciu budynkach składających się na kampus Parku mogą się rozwijać start-upy, małe i duże firmy czy międzynarodowe korporacje.



Jedną z firm WPT jest MotionSystems, specjalizująca się w tworzeniu platform ruchu (powyżej) oraz symulatorów – produktów docenianych na całym świecie.

Jedno z przedsiębiorstw WPT to KrioSystem – dostawca systemów dystrybucji skroplonych gazów. Dwie dekady doświadczenia i wykwalifikowana kadra inżynierów pozwalają dostarczać zaawansowane urządzenia i instalacje dla przemysłu czy medycyny.



Firma QNA Technology (poniżej) jest pionierem wdrażania nanotechnologii, a Saule Technologies (po prawej) to ogniwa fotowoltaiczne z perowskitu – dające nowe możliwości architektom i firmom budowlanym, chcącym korzystać z energii słonecznej.



WPT / MATERIAŁY PRASOWE X5

Nasz strajk dla Gdańska

WOJCIECH KUCHARSKI

**We wspomnieniach powraca jedno stwierdzenie,
kwitujące brak autobusów i tramwajów
w chłodny poranek 26 sierpnia 1980 roku: „Zaczął się”.**

Napięcia, których kulminacją był przełomowy sierpień 1980 r., trwały w Polsce od dłuższego czasu. Już w lipcu po podwyżce cen mięsa rozpoczęły się masowe protesty. Najwięcej zakładów zastrajkowało na Lubelszczyźnie. Władzom udało się wówczas wyciszyć sytuację tymczasowymi ustępstwami. Wydawało się, że wszystko wraca do normy. Najważniejsi dygnitarze udali się na wakacje. Także Edward Gierek, który pojechał odwiedzić Leonida Breżniewa na Krymie. Duża część mieszkańców Polski przeżywała trwające właśnie igrzyska olimpijskie w Moskwie, podczas których swój słynny gest – po zwycięskim skoku o tyczce – wykonał Władysław Kozakiewicz. Przez wielu uznany za obraźliwy, odczytany został jednak także jako symbol, że Polacy – mimo przeciwności – wygrają.

Zakłócenia w rytmie pracy

Ówczesna prasa nie dostrzegała zbliżającej się znad Wybrzeża burzy. Usypiała czujność społeczeństwa artykułami o wakacjach, pogodzie nad morzem, odnalezionym na Majorce fortepianie Fryderyka Chopina, nowych nabytkach Ossolineum czy wchodzących do kin „Gwiazdnych wojnach”. Niewiele z nas dzisiaj pamięta, że właśnie w sierpniu 1980 r. doszło pod Bydgoszczą do największej katastrofy kolejowej w powojennej Polsce, w której zginęło 67 osób, a 64 odniosły rany. Nawet początek sierpniowego strajku w Gdańsku dzienniki skwitowały niewiele mówiącym tytułem „Zakłócenia w rytmie pracy”.

Po dyskusjach w nocy z 17 na 18 sierpnia opublikowano w Gdańsku słynne 21 postulatów. Był to początek komunikowania polskiemu społeczeństwu i światu, że robotnicy Wybrzeża walczą nie tylko o sprawy bytowe, ale także o prawa, a mówiąc po dawnemu – wolności obywatelskie.

Uniwersalna wartość tych praw dostrzeżona została także poza Gdańskiem, m.in. we Wrocławiu. Już 19 sierpnia redakcja „Biuletynu Dolnośląskiego”, czyli środowiska opozycyjnego skupionego wokół Kornela Mo-

rawieckiego i Jana Waszkiewicza, wydała ulotkę wzywającą do poparcia strajkujących w Gdańsku.

Tydzień później dwóch kierowców – Tomasz Surowiec i Bohdan Jetz – wspieranych przez mechanika-pilota Czesława Stawickiego rozpoczęło strajk w zajezdni autobusowej nr VII przy ul. Grabiszyńskiej (dzisiaj mieści się tu muzeum – Centrum Historii Zajezdni). Po latach Władysław Frasiuk nazwie Surowca „wrocławskim Lechem Wałęsą”.

Bardzo szybko do akcji protestacyjnej dołączyły inne zajezdnie, w ciągu kilku porannych godzin transport publiczny we Wrocławiu stanął. Strajk w tym zakładzie pracy okazał się kluczowy, gdyż od wczesnych godzin mieszkańcy miasta oczekujący na autobusy i tramwaje uświadamiali sobie, że coś się dzieje. W wielu wspomnieniach przywoływane jest jedno stwierdzenie, kwitujące brak przyjeź-



dżającego autobusu w chłodny poranek 26 sierpnia: „Zaczęło się”.

Łączność z Wybrzeżem

Tymczasem do zajezdni przy ul. Grabiszyńskiej zaczęli zjeżdżać się delegaci różnych zakładów pracy, którzy podjęli decyzję o przyłączeniu się do akcji strajkowej, a także regularni opozycjoniści, związani przede wszystkim z SKS-em oraz KSS KOR, którzy już od końca lat 70. aktywnie włączali się w walkę o wolność. Jednymi z pierwszych byli: Jarosław Broda, Stanisław Huskowski, Piotr Starzyński, Krzysztof Turkowski i Tomasz Wacko. Później dołączyli: profesorowie Mirosława Chamcówna i Roman Duda, dr Jan Waszkiewicz i wielu innych. Dzięki nim na terenie zajezdni szybko zorganizowano sprawnie działającą drukarnię, wydawano regularnie komunikaty, które zawierały najważniejsze informacje o przebiegu strajku, powołano biuro informacyjne ulokowane w jednym z autobusów, stworzono też straż strajkową.

Liczba delegatów rosła z godziny na godzinę. Już po południu 26 sierpnia była tak duża, że postanowiono powołać prezydium Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego. Na jego czele stanął Jerzy Piórkowski, kierowca z Grabiszyńskiej, a jednocześnie członek PZPR, cieszący się zaufaniem i autorytetem wśród pracowników. Dzięki współpracy z działaczami z Klubu Inteligencji Katolickiej, a dokładniej z Maciejem Ziębą (wówczas fizykiem, dzisiaj dominikaninem i filozofem), o strajku powiadomiony został arcybiskup Henryk

Gulbinowicz, który szybko wyraził publicznie swoje poparcie dla strajkujących.

Widocznym znakiem wsparcia ze strony Kościoła były polowe msze święte celebrowane w zajezdni przy Grabiszyńskiej 29 i 31 sierpnia, którym przewodniczył duszpasterz studentów ks. Stanisław Orzechowski. Msze organizowano również w innych zajezdniach. Ta relacja między Kościołem i strajkującymi robotnikami to rys charakterystyczny polskiego ruchu robotniczego, niespotykany nigdzie indziej na świecie.

Wielu strajkujących do dzisiaj wspomina poczucie wielkiego wsparcia ze strony mieszkańców miasta – nie tylko zrozumienia, ale też zaangażowania: w dostarczanie żywności, potrzebnych materiałów czy pomoc w transporcie i łączności w całym mieście. Zdarzało się nawet, że przez kraty zamkniętej zajezdni wrzucano pieniądze. Niezwykły gest wykonał także pracownicy Opery Wrocławskiej, którzy 31 sierpnia zorganizowali na placu zajezdni koncert standardów operowych, m.in. fragmentów „Strasznego dworu” Stanisława Moniuszki.

W ciągu 6 dni liczba komitetów zrzeszonych we wrocławskim MKS-ie przekroczyła 170, obejmując zasięgiem cały Dolny Śląsk. Do dzisiaj nierozstrzygniętą kwestią pozostaje, kto rzucił pomysł, by strajk wrocławski był solidarnościowy. Aby Wrocław nie formułował własnych postulatów, ale strajkował dla Gdańska. Po latach Kornel Morawiecki powie, że strajk wrocławski zmienił wiatr znad Wybrzeża w burzę nad Polską. Chcemy myśleć, że to właśnie wówczas, we Wrocławiu, narodziła się idea solidarności, zarówno tej pisanej małą, jak i dużą literą.

Poważnym problemem dla strajkujących we Wrocławiu był brak łączności z Gdańskiem. Kilka dni przed końcem miesiąca wysłano do Trójmiasta trzy delegacje, które miały zorientować się, na jakim etapie są negocjacje, i potwierdzić zawarcie porozumień. Pierwsza została zatrzymana w pociągu przez milicję, druga dotarła na Wybrzeże skodą (jej kierowcą był Bolesław Czernewcan, a jednym z pasażerów Bogdan Ziobrowski), trzecia zaś dużym fiatem (w skład tej delegacji wchodził Antoni Skinder i Hubert Hanusiak).

Po dotarciu do Gdańska wrocławianami zaopiekował się Bogdan Lis. Wrocławscy delegaci byli wśród robotników na sali BHP w stoczni podczas podpisywania porozumień sierpniowych. By jednak strajk we Wrocławiu się zakończył, musieli mieć uwierzytelnioną kopię tekstu porozumień. Uzyskali ją z gdańskiego MKS-u z podpisem Anny Walentynowicz. 1 września, około 4 nad ranem, delegaci powrócili do zajezdni przy ul. Grabiszyńskiej, gdzie w obecności wojewody wrocławskiego Janusza Owczarka odczytano treść porozumień. Kilka godzin później autobusy i tramwaje wyjechały na ulice.

Nieco ponad dwa tygodnie później delegaci z całej Polski powołali do życia ogólnopolską organizację: Niezależny Samorządny Związek Zawodowy Solidarność.

Dla Wrocławia, który przeżył niemal całkowitą wymianę ludności w 1945 r. i wciąż buduje swoją współczesną tożsamość, opisany tu strajk z sierpnia 1980 r. jest jednym z kluczowych momentów powojennej historii. To wtedy nowi mieszkańcy, do niedawna przebywający w obcym mieście, poczuli się wreszcie u siebie.

©

Msza św. na terenie zajezdni autobusowej nr VII przy ul. Grabiszyńskiej podczas strajku solidarnościowego z robotnikami Wybrzeża. Wrocław, sierpień 1980 r.



ARCHIWUM OŚRODKA PAMIĘCI I PRZYSZŁOŚCI



Budowa biurowca Poltegor (125 m) u zbiegu ulic Powstańców Śląskich i Wielkiej – 1974 r. Do jego wyburzenia w 2007 r. był to najwyższy budynek w mieście. Dziś stoi tu Sky Tower.



Światowy Kongres Intelktualistów w Obronie Pokoju w auli Politechniki Wrocławskiej – 1948 r. Wśród gości Pablo Picasso (pierwszy z lewej).



Rozpoczęta w czerwcu 1972 r. przebudowa skrzyżowania ul. Świdnickiej z ówczesną ul. Karła Świerczewskiego (dziś – Józefa Piłsudskiego). Październik 1972 r.



Starcia wrocławian z milicją w drugą rocznicę podpisania porozumień sierpniowych. 50-tysięczna manifestacja przerodziła się w regularną bitwę uliczną. Na zdjęciu Most Grunwaldzki, 31 sierpnia 1982 r.



ARTUR BARBAROWSKI / EAST NEWS



DARIUSZ SANKOWSKI / PIXABAY

EURO 2012. Mecz Polska – Czechy we Wrocławiu, 16 czerwca 2012 r. Obok Stadion Wrocław, specjalnie wybudowany na mistrzostwa Europy.

WROCŁAW – EUROPEJSKA STOLICA KULTURY 2016. Artyści z Lublina w ramach projektu Koalicja Miast, inicjatywy wrocławskiego biura ESK, maj 2016 r.



TOMASZ PIETRZYK / AGENCIA GAZETA





KONRAD STAWICKI / BEW



UM WROCŁAWIA

POWÓDŹ TYSIĄCLECIA.

W lipcu 1997 r. pod wodą znalazło się 40 proc. powierzchni miasta.

TAT. Budowa trasy autobusowo-tramwajowej na Nowy Dwór. Największa inwestycja komunikacyjna miasta od 1949 r.

To 7 kilometrów trasy oraz dwa wiadukty: 160-metrowy nad torami kolejowymi i 22-metrowy nad ulicą Smolecką. TAT wrocławianie pojadą w 2023 r.

AFRYKARIUM jest największą atrakcją wrocławskiego ogrodu zoologicznego. To unikatowe na światową skalę oceanarium prezentuje wyłącznie gatunki zwierząt pochodzących z Afryki.



UM WROCŁAWIA

NA PANORAMIE od lewej: budynek Sky Tower, bulwary i w tle wieża znajdującej się na wrocławskim rynku bazyliki św. Elżbiety. W centrum na pierwszym planie Ostrów Tumski, najstarsza, zabytkowa część Wrocławia, po prawej dachy katedry św. Jana Chrzciciela, w oddali elektrociepłownia i most Milenijny.



BRUNO COELHO / STOCK.ADOBE.COM



UM WROCŁAWIA

Wrocław czasu polskiego

JACEK SUTRYK, PREZYDENT WROCŁAWIA:

**Tutaj się nikogo nie pyta, skąd przybył
ani jak długo już tu mieszka, bo w pewnym sensie
wszyscy „skądś” przyjechaliśmy.**

MAREK RABIJ: Zastanawiał się Pan kiedyś, kto mieszkał w Pana rodzinnym domu przed Pańską rodziną?

JACEK SUTRYK: Ależ oczywiście! Podejrzewam, że taka myśl przynajmniej raz

musiała pojawić się w głowie każdego przyjeźdnego wrocławianina lub jego potomka. Moja rodzina trafiła do Wrocławia w 1946 r. Oczywiście, że Wschodu, jak większość przesiedleńców. Mieszka-

liśmy w okolicy, która przed wojną było osiedlem pracowniczym wrocławskiej gazowni. Kiedy chodziłem do szkoły podstawowej, niektórzy z tych byłych breslauerów cieszyli się jeszcze dobrym zdrowiem i przyjeżdżali z Niemiec, żeby odwiedzić stare kąty.

Przypadek sprawił, że do naszych drzwi nigdy nikt nie zapukał, ale mieliśmy świadomość, że zajęliśmy czyjeś miejsce.

Moja rodzina po wojnie również osiedliła się niedaleko Wrocławia, pod Głogowem. Dziadek w Wielką Sobotę co roku zaganiał wszystkich na strych, gdzie w pudłach leżały poniemieckie buty. Kilkanaście par. Pastowało się je wszystkie po kolei i wkładało z powrotem do pudełek. Dziadek nie pozwalał ich wyrzucić, a tym bardziej nosić. „To nie nasze” – mówił.

A moja babcia, zanim przeniosła się do Wrocławia, przez blisko rok mieszkała pod jednym dachem z Niemcami w Środzie Śląskiej. Dwie rodziny razem prowadziły gospodarstwo. Potem Niemców zmuszono do wyjazdu, ale jeszcze przez długi czas pisali do babci listy w sprawie majątku i inwentarza, udzielając jej porad. Ludzie nadal czuli się gospodarzami tej ziemi, choć już jej nie zamieszkiwali, co z kolei u nowych gospodarzy mogło budzić pewne obawy.

I budziło. Będąc dzieckiem bardzo się bałem, że pewnego dnia Niemcy wrócą i nas wyrzucą. W szkole ładowali nam łopatami do głowy niemiecki rewizjonizm. Nie potrafiłem zrozumieć, że coś, co konstytuuje już moją tożsamość, było również składową czyjejś tożsamości.

To muszę panu powiedzieć, że ja jakoś nigdy nie żywiłem takich obaw.

Widocznie trafił Pan na dobrych nauczycieli.

No tak. Jako socjolog zdaję sobie sprawę, że w życiu społecznym nie istnieją wielkie kwantyfikatory, i że byli też tacy, którzy tę narrację o „ziemiach odzyskanych” prowadzili w inny sposób. Niemniej jakoś zawsze było dla mnie jasne, że Wrocław kiedyś był po prostu niemiecki. Ale rozumiem też obawy, zwłaszcza starszego pokolenia mieszkańców Dolnego Śląska, którzy chyba dopiero po

spotkaniu Kohl–Mazowiecki w Krzyżowej w 1990 r. zrozumieli, że naprawdę mogą się czuć tu u siebie.

Przygotowując obchody rocznicy jeszcze raz musieliście zmierzyć się z tą historią. Bo właściwie co teraz świętujecie?

Faktycznie, było trochę semantycznej gimnastyki. Nie mogliśmy przecież obchodzić 75-lecia powrotu Wrocławia do Polski, bo nie było żadnego powrotu. Wyzwolenia Wrocławia? Tym bardziej. Wiemy przecież, jak to wyglądało, nawet ludzie z mojego pokolenia pamiętają jeszcze ruiny na ulicach. Ale te kalki językowe siedzą w nas nadal głęboko. Pamiętam, że podczas któregoś ze spotkań poświęconych planowaniu obchodów sam powiedziałem z rozpędu o „rocznicy wyzwolenia”. Oczywiście, natychmiast się poprawiłem.

Postanowiliśmy więc nazwać rzecz po imieniu i świętujemy 75-lecie powojennego polskiego Wrocławia, podkreślając w ten sposób jednocześnie ciągłość i zmienność wrocławskiej tożsamości, w której raz dominowała śląskość, innym razem czeskość i niemieckość, aż wreszcie przyszedł czas polskiego Wrocławia. Chcemy opowiadać o mieście, które nie stałoby się takie, jakie jest teraz, zarówno bez Polaków, którzy osiedlili się tutaj po 1945 r., jak i bez Niemców, którzy wcześniej zamieszkiwali je przez stulecia. W tym momencie i muszę, i chcę podziękować wrocławianom, którzy od początku lat 90., odkąd tylko można było uczciwie rozmawiać o historii, konsekwentnie budowali nową tożsamość naszego miasta: polskość i niemieckość czy żydowskość są traktowane na równych prawach. Cały numer, mówiąc kolokwialnie, polega na tym, żeby dostrzegać je wszystkie jednocześnie, bo żadna z nich nie jest prawdziwsza od innych.

A to już dyskusja także o Wrocławiu i o Dolnym Śląsku jako regionie, małej ojczyźnie. Samorząd był silny we Wrocławiu właściwie od początku polskiej transformacji ustrojowej.

Rzeczywiście, wrocławianie wiele uwagi poświęcają samorządności. W takim prostym, zdrowym znaczeniu, odpowiedzialności za siebie i za swój dom. Ja często mówię o Republice Wrocławskiej, za co mi się dostaje od zwolenników cen-

tralizmu, choć przecież nie chodzi mi o ciągotki separatystyczne, których tu nigdy nie było, lecz o odwołanie do łacińskiej *res publica*, czyli wspólnej sprawy, wspólnego dobra.

Nigdy nie mieliśmy też na Dolnym Śląsku sytuacji, w jakiej znajduje się choćby województwo lubuskie, z dwoma ośrodkami miejskimi aspirującymi do rangi stolicy regionu, lub kujawsko-pomorskie, niejako rozdarte między Bydgoszczą a Toruniem.

Albo pomorskie z Trójmiastem. Czy choćby konurbacja Górnego Śląska. Tuż stolicą zawsze był Wrocław. Zarówno w wymiarze czysto demograficznym, bo nie ma drugiego tak dużego miasta w regionie, jak i w sferze kultury, edukacji, a w ostatnich latach zwłaszcza pod względem ekonomicznym. Pomimo tak silnych procesów centralizacyjnych w obrębie regionu udało nam się jednak we Wrocławiu utrzymać atmosferę otwartości. Wręcz inkluzywności. Tu się nikogo nie pyta, skąd przybył ani jak długo tu mieszka – wszyscy w pewnym sensie „skądś” przyjechaliśmy do Wrocławia, nawet jeśli się tu urodziliśmy. Dla mnie szalenie ważną sprawą jest pielęgnowanie tej atmosfery, która nie tylko sprawia, że się tu po prostu miło mieszka, ale też przyciąga inwestycje i utalentowanych ludzi.

Dolnośląskie jest też jednym z regionów Polski o najwyższej liczbie wykrytych przypadków COVID-19. Nakłada się to na coraz ostrzejszy konflikt z władzą centralną, która w samorządach obsadzonych przez niezależnych od niej ludzi widzi matecznik opozycji. Pytanie o stabilność finansów Wrocławia w 75. rocznicę jego wejścia w sferę politycznych wpływów Warszawy jest nie do uniknięcia.

Zacznę od tych napięć między rządem a nami. Pracuję w samorządzie od 14 lat. To już sporo, choć oczywiście są tu koledzy ze znacznie dłuższym stażem. Wie pan, w najczarniejszych wyobrażeniach nie myślałem, że trzydzieści lat po narodzinach wolnej Polski i trzy dekady po reformie samorządowej będziemy toczyć dyskusję pod hasłem: centralizacja kontra decentralizacja. Że będziemy musieli, jak w zeszłym roku w Gdańsku podczas uroczystości czerwcowych, przyjmować

21 postulatów, które będą nie tyle wołaniem o ulepszenie samorządu w Polsce, ile apelem o jego ratowanie.

A wracając do pańskiego pytania – tak, czuję żal, nawet pretensje, że w tak trudnym momencie władze centralne nie chcą skorzystać z naszych kompetencji, doświadczeń i współpracować z nami – zarówno w tej sferze, która wiąże się bezpośrednio z walką z epidemią, jak i tej, która koncentruje się na ratowaniu lokalnej gospodarki. Mogę po ludzku rozumieć, że dla polityków rządzącej partii samorząd to Trzaskowski, Dulciewicz czy Sutryk, ale przecież tak naprawdę samorząd to ludzie.

Proszę się nie krzywić. Wiem, że to brzmi jak pustosłowie, no ale, panie redaktorze, my po 30 latach wracamy do dyskusji o pryncypiach! Nagle, tak jak w zeszłym roku, kreśli się mieszkańcom Polski fałszywą opowieść o silnym samorządzie, który rzekomo zagraża silnemu państwu, podczas gdy w rzeczywistości jest na odwrót, bo silny samorząd jest moim zdaniem sojusznikiem sprawnej władzy centralnej. Tu nie ma miejsca na żadną konkurencję. Zwłaszcza polityczną.

Będzie mnie Pan przekonywać, że polski samorząd nie jest upolityczniony?

Samorząd zawsze był i jest fragmentem sceny politycznej. Narracja o skrajnym upolitycznieniu zaczęła się jednak nagle – wraz z próbą przeprowadzenia wyborów prezydenckich 10 maja, kiedy po naradach z prawnikami władze kilkuset miejscowości doszły do wniosku, że nie mogą przekazać Poczcie Polskiej wrażliwych danych obywateli bez złamania prawa i pogwałcenia konstytucji. Wówczas to nasze trwanie na straży prawa nazwano nadmiernym upolitycznieniem. Powtarzam: trwanie na straży prawa. Tylko tyle. Pomijam dobry polityczny obyczaj, względy zdrowotne, które wtedy też miały fundamentalne znaczenie. Nie można oczekiwać od urzędnika, że nie będzie przestrzegać przepisów. Jeśli potem chce się to nazywać upolitycznieniem – to już trudno.

Ja nie jestem członkiem żadnej partii. Miałem poparcie różnych środowisk, chcę i staram się pracować z każdym. Życzyłbym sobie także konstruktywnej współpracy z PiS. My, samorządowcy mamy w ogóle jeden z najsilniejszych →



UM WROCŁAWIA

⇒ mandatów, który czasami staje się punktem wyjścia do działalności w polityce centralnej. Przypomnę, że Lech Kaczyński na urząd prezydenta wystartował właśnie z fotela prezydenta Warszawy.

Podobnie jak teraz zamierza Rafał Trzaskowski. Nie wydaje się Panu, że to jest jednak złamanie pewnej umowy z wyborcami? I nie obawia się Pan, że to jeszcze bardziej zaostrzy relacje władzy centralnej z samorządami?

Powiedziałbym, że się nie boję – gdybyśmy żyli w kraju, w którym klasa polityczna rozumie, iż praca dla samorządu jest jednym z najlepszych sposobów na zdobycie kompetencji niezbędnych do efektywnego sprawowania władzy centralnej. A ponieważ żyjemy w Polsce, odpowiem: oczywiście, że się boję. Już teraz słyszymy od PiS gromkie „a nie mówiliśmy”, bo oto jeden z nas postanowił wkroczyć na scenę polityki centralnej. Ma do tego prawo, czynne i bierne. I nie należy tej decyzji rozciągać na całe życie samorządowe w Polsce twierdząc, że cierpi ono na nadmierne upolitycznienie.

Dobrze. Zapytam wprost: co Pan sądzi o decyzji Trzaskowskiego?

Nie umiem odpowiedzieć na to pytanie. Wiem, co ja bym zrobił. A raczej czego bym nie zrobił, bo nie zdecydowałbym się na taki krok. Uważam, że mam umowę z mieszkańcami Wrocławia, której muszę dotrzymać. Tylko proszę pamiętać, że umocowanie prezydenta War-

■ Chcę podziękować wrocławianom. Od początku lat 90. budowali tu nową tożsamość, w której polskość, niemieckość czy żydowskość są traktowane na równych prawach.

szawy, który w świecie polskiego samorządu od zawsze ma status „pierwszego wśród równych”, jest jednak nieco inne niż innych prezydentów. Walcząc o pałac prezydencki Rafał Trzaskowski w pewnym sensie broni także niezależności całego polskiego samorządu.

Naprawdę? Nie słyszałem takiej deklaracji z jego ust. Może nie śledzę aż tak dokładnie jego wystąpienia.

Również nie jestem na bieżąco ze wszystkimi jego wystąpieniami. Chodzi mi po prostu o to, że przyszłość polskiego samorządu stała się jednym z wątków polityki szczebla centralnego. Możemy nad tym ubolewać, ale obowiązkiem samorządowców jest obrona samorządności przed politykami. Jesteśmy w sytuacji wyższej konieczności. To się zaczęło, warto to zresztą podkreślić, na długo przed tym, jak epidemia dała władzy cen-

tralnej pretekst do przejmowania części kompetencji samorządów. O pełzającej centralizacji mówimy od lat. W wielu miastach nie ma już np. miejskich konserwatorów zabytków, bo umowy zerwano lub ich nie przedłużono, a zadania i budżety przejęli konserwatorzy wojewódzcy. Kuratoria całkowicie podporządkowano resortowi edukacji, mimo że to na nas spoczywa realizacja zadań związanych ze szkołami. We Wrocławiu od dawna mamy problem z finansowaniem tych zadań, ściślej – z dorzucaniem nam kolejnych bez dostatecznego finansowania. Podkreślam: dostatecznego, bo jakieś pieniądze w ślad za tymi zmianami jednak do nas płyną.

I jeszcze jedna uwaga. Moim zdaniem, w ostatnim trzydziestoleciu jedna rzecz nam kompletnie nie wyszła – i nie jest to uwaga wyłącznie pod adresem bieżącej władzy. Nie zdołaliśmy w klarowny sposób rozdzielić kompetencji państwa polskiego od ścisłych kompetencji samorządów. A w ślad za tym wskazać w jasny sposób źródła finansowania dla tych zadań. Wrocław ma w tym roku po stronie wydatków 5,7 mld złotych, z czego blisko 1,4 mld stanowią te na edukację! Subwencja budżetowa pokryje tymczasem jedynie połowę tej kwoty, a od września mamy do obsłużenia podwyżki dla nauczycieli. Tymczasem mamy środek czerwca, a ja nadal nie wiem, czy rząd nam tę subwencję zwiększy, a jeśli tak, to o ile.

Mówił Pan o deficycie budżetu miasta na poziomie 500 mln złotych.

To wstępne szacunki. Wciąż mam nadzieję, że Wrocław i całą Polskę ominie druga ostra fala epidemii i wyjdziemy z tego kryzysu względnie obronną ręką. Nie jesteśmy pod tym względem w najgorszej sytuacji, nasza gospodarka i budżet nie są np. w takim stopniu zależne od turystyki jak Kraków czy Zakopane. I pamiętajmy, że *lockdown* najmocniej uderzył nie w duże miasta, ale małe ośrodki, w których działają często po dwa-trzy zakłady pracy. Tam sytuacja bywa już w tej chwili dramatyczna, dlatego apelujemy do rządu, żeby w kolejnych odsłonach tarczy antykryzysowej uwzględnił bardziej potrzeby samorządów i gmin. Bo to, co znaleźliśmy w nich dotychczas, jest niestety wysoce niewystarczające.

© Rozmawiał MAREK RABIJ

SPOTKAJMY
SIĘ WE

WRO
WROCŁAWIU

REKLAMA

OGRÓD
JAPÓŃSKI

Wrocław zaprasza na **7** edycję bezpłatnych letnich spacerów z przewodnikiem

OSTRÓW
TUMSKI

Chcesz spotkać latarnika, poznać historię boga Odry – Viadrusa czy zgłębić najskrytsze tajemnice Wrocławia? Zapraszamy od lipca do września na cykl spacerów tematycznych po naszym mieście.

Oferta jest bardzo szeroka – są wycieczki piesze i rowerowe, dla dzieci i dla dorosłych, po polsku i w językach obcych. Spacerzy będą odbywały się od czwartku do niedzieli. Łącznie zaplanowano **122** spotkania – wszystkie odbędą się z zachowaniem zalecanych zasad bezpieczeństwa.

OGRÓD
BOTANICZNY

Poznaj Wrocław z innej strony – na Ostrów Tumski, Rynek czy do Hali Stulecia prowadzi wiele przewodników i nasze spacery także nie ominą tych ważnych punktów miasta. Są jednak miejsca nieznanne, a równie interesujące. Tak narodziła się idea spacerów tematycznych, prezentujących m.in. Nadodrze – dzielnicę rzemieślników, historię nauki i rozwoju medycyny we Wrocławiu, wrocławskie opowieści z dreszczykiem czy magiczny świat nocnych iluminacji. Będzie nawet rodzinna gra miejska.

Harmonogram spacerów na
[visitWroclaw.eu](https://visitwroclaw.eu)

HALA
STULECIA
Z PERGOLĄ

DAWNO
CIĘ
TU NIE
BYŁO

Wrocław miasto spotkań

SPOTKAJMY
SIĘ
WE

WROCLAWIU

visitWroclaw.eu

 HYDROPOLIS